

PIERRE DANINOS



Tajemnica
MAJORA THOMPSONA

Biblioteka Stańczyka
Iskry

Tajemnica majora Thompsona

Pierre Daninos

I. „Francja, Majorze, to nie to...” (Z notatnika Majora)



Gdy po raz któryś z rzędu przechodziliśmy wczoraj z panem Pochet przed Zgromadzeniem Narodowym, wskazałem parasolem na kolumnadę budynku i powiedziałem:

- *Well*¹, i co pan myśli o tej pańskiej Izbie?

- O mojej Izbie? Po pierwsze, drogi Majorze, pan wie dobrze, że to nie jest „moja Izba”...

- Bądź co bądź, należy do wszystkich Francuzów... Czy nie brał pan udziału w głosowaniu?

- Tss, tss... oczywiście... Ale, widzi pan, Majorze, Francja to nie jest to!...

Zdaniem pana Pochet - jak również zdaniem pana Taupin - Francja to nigdy nie jest to. Francja to nie trzy miliony socjalistów. Trudno także powiedzieć, że Francja to dwa miliony radykałów lub trzy miliony niezależnych. Oczywiście nie jest to pięć milionów komunistów. A któż, *Good Lord*²! ośmieliłby się twierdzić, że Francja to 52 deputowanych poujadystowskich? Nie mógłbym też utrzymywać, że Francja to owa paryska rodzina, którą spotkałem na nartach w Szwajcarii właśnie w dniu wyborów i która wstrzymała się świadomie od głosu. Tylko ktoś bardzo przewrotny mógłby tak twierdzić. Podobnie jak tylko ostateczny dureń mógłby pomieszać z Francją owych młodych poborowych, którzy zatrzymali pociąg mający ich zawieźć do koszar. Pułkownik Turlot powiedział mi wyraźnie: kilku łobuziaków, których przywoła się szybko do porządku. Ale Francja, ta prawdziwa Francja - to nie to!...

No a ci strajkujący pracownicy lotnictwa, którzy zmusili mnie niedawno, abym opuścił gotowy do odlotu samolot Paryż-Londyn i brnął nocą w błocie, bo oni nie otrzymali zapłaty za poprzednio przestrajkowane dni? Po wysłuchaniu wyjaśnień pana Pochet znów musiałem przyznać, że była to co najwyżej garść agitatorów, tych, co to zawsze rzucają drugim kłody pod nogi, i że oczywiście nie oni reprezentują Francję!

- Francja pracuje, Majorze! Niechże pan jedzie na północ, a sam się pan przekona - poradził mi nasz przyjaciel, nie zdając sobie sprawy, że właśnie tam zmierzałem. - Zobacz pan... Są już w biurach wtedy, gdy pan jeszcze śpi.

Pan Pochet mówił tak przekonująco, że opuszczając lotnisko, z którego mnie wyrzucono, poczułem się nagle winny.

¹ well - dobrze

² Good Lord! - dobry Boże

Prawda, że pan Pochet wydawał się podenerwowany. Przejechał bez zatrzymania czerwone światło. Podszedł policjant, spisał protokół. Pochet siedział cicho, ale gdy ruszyliśmy, roześmiał się.

- *Too bad*³ z tym mandatem... - powiedziałem.

Machnął prawą ręką za siebie:

- I tak się nie zapłaci... Mam przyjaciela w Prefekturze...

Spytałem go, czy to jest francuski obyczaj.

- Na szczęście nie, to by było zbyt wygodne! Po prostu trzeba mieć znajomości.

Dziwne, *very strange, indeed*...⁴

Może sprawił to ten wypadek, dość że przypomniałem sobie owych automobilistów, którym przyszedłem z pomocą tego lata zawracając jakieś dwanaście kilometrów z drogi, żeby poszukać im mechanika... Ciekawe... Nalegali, abym przyszedł do nich na kolację, gdy będę następnym razem przejeżdżał przez ich miasto. („Ależ tak, proszę pana, ależ tak. Naprawdę nam zależy. Nieczęsto zdarza się spotkać tak uczynnych ludzi... Co z tego, że obcokrajowiec?... Tym bardziej, proszę pana, tym bardziej”). Jakże mógłbym uważać ich za autentycznych Francuzów, skoro owego dnia, gdy do nich zadzwoniłem, odpowiedzieli mi sami, że nie ma ich w domu!

Trzeba być naiwnym, jak taki naiwny Anglik w moim rodzaju, aby zaraz uogólniać, gdy konduktor autobusu woła: „Jak pan nie ma drobnych, to niech pan siedzi w domu!” I gdy mruczy na cały autobus: „Znów jakiś Amerloque”⁵!

Rzeczywiście, tylko szaleniec mógłby przypuścić, że to właśnie jest Francja, i uznać, że słynna grzeczność francuska nie istnieje. A przecież wydawało mi się, że autobus był zaludniony przez Francuzów, usłyszałem bowiem, jak ktoś zawołał w chwili, gdy zatrzymał nas uliczny korek:

- Pierwsza rzecz to zakazać jazdy tym wielkim wozom zagranicznym; od razu byłoby więcej miejsca!

Chyba jednak myliłem się i musiałem wsiąść przy Saint- Martin w jakiś autobus jemeński. Najlepszy dowód, że pan Pochet, gdy mu opowiedziałem tę historię, zauważył:

- Niech pan nie żartuje, Majorze... Francja to przecież w końcu nie jest autobus! Trafił pan może na jakiegoś niegrzecznego gościa, ale sam pan wie, że Francja umie grzecznie gościć.

Nie do wiary, jak dalece zdolny jestem mylić się co do Francji!

Pewnego dnia na przykład pan Tupin, idąc ze mną do jednego ze swych przyjaciół, uprzedził mnie na progu:

³ too bad - to niedobrze

⁴ very strange, indeed - naprawdę bardzo dziwne

⁵ Amerloque - pogardliwa nazwa Amerykanów we Francji

- Niech mu pan mówi „panie prezesie”, zrobi mu pan przyjemność.

- *Of course*⁶ - odpowiedziałem. - Ale prezesie *of what*⁷?

- Jest wiceprezesem Skórczanego Syndykatu w Limoges - rzekł pan Taupin.

- Czy nie należałoby w takim razie nazywać go „wiceprezesem”?

- Byle nie to! Zupełnie jak by pan powiedział komuś: panie podpułkowniku...

Przypomniawszy sobie, że spotkałem tego samego dnia przewodniczącego Syndykatu Producentów Taśmy Filmowej i prezesa Sierocińca z Moquette, zacząłem się zastanawiać, czy aby wszyscy Francuzi nie są jakimiś prezesami.

- Ależ nie - powiedział mi pan Taupin. - Osobiście jestem prezesem Przyjaciół Towarzystwa Gaskońskich Rowerzystów, ale przecież nie zechce pan utrzymywać, że z wszystkimi Francuzami jest to samo!

Czyżby Francuzi nigdy nie byli „tacy”?

W poczekalni naszego doskonałego dentysty... pardon: stomatologa doktora Dusseloup, dostaję pod nos, w charakterze tygodnika aktualności, numer „Młodego Podróżnika Francuskiego”, opisujący działalność parku botanicznego, w Tananariwie w 1898 roku; lekarz mi wyjaśnia:

- Cóż pan chce, zostają tylko stare numery, wszystko mi ściągają...

Gdy skarżę się zarządzającej hotelu „Błękitne Fale”, że w mojej szafie jest tylko jedno ramiączko (buchnięte zresztą w Schweizerhof w Lucernie), mówi mi ona:

- Zabierają nam wszystkie!

Gdy zwracam uwagę właścicielowi restauracji „Petit Gastronome”, że mógłby tak, mimo wszystko, powiesić w toalecie rolkę higienicznego papieru, wie on z góry, że:

- Nie została by ani godziny!

Przypuszczam więc, że obcokrajowiec, który swoją podróż po Francji ograniczyłby do odwiedzin w gabinecie dentysty, restauracji i hotelu, byłby skłonny przypuszczać, że Francuzi to naród kleptomatów, którzy wystrzegają się kieszonkowców (zwłaszcza gdy udają się do Anglii...).

- Słowo daję, Majorze, pan przesadza - zaprotestował pan Pochet. - Francuzi nie są przecież złodziejami!

I jako że właśnie w tej chwili chciałem wytrząsnąć fajkę, pan Pochet podsunął mi popielniczkę z napisem: „Excelsior Pałace Hotel, Roma”...

- Pamiątka z podróży - zauważył, jak gdyby usprawiedliwiając się.

⁶ of course - oczywiście

⁷ of what - czego

Wydaje mi się jednak, że się zarumienił.

Rzeczywiście... jakże można się mylić co do Francji! Wczoraj na przykład czekałem w ciemnym i nie bardzo pachnącym zakątku, aż pewna młoda kobieta skończy rozmowę telefoniczną, aby móc z kolei wejść samemu do budki (pokrytej, mówiąc nawiasem, nieprzyzwoitymi napisami). Od czasu do czasu drzwi się uchylały: „No więc do zobaczenia... Jakiś typ czeka na telefon, nie wyobrażasz sobie, co za śmieszna morda!... Zobaczymy się wieczorem?... *Allez*⁸, do widzenia!” Myślałem, że to już koniec. Ale za każdym razem drzwi zamykały się ponownie i rozmowa odżywała. Czyżby Francuzi spędzali czas na mówieniu sobie przez telefon, że się spotkają wieczorem, i na spotykaniu się wieczorem, aby sobie powiedzieć, że się stелефonują?

- Nie - powiedział mi pan Pochet. - To była kobieta, Majorze. Wie pan, kobiety... Francja, mimo wszystko, to nie to!



No więc do zobaczenia... Jakiś typ czeka na telefon, nie wyobrażasz sobie, co za śmieszna morda...

⁸ allez (franc.) - tu w znaczeniu: no cóż, a więc

A więc, *Good Heavens*⁹! czymże jest Francja?

Nie trzeba szukać lepszego przykładu typowej hipokryzji anglosaskiej niż podstępne pytania Majora, bo przecież Major wie doskonale, co myśleć o Francji. Nie bez pewnego ożywienia zwrócili mu na to uwagę panowie Pochet i Taupin, zaatakowani przez niego bezpośrednio. Ponadto przypisali oni te diatryby przejściowemu złemu humorowi Majora, który musiał się chyba pokłócić tego dnia ze swą uroczą małżonką Martine, bądź na temat długich kalesonów¹⁰, które upiera się nosić, bądź też na temat systemu wychowania ich drugiego syna Nicholas... Pan Pochet i pan Taupin wiedzą bardzo dobrze, że ten brzydki obyczaj wytykania wad narodowych jest wysoce nieangielski i nie obwiniają o to całej Anglii.

Ale współpracownik i tłumacz majora Marmaduke Thompsona - wystawiony od dłuższego czasu na surową próbę - wybuchnął. Zaledwie ostatni znak zapytania Majora spadł na papier, ogarnęła go prawdziwie francuska wściekłość:

- Nie mogę dłużej znieść tego pańskiego sarkazmu, tych pańskich kpin z Francuzów, Majorze! Przez dwa lata z rządu znosiłem wasze prawo - the British Rule¹¹... Udzielałem panu swej pomocy przy tłumaczeniu pańskich uwag. Tylko od czasu do czasu, w małych odsyłaczach ukrytych na dole strony, pozwalał mi pan wypowiadać się w imieniu moich rodaków... Ale teraz dosyć, Majorze! Niech pan odłoży pióro i jedzie sobie na tygrysy z pańską strzelbą.

- Z karabinem... winchester express 375...

- Niech pan sobie weźmie ekspres, jeżeli pan ma ochotę, i niech pan wraca do Indii, jeżeli serce panu to dyktuje... A ja, za pańskim pozwoleniem, wybiorę się w małą podróż do Anglii... a może nawet do pańskich dalekich kuzynów, do Ameryki... I powiem z kolei, jacy wy jesteście i jacy wy nie jesteście!

- Now... don't get excited, Denajnos! Where is your self-control? (Niech się pan nie denerwuje, Daninos! Gdzież pańskie opanowanie?). To wcale niezła myśl. Tylko że...

Major odchrząknął i dorzucił:

- Well... Nie ma pan chyba ambicji, aby napisać całkiem samodzielnie książkę...

- Już mi się to zdarzyło...

- Ale nie o Anglosasach!

- Pochet mi pomoże...

⁹ Good Heavens! - dobre Nieba!

¹⁰ Przepraszam bardzo, że od razu wkraczam w ten tekst, ale sprawa dotyczy mnie osobiście i muszę udzielić czytelnikowi wyjaśnień na temat moich długich kalesonów. Wszystko się zająbia: gdybym się nie spóźnił owego wieczoru przez ten przekłety strajk, nie zaziębiłbym się i me wkładałbym flanelowych ineksprymabli, dzięki którym pięćdziesięcioletni Anglik może w styczniu wychodzić do figury. A poza tym nie było żadnej kłótni z Martine. Doszło po prostu do „wymiany słów”, jak bardzo słusznie mówią Francuzi: mówię do Martine jedno słowo, ona mi je wymienia na większą ilość i po wyższym kursie. Teraz już przywykłem do tego. W żaden sposób nie mogę jednak przywyknąć do rozkazującego tonu, który Martine przybiera, gdy chodzi o rzecz tak bardzo intymną jak kalesony: „Proszę cię bardzo, zdejm mi zaraz te ohydne długie kalesony i włoż płaszcz!” Czy to jest do zniesienia dla b. majora Armii Indyjskiej? Definitely not definitely not - stanowczo nie. (Uwaga Majora).

¹¹ the British Rule - brytyjskie prawo, zasada

- A ja?... *By Jove*¹²! Nie odmówi mi pan chyba, abym odbył z panem taką podróż, podobnie jak pan podróżował ze mną po Francji. I myślę, że pozwoli mi pan od czasu do czasu zabrać głos, jeżeli będę miał do powiedzenia coś, czego pan powiedzieć nie potrafi...

- Zgoda! Powie pan, co pan zechce... Będę bardziej wielkoduszny niż pan... Zostawię panu miejsce... i to nie tylko w przypisach, ale od czasu do czasu na górze stronicy, żeby mógł się pan wygadać...

- *Right*¹³! Niechże więc pan jedzie do Londynu przede mną. Za kilka tygodni będę z moją drogą żoną w naszym domu w Hampshire. Musimy zastanowić się trochę spokojniej *at home*¹⁴, jak w najlepszy sposób zapewnić wychowanie naszemu chłopcu... Umówmy się tam. A ponieważ wyjedzie pan pierwszy, radzę panu spędzić kilka dni w hotelu, a potem udać się do mojej starej przyjaciółki Mrs. Cripplestone... W jej *boarding house*¹⁵ znajdzie pan okazję, aby poznać trochę Anglię... *So long, old man, and good luck!* (Do zobaczenia, mój stary, i powodzenia!).

¹² *by Jove!* - na Jowisza!

¹³ *right* - w porządku

¹⁴ *at home* - w domu

¹⁵ *boarding house* - pensjonat

II. „Ależ Anglia, Majorze, to także nie to!...”

Wystarczyło dziesięć minut pobytu na ziemi Albionu, abym zauważył, że Anglia to wcale nie było to, co opowiadał Major... Wsiadając w Dover do londyńskiego pociągu, starałem się przestrzegać podstawowych zasad dobrego wychowania, które wpoił mi Major:

1. Anglik nigdy nie odzywa się do kogoś, komu nie został przedstawiony (oprócz wypadku, gdy tonie statek).
2. Nigdy nie należy mówić o Bogu i o żołądku.

Kiedy jednak w czasie obiadu podsunąłem pikle pierwszemu Anglikowi, który znalazł się naprzeciw mnie, nie zadowolił się on powiedzeniem *merci*, jak we Francji, ale zawołał:

- Mój Boże, jakżebym chciał wziąć takiego ogóreczka... ale mam wrzód na żołądku!

Poczułem, że świat Majora zachwiał się, że Imperium zatrzęśło się w posadach... I wydało mi się, że słyszę głos Marmaduke'a:

- *Of course...* to był Anglik w bardzo złym gatunku... Anglia, Denajnos, to nie to!

Naturalnie... Nie chcę od razu twierdzić, że wszyscy Anglicy klną się Bogiem, mówiąc obcemu człowiekowi o swym wrzodzie na żołądku, ale... jeżeli Francja wydała się Majorowi krajem 43 milionów wyjątków, to o Anglii mógłbym powiedzieć, że jest wyspą złożoną z 53 milionów wysepek, nigdy bowiem nie spotkałem Anglika, który nie utrzymywałby, że jest zupełnie inny od swych rodaków.

Mówiąc szczerze, jedna z najtrudniejszych rzeczy w Londynie to spotkać Anglika.

Jeszcze trudniej o to w historii Anglii, którą tworzyło tyle narodów: niekiedy wypada czekać sześćset lat, aby napotkać króla, który nie byłby urodzony w Osnabrück, w Hanowerze albo w Blois. Kanut był Duńczykiem, Plantageneci - Francuzami, Tudorzy - Walijszymi, Stuarci - Szkotami, po wyrzuceniu Szkota Anglicy posadzili na jego miejscu Holendra, a potem wzięli sobie za króla Niemca, który nie mówił ani słowa po angielsku¹⁶.

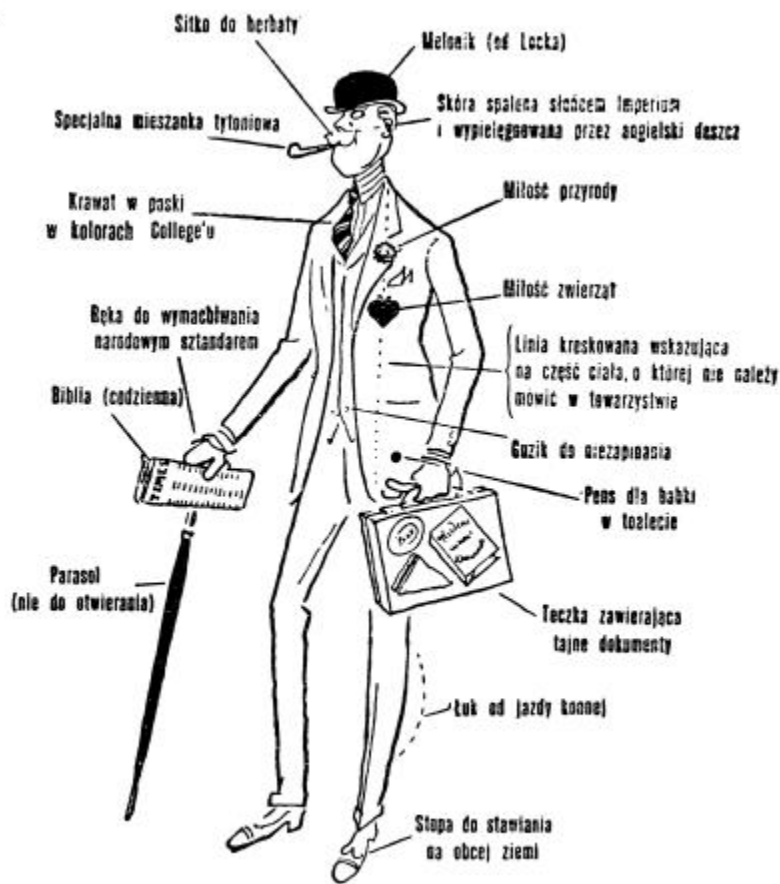
Nie trzeba sięgać aż do Wilhelma Zdobywcy: pierwszy taksówkarz, który obwoził mnie po Londynie, nie przestawał wojować z Anglikami, używając dziwnego zagranicznego akcentu. Przy każdym czerwonym świetle szemrał coś pod nosem, szeleszcząc przy tym kawałkiem „Daily Workera”. Gdy przejeżdżaliśmy przed Buckingham Pałacem, zapytał mnie:

- Czy zdaje pan sobie sprawę, ilu taksówkarzy mogłoby tu zamieszkać?

Powiedziałem mu, że nie; nigdy nie patrzyłem na Buckingham Pałac z tego punktu widzenia. Zdziwiony tym brakiem uszanowania zapytałem go, czy jako Anglik nie czuje się przywiązany do tego miejsca.

¹⁶ for God's sake! - na miłość Boską! I czegoż to dowodzi? Turek także może być królem Anglii. Jeżeli sadzamy go w Buckingham Palace, to znaczy, że nam odpowiada, wszystko. Nie będziemy przecież pytać go o dowód osobisty (który zresztą nie istniał w Anglii przed tą przeklętą ostatnią wojną). (Uwaga Majora).

- Nie jestem Anglikiem, jestem *British*¹⁷ - odpowiedział mi. - Urodziłem się w Walii.



Zdjęcie rentgenowskie obywatela brytyjskiego pana W.M.T...

Myślałem, że będę miał więcej szczęścia w hotelu i że znajdę tam a *really authentic Englishman*¹⁸, ale dyrektor był Szwajcarem, w recepcji siedział Belg, chłopiec od windy był Malajczykiem, pokojówka Irlandką, kierownik sali restauracyjnej Francuzem, kucharz także Francuzem, a kelner Włochem.

Gdy do wieczora dnia następnego żaden Anglik nie wpadł mi jeszcze pod rękę, podzieliłem się swoim niepokojem z panem Wenger Stücki, dyrektorem administracyjnym.

- Mam nadzieję, że właściciel hotelu jest Anglikiem?

- Pan Mac Namara, właściciel kartelu hotelowego „Elizabethan Hotels”, jest Szkotem.

Poważnym błędem byłoby sądzić, że od 1066 roku Anglia nigdy nie była okupowana. Wciąż jeszcze jest okupowana - przez Szkotów. W 1707 roku przekroczyli oni granicę Unii i od tej pory nigdy jej nie opuścili. Szkoci czują się zresztą jak u siebie tylko wówczas, gdy nie są u siebie - a zwłaszcza gdy są u Anglików. Pan Wenger Stücki udowodnił mi, że 72,5 procent kierowniczych stanowisk w hotelarstwie, podobnie jak w ministerstwach, w przemyśle węglowym, tekstylnym i w kolejnictwie, znajduje się w rękach Szkotów. Sami Anglicy opowiadają nieraz anegdotę o Szkocie, który powróciwszy z Londynu do Edynburga zapytany został przez jakiegoś ziomka: „I co, widziałeś naszych

¹⁷ British - Brytyjczyk

¹⁸ a really authentic Englishman - naprawdę autentyczny Anglik

przyjaciół Anglików?” „Nie miałem okazji - odpowiedział Szkot - widywałem tylko ludzi z kierownictwa...”

Jedynym zakątkiem Wielkiej Brytanii, gdzie prawie zupełnie nie spotyka się Szkotów, jest Soho londyńskie. Można tu spędzić cały dzień, słysząc tylko takie języki jak włoski, francuski, hiszpański, chiński, niemiecki czy jawański, i widzieć ludzi przesiadujących na progach swych domów, zupełnie jak by byli zwyczajnymi mieszkańcami Kontynentu...



Pan Pochet umówił się z Majorem na Piccadilly...

Mimo pozorów, w Londynie są jednak Anglicy. Jeden przegonił mnie niedawno na Piccadilly. Był to czterdziestoletni mężczyzna, bardzo elegancki, o szkarłatnej twarzy, przekreślonej linią obfitych rudych wąsów. Czarny melonik o wąskim rondzie nasunął z pewną siebie miną na czoło, ubrany był w zgrabną granatową marynarkę, rozciętą po bokach, i spodnie spadające prosto na lśniące pantofle; w butonierce miał czerwony goździk, w jednej ręce małą płaską walizkę z palonej skóry, a w drugiej parasol z końcem ostrym jak rapier. Co mnie przede wszystkim uderzyło w tym człowieku, to jego chód. Stąpał pewnie, wygimnastykowanym krokiem, a za każdym ruchem parasol wyrzucony do wysokości oczu obracał się w jego dłoni, aby z suchym stukiem opaść na ziemię. Zupełnie zafascynowany, usiłowałem iść za nim, ale byłem zmuszony prawie biec, a biec za nieznanym sobie jegomościem, to jedna z rzeczy, których w Londynie robić nie należy, nawet jeżeli wydaje się, że się jegomością zna. Rozpaczając zgubiwszy swego Anglika, gdy nagle w Haymarket ukazał mi się on

znów, idąc wszakże w przeciwnym kierunku. Tego dnia miałem jeszcze dziesięć razy spotkać owego nadzwyczajnego wszędobylskiego gentlemana. I za każdym razem rzucałem się na niego chcąc zawołać:

- *Hello*, Majorze!

Ale nie, to nie był major Thompson. Był to jeden z jego niezliczonych braci. Londyn jest miastem, gdzie dziesiątki tysięcy meloników osadzonych na tej samej głowie zmierza w stronę tego samego niewidocznego celu. Na całym świecie nie ma człowieka, który zmierzałby ku swemu przeznaczeniu tak niewzruszony i pewny siebie jak londyńczyk.

Dokądże on zmierza?

Zastanawiałem się nad tym przez długi czas.

Cóż za tajemnicę stanu, cóż za most *secret dispatches*¹⁹ nosili w swych małych walizczkach ci wszyscy Edenowie o długich nogach?

Pewnego dnia postanowiłem śledzić jednego z nich aż do skutku. Wyszedłszy z Foreign Office²⁰, czarny melonik dotarł do Whitehall i poszedł w górę Mail, aby pogrążyć się w *tube*²¹ koło St. James's Park. Dzięki uprzedniemu treningowi nie utraciłem z nim kontaktu. Zaczął czytać „Timesa”, gdy jednak opuściliśmy centrum miasta i gdy znalazł się sam na ławeczce, złożył gazetę, umieścił swój cenny bagaż na kolanach i otworzył go ostrożnie. Nareszcie miałem poznać tajemnicę płaskiej walizeczki Foreign Office!

Tajne dokumenty Imperium składały się owego dnia z małego mydełka, białej serwetki, „Cricket Almanack”²², który poznałem po okładce, i kanapki z szynką, którą ów gentleman spożył zupełnie tak, jak by się znajdował między Angoulême i Poitiers. Muszę uczciwie przyznać, że jadł ją nader subtelnie. Ale prawdą pozostaje, że jadł.

W jakiś czas potem podzieliłem się swym odkryciem z Majorem.

- I wierzy pan naprawdę, *you confounded Frenchman*²³, że walizki Foreign Office zawierają tylko przekąski?

Nie... A przecież nic nie jest bardziej podobne do siebie niż jeden Anglik w meloniku do drugiego Anglika w meloniku²⁴.

¹⁹ most secret dispatches - ściśle poufne dokumenty

²⁰ Foreign Office - Ministerstwo Spraw Zagranicznych

²¹ tube - kolejka podziemna

²² „Cricket Almanack” - „Almanach Krykieta”

²³ you confounded Frenchman - przeklęty Francuzie

²⁴ Może się to nie spodobać Majorowi - i nieufnemu czytelnikowi, który gotów sądzić, że zmyślam - ale gdy w kilka tygodni po tej przygodzie opowiedziałem ją swym angielskim przyjaciołom, podali mi numer pisma „Woman's Own” z 25 listopada 1954, gdzie w rubryce „Listy czytelników” można było przeczytać następującą korespondencję od jednej z abonentek: „Przed kilku dniami przechodził koło mnie bardzo elegancki mężczyzna - melonik, sztuczkowe spodnie, czarna marynarka, parasol - z teczką na dokumenty w ręku. Nagle uderzył teczką o latarnię, tak że jej zawartość wysypała się na ulicę: były to dwie główki sałaty!” (Podpisano - Miss L, Atkinson, Onchan, Isle of Man)... Mimo wszystko, dwa razy w ciągu jednego roku taka historia z teczką na dokumenty - to jednak coś .. Musi w tym być, bądź co bądź, trochę prawdy...

Filozof J. R. Lowell napisał: „Nigdy bardziej nie błogostawię Opatrzności niż w dniu, kiedy dane mi jest spotkać Anglika, który nie jest taki sam jak inni”.

Skąd bierze się to podobieństwo?

Można wytłumaczyć Anglików za pomocą naleciałości saksońskich i wpływów metodystycznych. Wolę jednak wytłumaczyć ich za pomocą herbaty, rostbefu i deszczu. Każdy naród jest taki jak to, co je, co pije i co mu pada na głowę. Nawet ludzie z Kontynentu, miotani wichrami i deszczem oraz poddani działaniu ustawicznej mgły, też się w końcu zmieniają w nieprzemakalne płaszcze, po których krytyka spływa jak woda po gumie. Ludzie, którzy siedem razy na dzień piją herbatę, żywią się takimi samymi *vegetables*²⁵ i takim samym mięsem, nabierają w końcu identycznych przyzwyczajęń. W Angliku jest rostbef, jak w Chińczyku ryż²⁶.



Pochet w Hyde Parku. — Proszę przechodzić! Czy byłoby panu miło, gdyby się ktoś panu tak przyglądał?

W istocie, jak zrozumieć to wszystko?

²⁵ vegetables - jarzyny

²⁶ Tym razem - zgadzam się. Jeżeli Francuzi tak bardzo różnią się między sobą, to dlatego, że jeden zajada ślimaki, drugi rozkoszuje się pasztetem, żona trzeciego pichci „specjalnie dla niego” sztukę mięsa, która jest odmienna od sztuki mięsa jego sąsiada. Nigdy nie nabieram takich kolorów jak we Francji o godzinie piętnastej i, *my Goodness!* sztandar brytyjski, który podobno dostrzegacie na moich skroniach, nie ma tych samych odcieni w Nuits-Saint-Georges co w Saumur. Te wszystkie côtes-du-rhône, clos-vougeot i muscadet mnożą w nieskończoność zabarwienia Francuzów. Herbata i whisky skazują Anglików na większą jednolitość. Ale jeśli chodzi o resztę, nie jesteście w stanie nas zrozumieć... (Uwaga Majora).

Jak określić ludzi, którzy z zasady nie zadają pytań na temat prywatnego życia sąsiada, ale interesują się najmniejszym spacerem czy najmniejszym sprawunkiem swej Królowej, jak gdyby byli dozorcami w Buckingham Pałace; stawiają osobistą swobodę ponad wszystko, ale odejmują wam od ust szklankę wina o godzinie 15.01; nie lubią mówić, ale uwielbiają mówców; nie znoszą upałów, ale kochają kominki²⁷; mają wrodzony zmysł wielkości, ale począwszy od swych domów aż po lokomotywy i kuczki, oddają się kultowi rzeczy małych; mówią o drobiazgach, gdy są trzeźwi, a zaczynają mówić o sprawach poważnych, gdy się napiją; nie robią nic tak jak inni, ale dziwią się, że wszyscy nie postępują tak jak oni; uważają „Timesa” za najpoważniejsze pismo w świecie, ale jego pierwszą stronę rezerwują dla osobistych ogłoszeń gentlemanów pragnących znaleźć towarzysza podróży; patrzą bez zmużenia powiek, jak *masters*²⁸ biją ich dzieci, ale nie mogą znieść widoku kulawego wróbelka; z nieufnością odnoszą się do wszystkiego, co nie jest angielskie, ale swój narodowy napój pędzą z chińsko-indyjskiego krzewu; nigdy nie pocałują się wobec ludzi w metro czy na ulicy, ale czynią to wobec jeszcze większej ilości ludzi w Hyde Parku lub Maidenhead; nienawidzą mieszańców, a sami są mieszańką Celtów, Saksonów, Skandynawów i Normanów; wyrzucają Francuzom życie dla jedzenia, a spędzają cały swój czas na chrupaniu różnych rzeczy; noszą strój niedbały w swoich zamkach, ale zakładają szary melonik i czerwony goździk, aby pomacać wymię krowy z Yorkshire na wystawie w Olympii; są kołyską najsurowszego konserwatyzmu, ale dali schronienie Karolowi Marksowi i Leninowi; praktykują w niedzielę oszczędność, ale drukują tego dnia swoje sensacyjne tygodniki w ośmiu milionach egzemplarzy; produkują bidety dla całego świata, ale nie chcą mieć u siebie ani jednego²⁹; jeżdżą powoli, gdy żyją, ale walą pełnym gazem w rollsach jako nieboszczyki; noszą parasol, gdy jest pogoda, a płaszcz, gdy pada; śpiewają stale *Home, sweet home!*³⁰ ale są zachwyceni, gdy mogą zamieszkać zagranicą; nie mówiliby o swym żołądku za cenę królestwa, ale reklamują środki antykoncepcyjne w swoich aptekach; uchodzą za królów grzeczności, ale wchodzą pierwsi przed kobietą do restauracji...

- *Nonsense*³¹! - zawołał Major, gdy zwróciłem mu uwagę na ten obyczaj jako na dowód niegrzeczności. - Jest to hołd składany kobiecej wstydlivości... jest to forma obrony bezbronnej kobiety przed ludźmi, którzy mogą ją niepokoić...

- Przypuśćmy... Ale czy zaprzeczy pan, że wy, ludzie mający opinię najlepiej wychowanych w świecie, pozwalacie swym ministrom rządzącym w Westminster kłaść nogi na stole?

- Ależ to jest przywilej, *my dear Denajnos*³², to nie jest chamstwo.

Major Thompson ma zawsze rację, nawet wówczas, gdy wszystko przemawia przeciwko niemu. Oto jeszcze jedna mocna strona Anglika: od razu znajduje solidne wytłumaczenie dla braku logiki swych

²⁷ Nie ma chyba większej przyjemności dla Anglika, siedzącego w pełnym przeciągu w elżbietańskim lub tudoriańskim salonie, jak mrozić swój kręgosłup, a jednocześnie smażyć twarz przed kominkiem.

²⁸ master – wychowawca

²⁹ Od Bruges aż po Zanzibar znaleźć można w hotelowych łazienkach imponującą ilość bidetów z marką fabryczną Shanks and Co, Ltd. Barrhead, Scotland. Ale w Barrhead w Szkocji szkoda nawet szukać w hotelu bidetu. Wielka Brytania zachowuje na eksport ten towar dla dzikich. (Shanks and Co, Ltd. (Shanks and Company Limited) - Shanks i Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością)

³⁰ bome, sweet home! - domu, słodki domu!

³¹ nonsense - bzdura

³² my dear Denajnos - mój drogi Daninos

rodaków. Ze swej strony nie umiem ich jednak wytłumaczyć inaczej niż odwołując się do słowa „sprzeczność”, tego samego, którego używał Major w odniesieniu do Francuzów³³.

³³ Wciąż ta sama francuska mania, żeby wszystko tłumaczyć! My, Anglicy, jesteśmy zbyt inteligentni - lub zbyt głupi - aby usiłować się objaśnić: Od tysiąca lat co roku jakiś obcokrajowiec wraca z Anglii do swej ojczyzny z książką, która ma wytłumaczyć jego ziomkom, jacy są Anglicy. Świadczy to po prostu o tym, że jego poprzednikom nie udało się tego dokonać. Jest to całkiem zrozumiałe. Anglika nie można objaśnić, można go tylko stwierdzić. Anglicy są jak elektryczność: istnieją, nie dają się jednak wytłumaczyć. (Uwaga Majora). Zdaje się, że istnieje mała różnica: ludzie posługują się elektrycznością, podczas gdy Anglicy posługują się ludźmi. (Dodatkowa uwaga Tłumacza).

III. Katastrofa u Mrs. Cripplestone

Historia Anglii zaczęła się dla mnie naprawdę owego dnia, gdy w wielce szanownym wiktoriańskim domu Mrs. Cripplestone zniszczyłem piecyk w łazience, ściślej mówiąc - „gejzer”. Gdybym wiedział od razu, że ten walec z czerwonej miedzi, przypominający zarazem boa-dusiciela i miotacz ognia, nazywa się gejzer - byłbym ostrożniejszy. Na pewno nieomieszkałbym uruchomić „systemu zabezpieczającego”; ale to są rzeczy, które człowiek uświadamia sobie poniewczasie. Obcokrajowiec w Anglii dowiaduje się zawsze o tym, co należy robić, wówczas gdy już zrobił coś, czego robić nie należy.

Może się wydać śmieszne, że zaczynam historię Anglii od wybuchu piecyka w łazience. Większość historyków bierze zazwyczaj za punkt wyjścia inną katastrofę: klęskę Harolda, króla Anglii, zadaną mu przez Wilhelma Zdobywcę pod Hastings w 1066 roku; na zasadzie jednej z owych tajemnic, które zbijają z tropu obcokrajowca - Anglicy uważają ten rok za najchwalebniejszy w swej historii. Dla zrozumienia Anglii należy koniecznie zajść do *boarding-houses*, w których stare panny piszą prywatne listy do redaktora „Timesa”, aby podzielić się z nim swą opinią na temat kastrowania kotów, lub usiłują zbić fortunę, stawiając, wbrew swemu przekonaniu, na francuskie konie startujące w Ascot; niekiedy jednak łatwiej jest objaśnić Anglię nieobecnością centralnego ogrzewania niż obecnością Plantagenetów.

Epoka największego komfortu angielskiego - którego reputacją Anglicy żyją wciąż jeszcze - datuje się od 43 roku przed naszą erą. W owym czasie w Anglii byli Rzymianie i centralne ogrzewanie. Jedni i drugie zniknęło mniej więcej jednocześnie. Rzymianie nie powrócili nigdy, centralne ogrzewanie zaś - z największymi oporami - wprowadzono tylko do zupełnie nowoczesnych domów i kosmopolitycznych, raczej źle widzianych hoteli.

Można by powiedzieć, że nie ma nic bardziej nieosobistego niż piecyk w łazience. Na Kontynencie - owszem. Ale piecyki angielskie nie są takie jak inne. Jak sami Anglicy - kryją one w sobie zawsze coś nieprzewidzianego. Po pewnym czasie, oczywiście gdy was dobrze poznają, mogą się stać waszymi najlepszymi przyjaciółmi i ogrzać wam wodę nawet do 15 stopni. Ale jeżeli zaraz pierwszego dnia chcecie wiedzieć o nich zbyt wiele i zapalić je jak zwyczajne piecyki na Kontynencie, ich wrażliwość czuje się dotknięta i wybuchają wam w rękę. Trzeba zawsze pamiętać, że znajdujecie się w kraju kompromisu - tak jak wyznanie anglikańskie jest kompromisem między katolicyzmem i protestantyzmem, tak gorąca woda w *boarding-houses* jest kompromisem między wodą lodowatą i wrzącą.

Rzecz jasna, nie brak, zwłaszcza w Londynie, hoteli, w których ciepła woda cieknie z kurków tak jak na Kontynencie. To prawda. Jeżeli przyjeżdża się do Anglii, aby się myć, najlepiej pozostać w „Savoyu”. Ale to nie był jedyny cel mojej podróży. A major Thompson miał rację radząc mi, abym dla dogłębnego poznania Anglików stanął u jego starej przyjaciółki Mrs. Cripplestone w South Kensington.

Boarding-house Mrs. Cripplestone to klasyczne płaskie pudło z kremowego i gładkiego stiuku, któremu architekci dodali mały fragment Partenonu. Pod neogreckim portykiem, do którego dociera

się po trzech schodkach szorowanych co poniedziałek, lśni jak lustro miedziany młotek u zielonych drzwi. Prostota jasnej fasady o opuszczonych oknach nie pozwala domyślać się ponurej plątaniny korytarzy, wspólnej owym londyńskim budowlom, które nie mogąc rosnąć w górę, rozduły się wszere. Wskutek tego powstają różnice poziomów, zakrętasy i niespodzianki, jakie zazwyczaj spotyka się tylko na statkach. W moim pokoju podłoga miała wprawdzie dość łagodne nachylenie, a jednak kałamarz zsuwał się sam ze stołu po ustalonej linii w tempie, które nadawały mu przejeżdżające ciężarówki i autobusy. Nieco trudniej było mi przywyknąć do ruchu mego łóżka po linii północo-wchód - południowo-zachód. To bardzo niepokojące obudzić się na środku pokoju, gdy zasnęło się pod ścianą.

Mrs. Cripplestone, która od trzydziestu pięciu lat dowodzi tym statkiem na lądzie, wydaje się być stworzona na jego podobieństwo.

Zbudowana w 1879 roku, podciągnięta w latach 1893-1897 staraniem *headmistress*³⁴ z Godolphin College³⁵, Mrs. Cripplestone powierzona została opiece swego pierwszego męża Ramsaya Dunbara (zmarłego przedwcześnie po utracie fortuny między Epsom i Newmarket), a następnie wykończona przez pułkownika Armii Indyjskiej W. R. S. Cripplestone, który przechował się w whisky do późnego wieku.

Obaj zmarli mężowie wiszą. Jeden na szyi Mrs. Cripplestone, drugi na jej piersi - obaj w medalionach z czelowanego srebra. Fakt, że za każdym ruchem Mrs. Cripplestone pułkownik podryguje w swym galowym mundurze lansjerów bengalskich - przydaje jej wyjątkowego autorytetu.

Jej postawny wzrost, dumny wyraz oliwkowej twarzy, na której obwisłe policzki kontrastują z ostrym jak nóż nosem, prawie wiekowe koronki nottinghamskie zdobiące jej pierś, długa szyja podtrzymywana czarną welurową wstążką, za którą porusza się grdyka, długie, obciste, szare spódnice - wszystko to czyni z Mrs. Cripplestone pełen autentyzmu pomnik z epoki wiktoriańskiej (godziny zwiedzania: wtorki i czwartki od 4 do 6). Sposób, w jaki strzela ona spojrzeniem spoza swego szylkretowego lorgnon, przyczynia się w dużym stopniu do utrzymywania niemal spartańskiej dyscypliny w jej domu. O siódmej rano, czy chcecie czy nie, do waszego pokoju wdziera się irlandzka jędza Jennifer w sukni z zielonego sztruksu i w białym czepku na głowie, przynosząc wam w imieniu Imperium Brytyjskiego pierwszą filiżankę herbaty, rozpoczynając dzień Anglika - *the early morning tea*³⁶. Zerwawszy się na ten poranny apel, cztery wdowy, siedem starych panien i trzech emerytowani majorzy - stanowiący stałą klientelę Mrs. Cripplestone - wkładają uprząż do następnej herbaty, tej prawdziwej, którą podaje się w *dining-room*³⁷ na parterze, gdzie pośród stołów i bufetu z prawdziwego mahoniu cztery nogi słoniowe dożywają swej kariery jako doniczki do asparagusów.

³⁴ *headmistress* - dyrektorka szkoły

³⁵ Miss Eleonora Savernake znana jest z tego, że wymyśliła ćwiczenie zwane *deportment*, które zmuszało dziewczęta do pozostawania nieruchomo w ciągu pół godziny lub godziny ze szklanką wody na głowie - dla wyprostowania kręgosłupa. *Headmistress* zdołała w ten sposób podwyższyć księżnę Ratigan o półtora cala, a Mrs. Cripplestone o jeden cal.

(*deportment* - tu: postawa)

³⁶ *the early morning tea* - pierwsza poranna herbata

³⁷ *dining-room* - jadalnia

Na odgłos wybuchu gejzeru cały ten świątek znalazł się w jednej chwili przede mną. W pidżamie spalonej w trzech czwartych przez eksplozję, z poczerniałą twarzą i rozczochranymi włosami, z ciałem przykrytym pośpiesznie ręcznikiem, zmuszony byłem stanąć twarzą w twarz wobec tych doskonale ubranych ludzi.

Mrs. Cripplestone spojrzała na mnie spoza swego lorgnon i natychmiast odwróciła wzrok od ohydny i *disgusting*³⁸ widoku, jaki przedstawiałem.



P o w y b u c h u : G o d z i n a s ą d u u M r s . C r i p p l e s t o n e

- Rzeczywiście - powiedziała nie patrząc na mnie - nie rozumiem, jak mógł pan zrobić coś takiego. Mrs. Pilkins (która stała za nią i nie uroniła ani okruszyny z tej przemowy) kąpie się dwa razy na tydzień od 1920 roku i nigdy nie miałam z nią tego rodzaju nieprzyjemności. *What a shame*³⁹!

*Most regrettable*⁴⁰... Mrs. Cripplestone zmuszona była posłać mi rachunek od hydraulika. I mimo że nie była natarczywa, zrozumiałem, że rzeczy mogą zajść daleko. Mówiąc szczerze, to, co przerażyło mnie najbardziej, to nie perspektywa zapłacenia rachunku ani nawet komizm stroju, w jakim ukazałem się Mrs. Cripplestone, wydając w ten sposób jej pensjonariuszkom zaraz pierwszego dnia tajemnicę, której wiele z nich nigdy by nie poznało. Najgorszy był ów nieznośny kompleks winy, który

³⁸ disgusting - odrażający

³⁹ what a shame - co za wstyd

⁴⁰ most regrettable - godne najwyższego pożałowania

przyłgnął do mnie od samego rana, gdy wszedłem do *dining-room* i gdy wśród szelestu warg i koronek usłyszałem szept:

- To ten *Frenchman*⁴¹, który spowodował wybuch gejzeru!

W ciągu następnych dni pozwolono mi wprawdzie używać łazienki na drugim piętrze, ale pod warunkiem, że Jennifer uruchomi piecyk. Ale gdy będąc u kogoś, raz popełnicie jakąś niezręczność, to potem nie ma już końca niezręcznościom. W dwa dni po katastrofie z piecykiem tak nieszczęśliwie machnąłem serwetką, że strąciłem na swą głowę różowy abażur lampy (z okresu Regencji).

Nie mogąc wytrzymać dłużej, opuściłem następnego dnia pensjonat Mrs. Cripplestone.

⁴¹ Frenchman - Francuz

IV. Królestwo łamigłówek

W Zjednoczonym Królestwie wszystko zrobione zostało jak gdyby dla zmylenia najeźdźcy, zarówno w czasie wojny, jak i w czasie pokoju.

Ukrywanie nazw ulic i numerów domów jest na przykład metodą stosowaną przez sztaby generalne całego świata po to, by dezorientować desanty spadochronowe. Anglicy z całą surowością stosują tę metodę również w czasie pokoju.

Jest rzeczą wręcz niemożliwą, aby obcokrajowiec obdarzony normalną pamięcią potrafił w niej wyryć pełny adres Anglika mieszkającego na wsi. Zdarza się, że zapamięta jakiś fragment takiego na przykład adresu:

MAJOR W. MARMADUKE THOMPSON
„The Tower”
Rowland's Castle
Rowland Hill Road
Marlborough Heights
Penddleton
Hampshire.

...ale biorąc pod uwagę, że nic z tego nie czyta się tak, jak się pisze - jakże nie zgubić połowy?

Gdy przybyłem do Penddleton, dowiedziałem się na wstępie, że to nie tu, lecz trochę na uboczu, dokładnie mówiąc w Fortescue. Wydostawszy się następnie na wzgórze, o którym jaikis przechodzień poinformował mnie, że jest to Marlborough Heights, wszedłem uradowany w aleję bez nazwy, która jak mię zapewnił kto inny, była Rowland Hill Road. Aleja wysadzona była po obu stronach około pięćdziesięcioma domkami z cegły, które różniły się między sobą jedynie kwietną dekoracją.

W większości krajów architekci, ukończywszy jeden dom, udają się trochę dalej i starają się zbudować drugi, odmienny dom. Tutaj jednak, gdy tylko jakiś budynek jest wykończony, nie traci się ani milimetra terenu i przylepia się do niego drugi taki sam: takie same cegły, takie same oszklone drzwi, takie same opuszczane okna, taki sam ogród, takie same meble. Prawdę mówiąc, Anglik może stwierdzić na pewno, że trafił do siebie, dopiero wówczas, gdy zobaczy głowę swej żony - jeżeli oczywiście nie pił przedtem.

I to jeszcze nie jest pewne... Gdyż - rzecz dziwna - można by powiedzieć, że podobieństwo domów zrodziło izomorfizm mieszkańców. Gdy Pan Bóg ma trochę czasu i rzuca okiem o ósmej rano na Anglię, widzi (jeżeli pogoda jest ładna) dwadzieścia milionów egzemplarzy tego samego mężczyzny, który opuszcza ten sam ogród, położony przed tym samym domem, obrzuciwszy przedtem czułym spojrzeniem tę samą kosiarkę do trawy i złożywszy roztargniony pocałunek na policzku (lewym) tej samej kobiety, która po tym samym „do widzenia” przechodzi przez oszklony *living-room*⁴², gdzie te same dzikie kaczkę lecą kluczem na tym samym obrazie Peter Scotta („*Sunset on the River*”, czyli „Zachód słońca nad rzeką”), aby wejść do tej samej sypialni, gdzie zacnie robić toaletę przed tym

⁴² living-room - salon

samym *dressing-table*⁴³, ozdobionym trzema takimi samymi przedmiotami: okrągłym lustrem, paczką zakrętek do włosów i butelką perfum „Evening in Paris”⁴⁴.

Wszedłszy na Rowland Hill Road spostrzegłem, że niektóre domy nosiły nazwę, inne - numer, żaden zaś nie miał i jednego, i drugiego, a liczne - ani jednego, ani drugiego.

Spytałem jakiegoś mieszkańca, uprawiającego swój ogródek, czy zna dom majora Thompsona.

- Chce pan powiedzieć „The Castle”.

- Nie, „The Tower”.

- Tak, to będzie to...

Odnalazłem więc Majora w „The Tower”, który okazał się „The Castle”, w Pendleton, który okazał się Fortescue. W każdym razie było to dość daleko od Rowland Hill Road, którą już dawno opuściłem, choć znajdowałem się na niej wciąż jeszcze. Dom Majora - z wysokimi kominami z cegły, z gotyckimi oknami - nie miał co prawda charakteru feudalnego zamku, ale nosił na sobie piętno Tudorów.

Mimo ostrego północnego wiatru, który dął na wzgórzu, Marmaduke, w szarych flanelowych spodniach, kurtce w paski, z gołą głową i fajką w ustach, uprawiał swój ogródek. Wyglądał jak za swych najlepszych dni, czego nie dało się powiedzieć o Martine, której głowa była ściśnięta między dwiema częściami podnoszonego okna na piętrze; klęła też długo na ten system wietrzenia.

- Całe szczęście, że zostajemy tu tylko dwa miesiące!⁴⁵ - wołała. - Przez te wszystkie trofea myśliwskie wciąż uderzam o jakiś ząb słoniowy lub szczękę tygrysa! Nigdy nie przyzwyczaję się do życia w tej menażerii!

Po tych słowach wypchany łeb czarnej pantery przemierzył powietrze i wylądował u stóp ogrodnika-majora, który przyjrząwszy mu się, powiedział tylko:

- Sumatra... 1932...

Po czym major Thompson wziął się ponownie do sadzenia „Glorious Gladioli”, umieszczając na przemian żółty gatunek „Nelson” obok czerwonego „Marszałek Montgomery”, według wskazówek podawanych na pierwszej stronie „Timesa” przez firmę Cuthbert and Co - The Nation's Nurserymen⁴⁶ od 1797 roku.

Wyraźnie poirytowana flegmą Marmaduke'a, Martine wyszła przed dom i zaczęła złorzeczyć na wszystkie niewygody tego rodzinnego domostwa.

- Niech pan mi tylko nie opowiada o angielskim komforcie! - zwróciła się do mnie. - Mocno przeceniony! Po pierwsze drzę tu z zimna. A następnie...

⁴³ *dressing-table* - toaletka

⁴⁴ „Evening in Paris” - „Wieczór w Paryżu”

⁴⁵ Major osiedlił się we Francji, ale od czasu do czasu wraca do swego domu w Hampshire.

⁴⁶ „Narodowi hodowcy kwiatów”. Angielski jest zapewne jedynym językiem na świecie, w którym to samo słowo (*nursery*) oznacza miejsce, gdzie wychowuje się dzieci, i miejsce, w którym hoduje się petunie.

- To wszystko dlatego, że nie jesteś wdrożona, *dear*⁴⁷! - przerwał jej Major. - My jesteśmy zaprawieni do zimna od dzieciństwa. W college'u, chcąc ramię umyć się, musiałem rąbać lód w wannie i mam nadzieję, że dzisiejsza młodzież robi to samo⁴⁸. Nabieramy sił, bo nauczono nas znosić zimno, a potem znosimy zimno, bo nabraliśmy sił.

- Gadasz głupstwa, Marminetku - rzekła ułagodzona Martine. - Częściej przebywacie w łóżku z waszą *flu*⁴⁹ niż my z naszą gripą. Wszyscy wiedzą, że istnieje tylko 50 procent prawdopodobieństwa, aby zimną znaleźć Anglika tam, gdzie wyznaczyło mu się spotkanie, i to nie dlatego, że jest niepunktualny, ale dlatego, że połowa Anglii leży w łóżku.

- Nieprawda!⁵⁰ - zawołał Major.

- Nie gadaj! Stale się zaziębiacie, a w waszych przeklętych łazienkach ledwie można się umyć. Przypomina mi się dramat, jaki zrobiłeś w Châteauroux, dlatego że umywalka była trochę zatkana. To właśnie tak - przeklinacie urządzenia hydrauliczne w Châteauroux, ale godzicie się łamać lód w Salisbury, byleby tylko było to w stylu Tudor!

- *Preposterous*⁵¹! - zawołał Major. - W każdym razie my się myjemy... i nawet częściej niż pewne wysubtelnione nacje, które nie mogą się obejść bez ciepłej wody!... Najlepszy dowód, że Francuzi myją się mało, to to, że w niedzielę wyglądają znacznie czystiej!

- W niedzielę wy myjecie się jeszcze mniej!... Z tym waszym zmysłem przekory... Angielskie zamki to prawdziwe lodownie, w których najzimniejsza jest łazienka, czyli miejsce, gdzie rozbieracie się do naga. Żeby przynajmniej można było spać... Ale przy tym ohydnym systemie koców człowiek budzi się stale, bo mu zimno w nogi. Nie znoszą tego!

- Martine, *dear*, wy lubicie komfort w łóżku. My też lubimy komfort. Nigdzie nie czuję się gorzej niż w waszych przeklętych salonach na krzesłach w stylu Ludwika XVI lub Dyrektoriatu; człowiek chętniej z nich wstaje, niż na nich siada. Żeby porozmawiać z kimś wygodnie, trzeba we Francji pójść do łóżka.

- Moja ty Marminko... Wciąż te przestarzałe poglądy o lubieżnej Francji!

⁴⁷ *dear* - droga

⁴⁸ Major może być co do tego spokojny. Zwiedziłem osobiście kilka angielskich college'ów i stwierdziłem, że jest tam zawsze tak zimno, jak tylko być może. Można by nieomal powiedzieć, że w Anglii panuje prawdziwy kult wyrzeczeń i niewygód. Od dwóch tysięcy lat Anglicy nie tylko chłodzą się ustawicznie, ale uczynili z zimna jedną ze swych siedemdziesięciu religii. Niedawno - zanim podobny eksperyment podjęty został, w lecie, przez Francuzów - dwóch studentów z Reading, ubranych w skóry zwierzęce, sypiało w workach od kartofli, trzęsąc się z zimna przez trzy noce w jakiejś jaskini w okolicy miasta. Chcieli udowodnić, że można żyć dzisiaj tak, jak w czasach przedhistorycznych. Nie udało im się oczywiście skrzesać ognia przez pocieranie kamienia o kamień. Zmuszeni byli użyć zapalek. Poza tym jednak eksperyment udał się w pełni: wyszli ze swej groty w Whiteknights Park na wpół martwi, ale zachwyceni. Anglicy uwielbiają zamrażać się i spacerować przy 15 stopniach zimna do figury lub w trenczu, aby pokazać, że gwiżdżą na mróz. W niektórych klubach angielskich temperatura, nawet zimą, nie ma prawa przekroczyć 10 stopni C.

⁴⁹ *flu* - influenza, grypa

⁵⁰ Prawda! Autor, który przebywał w tym czasie w Anglii, zmuszony był anulować swe spotkania w proporcji 49,5 procent.

⁵¹ *preposterous* - śmieszne, bzdurne

- Nawet Katarzyna Mansfield to mówiła, a przypomnij sobie, że nie pochodzi ona z Anglii, lecz z Nowej Zelandii. W każdym razie w naszych domach znajdzie się zawsze kąt, gdzie można usiąść w głębokim fotelu, czując się tak *comfortable*⁵², że nie ma się ochoty ani wstać, ani się położyć.

- I dlatego wasze kobiety zanudzają się, podczas gdy wy drzemicie w swych ponurych klubach ukryci za „Timesem”, udając, że czytacie artykuły o polityce Ministerstwa Kolonii w górnej Ubanga...

- Uganda! - poprawił Major.

- Ubanga, Uganda... Niech będzie, gdzie chce! W każdym razie ja nie mam zamiaru pleśnieć tu dłużej... Zresztą musimy jechać do Londynu, już choćby po to, aby pokazać miasto Pochetom! Ledwie mieliśmy czas odprowadzić ich do hotelu!

Bywają chwile, kiedy należy umieć zniknąć. Doszedłem do wniosku, że powietrze jest zbyt naładowane elektrycznością, aby pozostawać dłużej u Majora. Wobec nastroju, w jakim znajdowała się Martine, obecność gościa na pewno nie rozładowywała atmosfery. Pod pretekstem spotkania umówionego z Pochetami skróciłem swą wizytę.

- Niechże pan mi jednak powie - spytałem Majora przed rozstaniem - dlaczego z taką zaciekłością ukrywacie nazwy waszych dróg i usuwacie numery z diabelnie do siebie podobnych domów, tak że nigdy nie można się zorientować, gdzie się jest?

- Niby po co? Albo pan tu mieszka i orientuje się pan, albo pan tu nie mieszka i nie ma pan potrzeby się orientować. Dzięki temu mamy spokój, jeżeli tylko nie nachodzą nas tacy ludzie jak pan.

Trzeba po prawdzie stwierdzić, że rzeczy mają się w ten sposób tylko na wsi. W Londynie wszystko jest dużo bardziej skomplikowane. Tutaj prawie wszystkie domy, choć podobne do siebie, oznaczone są numerami w sposób całkiem wyjątkowy. Próba odnalezienia wielce wiktoriańskiego domu Mrs. Cripplestone kosztowała mnie już wiele czasu, ponieważ usiłowałem naiwnie znaleźć numer 58 między numerem 56 i 60.

- Niech pan popatrz tutaj - powiedział mi jakiś przechodzień i przyprowadził w okolice numeru 37.

Zdarza się istotnie, że jakiś numer jest na swoim miejscu, ale po pewnym czasie można się tak przyzwyczaić, że go tam nie ma, iż się go tam wcale nie szuka. Ogólnie rzecz biorąc, numery nie następują jedne po drugich. Byłoby to zbyt monotonne. Po jednej stronie ulicy numery idą w górę, po drugiej - w dół. Niekiedy przestają schodzić w dół i zacierają w górę, po czym - zmęczone - znów schodzą.

Od Tacyta do Gallouédeka poprzez Diderota wszyscy godni zaufania pisarze podkreślali, że Anglicy to ludzie pełni melancholii, ponurzy i osowiali. Jest to teren jak najwłaściwszy dla kultywowania humoru, będącego w Anglii wesołą rośliną podlaną smutkiem. Nawet gdy Anglicy śmieją się, nie widać tego. Gdzie więc podziła się ich fantazja? Częściowo włożyli ją w numerację swoich domów i w same domy. Będąc mistrzami dowcipu, Anglicy osiągnęli cud: mają humor „nieruchomościowy”.

⁵² comfortable - wygodnie

Turysta we Francji ma często wrażenie, że śmieją się z niego w domach, spoza żaluzji. W Anglii, gdzie nie ma żaluzji, same domy kpią sobie z człowieka.

Już nawet ulice są niebywale kapryśne. Wystarczy chwila nieuwagi, aby zmieniły lub straciły zupełnie swą nazwę. Niekiedy tracą ją na minutę, przybierają inną, po czym - po zastanowieniu - powracają do poprzedniej. Urocza fantazja!

Zdarza się także, iż jakaś arteria ma wciąż tę samą nazwę po prawej stronie, ale ją zmienia po lewej. Pochet został niedawno zbesztany przez żonę, ponieważ przyszedł z trzygodzinnym opóźnieniem na 55 Prince's Gate, a to dlatego, iż nie uprzedzono go, że ulica ta znajduje się na Exhibition Road. Ulicom angielskim nie tylko przykrzy się nosić tę samą nazwę, ale ponadto nie lubią one leżeć w tej samej dzielnicy. Wyobraźcie sobie, że ulica Raynouard w Paryżu leży naraz w XVI dzielnicy, w Porte Champerret i w Palais-Royal, a będziecie mieli obraz sytuacji. Jest to sportowa strona topografii angielskiej, która pełna chwalebnej niepewności, posłuszna jest głównemu prawu Zjednoczonego Królestwa, polegającemu na tym, aby pozostawić zawsze jakieś miejsce przypadkowi i dać szansę słabemu. Zgodnie z tym prawem, jest rzeczą niehonorową strzelać do lisów, jak również umieszczać na Świętej Helenie Napoleona, nie tworząc jednocześnie stowarzyszenia, które by starało się ułatwić mu ucieczkę⁵³; to prawo stosuje się zarówno do rzeczy, jak do ludzi i zwierząt.

Czyż nie jest sprawiedliwe, że droga krzyżuje plany zachłannych automobilistów przy pomocy pasaży i placyków? Gdyby nie było w Londynie dwudziestu trzech High Street, trzynastu King Street i jedenastu Duke Street, cóż za zasługą byłoby znalezienie ulicy, której się szuka?

Zresztą trzeba przyznać, że Anglicy są bardzo uprzejmi. Gdy widzą, żeście się zgubili, nie wahają się towarzyszyć wam, aż dopóki nie zgubią się sami. Oddają was wówczas w ręce innego obywatela albo w ręce policjanta, który poleca wam zazwyczaj wsiąść w metro lub tłumaczy wam drogę w sposób absolutnie niezrozumiały.

Wkrótce po mojej wyprawie do „The Tower” wyruszyliśmy na poszukiwanie Shrewbury Place, gdzie znajduje się mieszkanie pułkownika Basila Cranborne - przyjaciela Marmaduke'a. Miałem wówczas okazję zobaczyć, jak Pochet zmagał się z jednym z owych imponujących policjantów, którzy spoglądają na was zawsze z góry na dół. Otrzymałszy od *bobby*⁵⁴ wyjaśnienia, Pochet zwrócił się do mnie całkiem zbity z tropu:

- Nie jestem mądrzejszy niż przedtem. Nic dziwnego, że ci ludzie nie mają takiego apetytu jak my. Między posiłkami połykają połowę swych słów. A mają ich 450 000⁵⁵. Nic nie rozumiałem z tego, co mi ten dzielny człowiek powiedział, oczywiście oprócz *you can't miss it!* co znaczy: „nie może pan zbłądzić”. I tak błędzę dosyć często, ale kiedy Anglik mi mówi *you can't miss it* - błędzę zawsze.

⁵³ Stowarzyszenie to, mało znane we Francji, liczyło wielu członków w Wielkiej Brytanii, gdzie wbrew temu, co można by sądzić, Hudson Lowe, któremu powierzono strzeżenie Napoleona, nigdy nie miał dobrej prasy, podczas gdy Cesarz posiada wciąż wielką popularność: znalazł się on na czele listy wraz z marszałkiem Montgomery, wyprzedzając Nelsona, Churchilla i Wilhelma Zdobywcę... w ankiecie zorganizowanej wśród uczniów jednej z londyńskich szkół przez profesora Franka Dasha, który dwunastoletnim dzieciom zadał pytanie: „Kogo podziwiasz najbardziej?”

⁵⁴ *bobby*, l. mn.: *bobbies* - policjant

⁵⁵ Dokładnie: w Oxford English Dictionary 455 000 słów wobec 70 000 w dużym Larousse i 40 000 w Słowniku Akademii.

Sami Anglicy gubią się w swym labiryncie. Jakże mogłoby być inaczej?

Przypuśćmy, że szukamy placu Shrewbury i że znajdujemy się w alei Shrewbury; mamy wówczas prawo oczekiwać, że za chwilę wynurzy się przed nami jakiś plac. Ale w Anglii place są wszystkim, tylko nie placami. Plac to jest *square*. Ale skwer może być także *close*. Zważcie przy tym, że *close* może być małą uliczką. Podobnie jak *avenue*⁵⁶ może być placem. Bądź co bądź, faktem upraszczającym całe zagadnienie jest to, że *terrace* nigdy nie jest tarasem. Jest to całkiem po prostu ulica. I na co ta cała łamigłówka? Takie pytanie może sobie zadać tylko mieszkaniec Kontynentu, który ze swoją przekłętą logiką chce za wszelką cenę znaleźć ogród, gdy mu się mówi *garden*, lub bramę, gdy informują go o *gate*. Jest to dowód naiwności... Po co ulicę nazywać po prostu ulicą, skoro w Anglii istnieje sześćdziesiąt pięć sposobów na określenie ulicy? Stajnia (*mews*) lub półksiężyc (*crescent*) to także bardzo ładne.

- A może tak napilibyśmy się czegoś? - powiedział zmęczony Pochet.

Udało się nam znaleźć otwarty *pub*⁵⁷. Ledwo jednak zamówiliśmy po jednej whisky, gdy poproszono nas, abyśmy ją natychmiast wypili.

- Mają panowie jeszcze trzy minuty czasu - powiedział kelner.

Zobaczyliśmy wówczas ze dwudziestu konsumentów śpieszących naprzeciwko, do innego pubu, który zamykano o pół godziny później. Rzecz w tym, że obie strony ulicy podlegały dwóm radom dzielnicowym, na co wskazywały nie tylko inne godziny urzędowania pubów, ale także oświetlenie: nasza strona miała latarnie gazowe, przeciwna - neony.

- Czy mógłbym - zapytał Pochet - wziąć ze sobą butelkę whisky?

- Niech pan przeczyta zarządzenie - odpowiedziano mu.

Przeczytaliśmy:

1. *Gościom nie wolno wynosić żadnych spirytualiów poza godzinami legalnymi, przewidzianymi na konsumpcję.*
2. *Zamówienie złożone w godzinach otwarcia lokalu może być wykonane z dostawą do domu poza godzinami otwarcia.*
3. *Zamówienie przyjęte z zewnątrz podczas godzin zamknięcia może być wykonane z dostawą do domu poza godzinami zamknięcia, jeżeli jednak w międzyczasie lokal był otwarty*⁵⁸.

- To niech już mi pan da raczej aspirynę - powiedział Pochet.

Kaprys czy rzeczywistość? Tak czy owak, Pocheta całkiem po prostu rozbolała głowa. Gdy wyszliśmy na ulicę, wstąpił do apteki, aby kupić aspirynę, a przy okazji również pastę do zębów. Aptekarz zgodził się sprzedać mu aspirynę, ale jeżeli chodzi o pastę do zębów, którą miał pod ręką, to minęła

⁵⁶ *avenue* - aleja

⁵⁷ Public House, czyli lokal, w którym konsumpcja jest dozwolona tylko między godziną 11 i 15 oraz 18 i 22.30, zależnie od dzielnicy miasta.

⁵⁸ Z tego zarządzenia wynika jasno, że z chwilą gdy drzwi pubu są zamknięte, nie można wynieść z niego butelki whisky, ale można ją dostać, jeżeli każe się ją odesłać do domu.

przewidziana godzina sprzedaży... W ten sposób Pochet dowiedział się, że w Zjednoczonym Królestwie jest czas na ból głowy i jest czas na mycie zębów.

- Co za kraj! - westchnął.

Było bardzo późno, gdy dotarliśmy wreszcie do domu pułkownika Basila Cranborne. Na jego wizytówce, którą miałem w ręku, było napisane *ground floor*⁵⁹, zadzwoniłem więc do drzwi, które wydawały mi się być na parterze. Otworzyła mi stara Lady.

- Pułkownik Cranborne?

- Piętro wyżej.

- Ależ... czy to nie jest parter?

- No⁶⁰, to jest *basement*⁶¹.

- A parter?

- Musi pan wejść wyżej. Zdaje się zresztą, że tam nikt nie mieszka.

Z tego dziwnego dialogu wywnioskowałem, że gdy w niektórych domach londyńskich mówią wam, że parter jest nie zamieszkanym, to znaczy, że mieszkańcy są na pierwszym piętrze.

W gruncie rzeczy wystarczy porozumieć się co do znaczenia słów. Ale i w tej dziedzinie Anglicy zrobili wszystko co możliwe, aby wprowadzić w błąd obcokrajowca. Nie dość na tym, że pożyczyci od zagranicy około trzydzieści dwa tysiące słów i nigdy ich nie zwrócili, ale co więcej, niesyci ich posiadania, nadali im w wielu wypadkach znaczenie bardzo różne od pierwotnego. Wystarczy, żeby jakiś termin francuski został skonfiskowany przez język angielski, a przestaje znaczyć to, co przypuszczacie, jeżeli tylko nie znaczy czegoś całkiem przeciwnego. A kiedy Francuzi, z przyjaźni, przypadkowo przyjmą do swego słownika jakieś słowo angielskie, Anglicy natychmiast zaczynają twierdzić, że dla nich słowa te nic nie znaczą.

Dla Anglika *billion* znaczy trylion, a *trillion* - bilion, *cap* to kaszkiet, a *casket* to pudełko, *man* to człowiek, a *merchantman* to statek handlowy. Anglicy upierają się, aby używać metra, który ma 914 mm, funta, który ma raz 450, a raz 480 gramów, tony o wadze 1 016 kg, ale również 907 kg, uncji, która nie jest taka sama w aptece i sklepie spożywczym. Jasne, że chodzi im tylko o sianie zamętu i możliwość wprowadzenia piekielnych wynalazków w rodzaju krykieta, którego ukrytym celem jest zdemoralizować obcokrajowca, przyprawić go o migrenę, gdy usiłuje coś zrozumieć, a o wariactwo, gdy wydaje mu się, że rozumiał⁶².

- Gdy pomyślę - powiedziała mi pani Pochet - ile trudu musiałam sobie zadać, aby nauczyć się, że funt ma 20 szylingów, szyling 12 pensów, a pół korony 2 szylingi 6... I po co to wszystko?... Po to, aby

⁵⁹ ground floor - parter

⁶⁰ no - nie

⁶¹ basement - suterena

⁶² A cóż dopiero powiedzieć o ich niewiarogodnym języku wojskowym! - zauważył pułkownik Turbot. - Gdy pomyślę, że *brygadier* znaczy generał, *general* - pokojówka, a *corporal* - brygadier, tracę wprost swe galony.

w pierwszym sklepie, w którym chciałam kupić sweter kaszmirowy, podano mi cenę w gwineach, czyli w monecie nie istniejącej od 138 lat, ale mającej wciąż jeszcze nieco większą wartość od funta! O, nie! Co za łamigłówka!

V. Natrętnie jajko

Anglicy mają tę przewagę nad innymi narodami, że przyprawiają o kompleks niższości każdego obcokrajowca, z chwilą gdy postawi on nogę na angielskiej ziemi. A nawet jeszcze przedtem.

Pochetowie byli bardzo radzi, że mogli wniknąć do Zjednoczonego Królestwa wraz z majorem Thompsonem. Ale weszli tu przez dwie różne bramy. Major, będąc *British subject*⁶³, deptał już swobodnie ziemię Albionu, gdy *aliens* przechodzili jeszcze przez sito kontroli.

Słowo *alien*⁶⁴ ma dar irytowania pani Pochet.

- Mimo wszystko nie jesteście zapowietrzeni! I gdy pomyślę, że ci ludzie uważają się za najbardziej cywilizowanych w świecie! Na dobrą sprawę można by do nich przyjechać metrem, a zmuszają was do znoszenia morskiej lub powietrznej choroby. I wszystko przez kałużę wody nie większą niż odległość Paryż-Barbizon! Skutek jest taki, że przyjeżdżacie tu poniżeni...

Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy urzędnicy Jej Wysokości skonfiskowali jej białego pudła Kropkę, gdyż Kropka, jako pies kontynentalny, miała prawo wjechać do Zjednoczonego Królestwa dopiero po sześciomiesięcznej kwarantannie. W istocie każdy wie, że od 1885 roku (porównaj Pasteur) wszystkie francuskie psy są wściekle. A ponieważ Kropka, ze wzruszenia zapewne, zapomniała się pod czerwonym słupem granicznym Royal Mail⁶⁵, celnik dorzucił:

- Nauczmy go tu zachowywać się przyzwoicie⁶⁶.

Pożegnanie z Kropką, pod surowym okiem urzędników emigracyjnych, było rozdzierające. Pani Pochet gotowa była wsiąść z powrotem na statek.

- Mógł pan mnie uprzedzić, Majorze - powiedziała do Marmaduke'a.

- Sądziłem, że pani wie - powiedział Major, który na krzyki wzniesione przez panią Pochet wyszedł na chwilę ze Zjednoczonego Królestwa, aby wstąpić na „ziemię niczyją” obcokrajowców.

Pani Pochet spróbowała podejść cerbera:

- *I demand*⁶⁷ you, please...

Urzędnik emigracyjny przyjął bardzo nieprzychylnie tę prośbę.

- *Demand* znaczy żądam - wyjaśnił Major. - Nie używa się tego w Anglii. Niech pani powie *I ask*⁶⁸ ...

⁶³ British subject - brytyjski poddany

⁶⁴ Istnieje po angielsku z pół tuzina słów na określenie Albionu (Zjednoczone Królestwo, Wyspy Brytyjskie itd.) i drugie tyle na określenie „obcokrajowca”. Urzędy mają jednak predylekcję do tego wyrażenia, przypominającego najbardziej francuskie „aliéné”. (alien - obcokrajowiec aliéné (franc.) – wariat)

⁶⁵ Royal Mail - dosłownie: Poczta Królewska, nazwa linii okrętowej

⁶⁶ Anglicy zapewniają, że ich psy, przywykłe do dyscypliny od najmłodszego wieku, są wychowane lepiej niż inne psy. Musi coś być w powietrzu angielskim, co sprawia, że psy są tu przyzwoitsze niż na Kontynencie. Popatrzenie choćby tylko, w jaki sposób ich panowie zwracają się do nich jak do gentlemenów, mówiąc na przykład: „Zechcesz opuścić pokój, Master Dick! (Master Dick - mój panie Dick)”

⁶⁷ demander - po francusku: prosić

- Nie będę o nic „askować”. Trochę tego wszystkiego za dużo!

Podczas gdy panią Pochet pozbawiono Kropki, pan Pochet również zmagał się z policją. Pierwsze pytanie, które zadaje się obcokrajowcowi przy wjeździe do Wielkiej Brytanii, brzmi: „Ile czasu zamierza pan pozostać?” Jest to tyle, co zapytać: „Kiedy pan wyjedzie?” Drugie pytanie: „Co zamierza pan tu robić?” Nic bardziej nie mąci spokojnego sumienia niż takie pytanie. Gdy urzędnik Jej Wysokości pyta mnie, co będę robić w Anglii, natychmiast sam przestaję wiedzieć, co będę tu robił. I najniewinniejsza wizyta nabiera od razu charakteru, który może zaalarmować Scotland Yard. Ale nie należy również udawać cwaniaka i odpowiadać tak, jak to uczynił Pochet, zawsze skłonny do błazeństw.

- Gdyby pana o to zapytać, mój przyjacielu, powiedziałby pan, że pan sam nie wie...

I wybuchnął na te słowa śmiechem, który nie zachwyił, zdaje się, urzędnika. Podsunięto mu pod nos spis artykułów zakazanych przez urzędy celne Jej Wysokości, gdzie pod godłem przedstawiającym lwa i jednorożca figurowały jako niedopuszczalne: papugi, piźmoszczury i udźce baranie (chyba że były uprzednio ugotowane na Kontynencie).

Dziecięcy strach przed popełnieniem niewłaściwości opanowuje obcokrajowca od chwili przybycia i towarzyszy mu aż do chwili opuszczenia tego kraju. To uczucie niepewności ma w sobie coś z cudzołóstwa - przynajmniej dla człowieka z Kontynentu. Wystarczy, aby żonaty mężczyzna udawał się na tajną schadzkę, a już droga, którą zmierza, usiana jest spokojnymi spacerowiczami trzymającymi za rękę swe dzieci lub cnotliwymi obywatelami o czystych sumieniach, którzy normalnie nigdy nie zbaczają, zdawałoby się, z trasy: dom rodzinny - biuro, ale których uczciwe spojrzenie przesywa rozpustne ciągoty winnego. Tutaj 53 miliony obywateli-policjantów⁶⁹ spogląda pełnym dezaprobaty okiem na Francuza, gotowego przesunąć się o dziesięć miejsc naprzód w kolejce i złamać tę podstawową *rule*⁷⁰, której Anglikom nigdy nie przyjdzie na myśl naruszyć.

Reguła i - surowsza niż kodeks wyryty w marmurze - tradycja, oto obok antracytu najcenniejszy surowiec, którym dysponuje Wielka Brytania.

W tym kraju wystarczy spacerować, oddychać i zatrzymywać się gdziekolwiek, aby czuć na sobie ciężar tysiącletniej historii; największe zagęszczenie historyczne panuje przy tym w londyńskiej Tower z jej murami ociekającymi książęcą krwią i ponurym lochem, w którym Edward IV kazał utopić swego brata w beczce z małmazją.

Anglicy uwielbiają telefonować z lektyki z XIII wieku, pić sok pomidorowy w *old inn*⁷¹ założonej w 1135 roku, zasiadać przy stole z XVI stulecia, aby skosztować elżbietańskich ogórków⁷², i udawać się do toalety, którą wskazuje napis z gotyckich liter

⁶⁸ I ask - proszę

⁶⁹ Jeszcze niewiele ponad wiek temu Anglicy byli sami swą policją. Ujawnia się to zarówno w ich poczuciu dyscypliny, jak w ich sympatii do *bobbies* w niebieskich kaskach, jedynych policjantów w świecie, którzy nie są uzbrojeni (zawdzięczają swą nazwę zdrobniałemu imieniu twórcy policji angielskiej sir Roberta Peel).

⁷⁰ rule - zasada

⁷¹ old inn - stara gospoda

Łabatory⁷³

Pewnego dnia, wszedłszy do sklepu z papierosami na Haymarket, poprosiłem o tytoń. Od razu spostrzegłem, iż popełniłem błąd. Nie wchodzi się do Fribourg and Trayer, Tobacconist, Established 1720 prosząc po prostu o tytoń. Sprzedawca nie byłby bardziej zdumiony, gdybym zażądał plastra miodu. Tytoń? Zgoda, ale jaki tytoń?

- Jeżeli pan chce - podszeptał mi major Thompson, który mi towarzyszył - może pan poprosić o Waterloo Mixture, Wingate Mixture albo o jakąkolwiek inną mieszankę zapisaną z ojca na syna przez klientów Fribourg and Trayer w ich książce zamówień od 1720 roku. Może pan, jak piękny Brummel, Mrs. Siddons lub Disraeli, dostać mieszankę Masulipatam i Latakia, ale - na miłość Boską! - niech pan nie żąda tytoniu... Czy po to wzywam specjalnego kelnera od win, gdy jestem w Tour d'Argent, aby poprosić o karafkę zwykłego wina? Niechże pan spróbuje raczej mojej mieszanki... Jest to mieszanka Williama Pitta...

Nawet gdy Major pali, z jego fajki wydobywa się historyczny kłąb dymu.

Ponieważ byliśmy w okolicy St. James's Street, a Pochet pragnął kupić kapelusz, skierowaliśmy się do pradawnego sklepu Locka (*established*⁷⁴ 1759), gdzie na wystawie - jak sztandary w Pałacu Inwalidów - spoczywają podziurawione trofea (m. in. pierwszy melonik - z XIX wieku). Pochet położył rękę na klamce, gdy Major zauważył:

- Drogi panie Pochet, te same drzwi otwierał Nelson...

Jest to przypomnienie, które w chwili gdy wchodzi się do kapelusznika, może przyprawić najbardziej zrównoważonego człowieka o zawrót głowy. Pochet (powiedział mi to potem) poczuł, jak jego miękki kapelusz kurczy mu się na głowie pod wpływem doznanego upokorzenia. Popatrzawszy chwilę na umieszczony pod szkłem rachunek, który w 1760 roku zapłacił dostojny książę de Bedford, Pochet powierzył swą czaszkę opiece uroczystego subiekta, który pełnym obrzydzenia okiem obrzucił dziwny i obcy kapelusz swego klienta.

- Chciałbym - powiedział Pochet - kupić melonik.

- My nie sprzedajemy meloników - powiedział subiekt - my je robimy na miarę. (*We don't sell bowlers, Sir. We fit them*).

Co powiedziawszy sprzedawca zniknął, powrócił i wcisnął na czoło Pocheta gorącą masę melonika, która po kilku sekundach nabrała twardości drzewa. W pięć minut później Pochet wyszedł, mając po raz pierwszy w życiu datę na głowie: 1759.

Anglicy mają zamiłowanie nie tylko do starych rzeczy⁷⁵. Jeden z ich ulubionych sportów to pogoń za precedensami. Gdy tylko zdarzy się w ich ojczyźnie coś nowego, przede wszystkim sprawdza się, czy

⁷² Reklama „Gore Hotel” (w South Kensington) zaprasza, byście zjedli obiad w „Elizabethan Room” „jak Falstaff przed 366 laty” w otoczeniu provocative service (kelnerki ubranych w stroje z XVI wieku), „tak niegdyś lubianych przez naszych lordów i panów”. (provocative service - podniecająca obsługa)

⁷³ lavatory - umywalnia

⁷⁴ established – założony

⁷⁵ Nic lepiej nie świadczy o miłości, jaką Anglicy żywią do wszystkiego, co stare, niż przykład doktora Robinsona, przyjaciela Marmaduke'a, do którego udałem się z wizytą. Ze zdziwieniem zauważyłem parokrotnie przed jego

nie zaszło już coś podobnego przedtem. Przypuśćmy na przykład, że ekipa futbolowa Arsenalu strzeliła trzy bramki w cztery minuty. Dwa tysiące pięćset kronikarzy zaczyna śpiesznie przerzucać almanachy w poszukiwaniu precedensu. Wyobraźcie sobie teraz, że zatrzymaliście swój wóz w poprzek mostu Londyńskiego; na pewno będziecie mieli przykrości z policją. Jeżeli wszakże potraficie dostarczyć dowód, że zgodnie z przywilejem nadanym mu przez Jego Łaskawą Wysokość, wasz przodek hrabia de Sherborne otrzymał w 1496 roku prawo zatrzymywania swej karocy na środku mostu, macie poważne szanse wygrania sprawy⁷⁶. Nowość niepokoi Brytyjczyków. Precedens ich uspokaja. Robią obławy na precedensy jak my na króliki. W gruncie rzeczy nie lubią robić niczego, co nie zostało zrobione przed nimi choćby jeden raz od 1066 roku. Może dlatego tyle Angielek umiera starymi pannami.

Podczas gdy Francuzi biją się słownikiem Littrégo o to, czy należy mówić *le Normandie*, *la Normandie*, czy krótko: *Normandie*, Anglicy - mniej wojowniczy, jeżeli chodzi o sprawy językowe - staczają straszliwe boje o daty.

Szczególnie często widownią tych zapasów jest „Times”.

Całkiem niedawno Mr. N. J. Lambert (42, Baker Street, London W. I) napisał do redaktora tego szanowanego dziennika, aby go zawiadomić o obecności sadzonego jajka w *mixed grill*⁷⁷, które podał mu pewien restaurator w West End. Nigdy, według jego informacji, nie popełniono takiej nieprzyzwoitości. Ale Anglik powinien wiedzieć, że nigdy nie wolno mówić nigdy.

Rzeczywiście, w dwa dni później „Times” opublikował list Mr. J. P. Gabbatta (Durford Edge, Petersfield, Hampshire), który wspomniął o obecności jajka w *mixed grill* w Cambridge w roku 1922. Pięćset tysięcy Anglików pasjonowało się w ciągu tygodni rubryką „Timesa” zatytułowaną *The intrusive egg*⁷⁸, przy czym, jak się zdaje, ostatnie słowo przypadło Mr. Kevin Fitzgeraldowi (Fiat 3, 30,

domem rolls-royce'a model 1925, z troskliwie wypolerowanymi częściami chromowymi; zapytałem go, czy nie wie, kto jest właścicielem tego zawsze nieruchomego samochodu. „To ja” - odpowiedział mi. „I nie ma pan ochoty zamienić go na jakiś nowszy model?” „Mówiąc prawdę, samochód, którego używam, znajduje się w garażu z drugiej strony domu. Ten zaś nigdy nie jeździ, ale przez wzgląd na klientelę - to lepiej...”

⁷⁶ Pewien profesor prawa międzynarodowego wywołał niegdyś skandal na Londyńskim Uniwersytecie wygłaszając swą tezę po francusku. Gdy jego koledzy zauważyli, że jest to przeciwne wszelkim obyczajom, odparł, że opiera się na dekrete wydanym w 1116 roku. Wszyscy byli zachwyceni.

Trzeba było przeszło półtora wieku, aby spostrzec, że grenadier, który stoi na posterunku przy Downing Street 10, został tam skierowany przed 167 laty na skutek zamachu na Walpole'a i że jego obecność nie odpowiada dziś żadnej potrzebie.

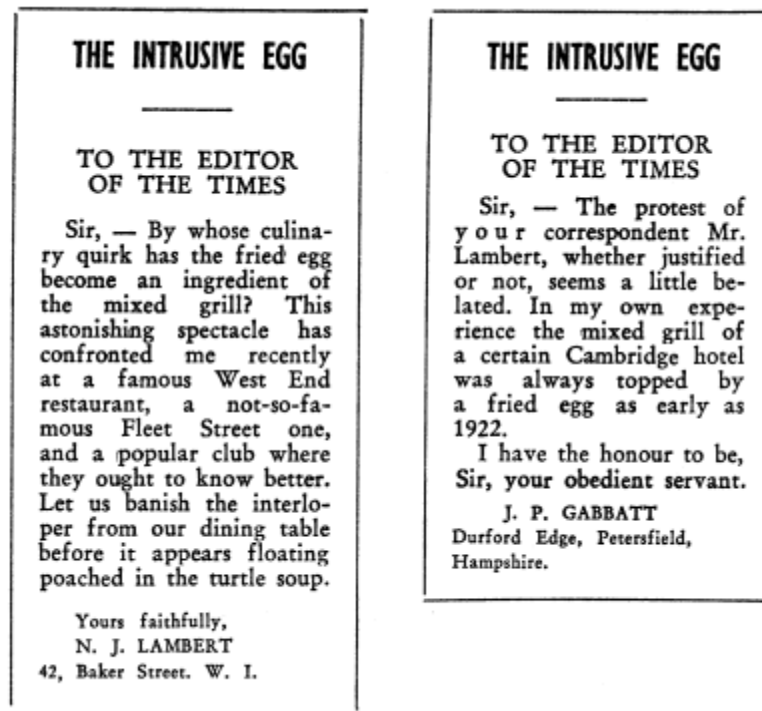
Nawet angielski wymiar sprawiedliwości oparty jest na precedensach. Nie ma tu pisanego prawa, istnieją jedynie zbiory precedensów, na które powołują się sędziowie. Gdy brak precedensu, zdarza się, że się go tworzy, ale to jest cała historia. Jednym z najnowszych i najbardziej typowych wypadków jest sprawa Williama Joyce'a, oskarżonego o zdradę za wygłaszanie w czasie wojny audycji w hitlerowskim radio. Otóż o zdradę może być oskarżony jedynie obywatel, którego obowiązuje posłuszeństwo wobec Jego Wysokości. Ponieważ zaś Joyce nie był British ani z urodzenia, ani przez adopcję, nie musiał być, zdaniem swego adwokata, posłuszny Koronie. Owszem - twierdził jednak oskarżyciel - ponieważ był posiadaczem paszportu brytyjskiego. Całe zagadnienie sprowadzało się więc do ustalenia, czy posiadacz British Passport staje się tym samym British. Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, gdyż na próżno szukano precedensu. Po długiej rozprawie sędzia Tucker stworzył nowy fragment Historii Prawa, orzekając, że Joyce, z powodu swego paszportu, jest winien posłuszeństwo Królowi. Dzisiaj jest to prawo. A Joyce został powieszony.

⁷⁷ *mixed grill* - zapiekana potrawa składająca się z różnych gatunków mięsa i jarzyn: baraniny, nerek, boczku, grzybów, pomidorów

⁷⁸ *the intrusive egg* - natrętne jajko

Cadogan Place, London SW 1): wspomniał on o jajku, które ukazało się wytrzeszczonym oczom pewnego Anglika w Dublinie w 1918 roku⁷⁹.

Ponieważ niektórzy czytelnicy mogliby wątpić o autentyczności historii o „natrętym jajku”, o której mowa powyżej, podajemy fotokopie dwóch pierwszych listów opublikowanych przez „Timesa” pod tytułem „The intrusive egg”.



Mr. N. J. Lambert pisze: „Wskutek jakiegoż kulinarnego kaprysu sadzone jajko stało się składnikiem mixed grill! Ten zadziwiający widok uderzył mnie niedawno w eleganckiej restauracji West Endu... Przegnajmy intruza z naszego stołu, zanim pojawi się pływając w żółtowej zupie”. Mr. J. P. Gabbatt pisze zaś, co następuje: „Protest waszego korespondenta Mr. Lamberta, usprawiedliwiony czy nie, wydaje się być trochę spóźniony. Z własnego doświadczenia wiem, że na mixed grill w pewnym hotelu w Cambridge kładziono zawsze sadzone jajko od 1922 roku. Mam zaszczyt, Sir, być pańskim wiernym sługą”. Z braku miejsca nie możemy opublikować dalszego ciągu tej pasjonującej korespondencji.

⁷⁹ Mimo że ogarnięty gorączką poszukiwań, odkryłem w pergaminach jednego z moich przodków współczesnych Czarnemu Księżciu (Czarny Książę - Black Prince, Edward, książę Walii (1330-1376), najstarszy syn Edwarda III) aluzję do analogicznego jajka, „Times” nie uznał za właściwe wspomnieć o tym wypadku jako o precedensie, gdyż w czasie Stuletniej Wojny nie jadano mixed grill jako takiego. Too bad... Jakże jednak można po tym wszystkim twierdzić, że Anglicy nie interesują się sztuką kulinarną? Najwyższa pora, żebym zwrócił na to uwagę Pochetowi. (Uwaga Majora).

VI. Upiór pana Pocheta (Z notatnika Majora)



Gdy podróżuję z panem Pochet, jesteśmy naraz we dwóch i we trzech, co przynajmniej w Angliki budzi pewien niepokój. Pochet nigdy nie jest sam, gdy opuszcza Francję. Towarzyszy mu upiór, niepodobny do naszych drogich i szlachetnych upiorów ze Szkocji czy Kornwalii. Jego upiór jest mniej arystokratyczny i ma kształt befsztyka z frytkami. Po paru zaledwie godzinach pobytu w Londynie czy gdzie indziej pan Pochet zostaje opętany przez tego *ghost*⁸⁰, który czyni zeń niewolnika.

- Mam ochotę - powiada - na befsztyk z frytkami, tak jak go robią u nas.

Oto najlepszy dowód, że Francuz sprowadzony jest do stanu niewolnictwa przez swój żołądek (i wątrobę, o której mówi bez przerwy, a która u nas nigdy nie dostała się do towarzystwa).

Nie ma nic ciekawszego, jak oglądać Pocheta, gdy błądzi po ulicach Piccadilly w rozpaczliwej pogoni za *châteaubriand*⁸¹ lub za *guignolet-kirsch*⁸² (szaleństwo!). Niewiele pomaga, gdy mu mówię, jak dobrą renomę ma nasz steak.

- Przyznaję, że wzięliście od nas to słowo, ale jeżeli chodzi o potrawę, to my ją przyrządzamy...

Heavens! Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby chociaż spróbował przywyknąć do narodowych potraw (oczywiście nie z tą łatwością, jaką nam, Anglikom, daje pewność, że wszędzie można jeść lepiej niż u nas). Ale jest on przekonany, że tylko we Francji umie się jeść, *that's all*⁸³. Zresztą szczęście mu nie dopisuje. Gdy przed paru dniami w pewnej restauracji na West Endzie siedział zakłopotany przed kartą, na której wymieniono jako dania podstawowe *Lancashire Hotpot*⁸⁴ i *Irish Stew*⁸⁵, zapragnął poradzić się kelnerki, ubranej w szary mundur i biały czepek, co przypominało raczej szpital niż restaurację.

- A co by mi pani radziła? - zapytał Pochet wesoło. - *Lancashire Hotpot* czy *Irish Stew*?

- *I am sorry, Sir, we aren't here to give advice, we're here to serve!* (Przykro mi, proszę pana, ale nie jesteśmy tutaj, aby dawać wskazówki, lecz aby usługiwać).

⁸⁰ ghost - duch, upiór

⁸¹ châteaubriand - francuska potrawa z wołowiny

⁸² guignolet-kirsch - nalewka z czereśni lub wiśni

⁸³ that's all - to wszystko

⁸⁴ Lancashire Hotpot - baranina lub wołowina duszona z kartoflami w szczelnie zakrytym garnku

⁸⁵ Irish Stew - duszona potrawa z mięsa i jarzyn

Zażenowany Pochet zdecydował się szybko na *Lancashire Hotpot*, który jeśli mogę się tak wyrazić, pozostał mu na żołądku. W przypiływie złego humoru oświadczył mi, że we Francji kelner byłby szczęśliwy mogąc podzielić się swoim zdaniem o tym, co jest dobre, a co nie; że ludzie, którzy zaraz po obudzeniu połykają marynowane śledzie i nereczki, nie mogą mieć jasnego sądu w godzinę obiadu; że zadowolamy się konserwowaniem we wrzącej wodzie wszystkiego, co przysyła nam zagranica, począwszy od *roast-beef of Old England*⁸⁶, pochodzącego z Argentyny, aż do *Canterbury lamb*⁸⁷ z Nowej Zelandii, poprzez brukselkę, z którą obchodzimy się nieludzko; i że nie jedząc przyzwoicie w godzinach posiłków, konsumujemy w ciągu dnia najwięcej czekolady i słodyczy w świecie.



Przykro mi, proszę pana, ale nie jesteśmy tutaj, aby dawać wskazówki, lecz aby usługiwać.

Nigdy nie odpowiadam na obelgi, zwłaszcza gdy są usprawiedliwione. Kuchnia mojej ojczyzny przypomina samą Anglię - jest otoczona wodą. Dlatego też wiodę pana Pochet w miejsca, gdzie Francuzi, Włosi i Chińczycy prowadzą doskonałe angielskie kuchnie. Ale Pochet wciąż nie jest zadowolony. Wystarczy, że ma coś na talerzu, aby pomyślał o tym, czego na nim nie ma. Pierwsze pytanie, jakie mi zadał w hinduskiej restauracji przy Swallow Street, gdzie podają *curried rice*⁸⁸ z mego ukochanego Pendżabu, brzmiało:

- Czy lubi pan Chińczyków?

Trochę zdziwiony, odpowiedziałem, że nie mam specjalnie nic przeciwko nim. Na co Pochet sprecyzował:

- Nie... Chodzi mi o chińską kuchnię...

I zajął się tak dokładnym opisem ryżu po kantońsku, który jada zazwyczaj przy ulicy Erlanger, że zneutralizował smak *curry*. Pomyślałem, że będzie zadowolony w chińskiej restauracji w Soho. Ale

⁸⁶ roast beef of Old England - rostbef po staroangielsku

⁸⁷ Canterbury lamb - jagnię po kanterberyjsku

⁸⁸ curried rice - ryż z korzenną przyprawą indyjską zwaną „curry”

ledwo napoczął kaczkę po chińsku, gdy napadły go bogate wspomnienia o *couscous*⁸⁹, który jadał przy ulicy Montyon. Ta mania przeprowadzania się do Afryki północnej, gdy zabieram go do Chin, i do Chin, gdy znajdujemy się w Indiach, sprawia, że w końcu nie wiem zupełnie, ani gdzie jestem, ani co jem. Prawda, że również u niego, w Paryżu, odczuwam te same trudności spowodowane obowiązkową zasadą małych wymian („Daj mi trochę tego białego, a ja ci dam kuperek”), co uniemożliwia mi spokojne konsumowanie mego kurczęcia. Pani Pochet zamówiła udko, ale nagle ma ochotę na białe mięso swego męża, podczas gdy ten kładzie na moim talerzu kawałek swojej wątróbki: „Niech pan spróbuje, Majorze”. Zdarzyło mi się pewnego dnia, że w ten sposób zniknęła połowa mego boczku, który chciała spróbować teściowa, podczas gdy mózdzek małego wylądował na moim nakryciu. U nas, gdzie zaledwie ma się chęć jeść to, co leży na własnym talerzu, a już całkiem nie ma się ochoty sięgać po coś, co leży na cudzym, zupełnie nieznaną jest ta metoda włożenia z widelcem w potrawę sąsiada, aby wziąć z niej kawałek lub złożyć jakiś mały drobiazg.

Dlatego też gdy we Francji chcę się rozkoszować w pełni kawałkiem węgorza, wolę być sam. Jeżeli będzie mi towarzyszył pan Taupin, zacznie natychmiast mówić o najlepszej potrawce z węgorza, jaką jadł w życiu: „To było w Bordeaux w 38 roku... nie, w 37... U Musignarda” - i od razu mój węgorz ulegnie dewaluacji.

Na krótko przed naszym wyjazdem do Anglii znalazłem się z panem Taupin w starej i dobrej restauracji w okolicach Hal. Do sąsiedniego stołu podano wspaniały udziec dzika.

- Ostatnio jadłem taki udziec w Pithiviers w fantastycznie pieprzonym sosie - powiada jeden ze współbiesiadników.



Taki sam jadłem w Pithiviers...

- Ja - mówi drugi - wolę, gdy jest duszony w rondlu, przyzwoicie zamarynowany albo po prostu skruszały, z dobrą galaretką z porzeczek. Tak, jak się go robi u nas!

⁸⁹ couscous - afrykańska potrawa z suszonego ziarna pszenicy lub owsa, mieszanego z mięsem i jarzynami

W ciągu trzech minut była mowa o wszystkich dzikach świata oprócz tego, który był na stole i którego spożywano z roztargnieniem.

Mój oddany tłumacz znów powie, że korzystam z lada okazji, aby obmawiać Francję. *Untrue*⁹⁰! Jeżeli we Francji lubię chodzić samotnie do restauracji, to również dlatego, że nie ma lepszego miejsca, aby słuchać, jak Francuzi mówią... Jest to nawet miejsce, gdzie oni sami słuchają się nawzajem z przyjemnością. Zazwyczaj Francuz w ciągu pięciu minut powie wam o sobie więcej niż Anglik w ciągu dwu pokoleń, ale tutaj bije on wszelkie rekordy... Między godziną pierwszą a trzecią w Paryżu panuje gadulstwo zgoła nadzwyczajne. Wydaje się, że w tym czasie wszyscy Francuzi wychodzą na estradę. Tego dnia, zanim jeszcze nadszedł pan Taupin, wiedziałem, że gość siedzący naprzeciwko mnie ma siedemnaście złotych zębów, gdyż jak twierdził na cały głos: „Gdy mam coś komuś do zarzucenia, nie szukam dziesięciu sposobów, żeby mu to powiedzieć: biję po mordzie”. Jego własna twarz doznała skutków tej metody: każdy złoty ząb stanowił wspomnienie jakiejś bójki. Jeśli chodzi o mego sąsiada z prawej strony, wydawało mi się, że jest to uczciwy człowiek, o czym zresztą nie mogłem wątpić, skoro powiedział głośno: „Nie jestem bogaty, ale mogę przejść całe Hale z podniesioną głową!”

Po mojej lewicy jakiś niski, bogato udekorowany pan opowiadał o swym ciężkim dniu w ministerstwie młodej osobie, która z puderniczką w ręku malowała wargi regularnym ruchem swej prawicy. Niski mężczyzna wyraźnie chciał jej zaimponować, mówiąc, jaką posiada władzę: „Nie namyślałem się długo... Zdecydowałem zwołać konferencję... Zebrałem wszystkich... Powiedziałem im, co myślę. A potem podyktowałem ogólną instrukcję dla wszystkich kierowników wydziałów... Och, nie była to długa instrukcja, ale powiedziałem w niej wszystko, co trzeba!”

Młoda osoba godziła się na wszystko z wdziękiem, nie przestając gładzić rzęs. Widać było, że jej towarzysz będzie musiał zadać sobie sporo trudu, aby ociągnąć cel; na razie były to wstępne zabiegi...

W restauracji w Londynie, nigdy nie dowiecie się tylu rzeczy o obcym człowieku. Ale co najbardziej niezwykle, to to, że w Paryżu ludzie znajdują jeszcze czas, aby dobrze jeść!

My Goodness! Już widzę, jak ogarnia mnie tęsknota za „trzema gwiazdkami”, oznaczającymi w przewodnikach turystycznych dobrą restaurację...

⁹⁰ untrue - nieprawda

VII. Spowiedź pana Pocheta (Z notatnika Majora)



Pochet nie zdoła się z pewnością przyzwyczaić do tego kraju. Podobnie jak Martine czy ten mój przeklęty tłumacz. *What a pity!*⁹¹

Przypominam sobie, jak za czasów mego słodkiego dzieciństwa - jeżeli wolno tak mówić o młodości Anglika, przyzwyczajonego bardziej do różgi niż do pieszczot - wracałem z ojcem z Włoch. Wyszedł ze mną na pokład i wskazując na białe skały Dover, zawołał: „*Look, my son! The cliffs of Dover! I feel safe at last!*”⁹²

I pełną piersią zaczerpnął trochę *British air*⁹³. Był szczęśliwy i jakby wyzwolony ze śródziemnomorskiego świata. Wkrótce stanął na prawdziwej ziemi - ziemi angielskiej.

Good Lord! Z Pochetami i z Martine dzieje się coś zupełnie odwrotnego: gdy tylko znajdują się w Królestwie, kurczą się w sobie. Pochet napisał mi o tym. Wczoraj wieczorem otrzymałem od niego takie oto zadziwiające wyznanie:

«Nie ma co... Mogę sobie spacerować z datą z XVIII wieku na kapeluszu, ale moja głowa nie jest *British*. I nie będzie nigdy *British*. Próbuję mówić tak jak wy: „Nie sądzi pan, że sytuacja w Tanganice jest dość niebezpieczna?” Mnożę wysiłki, aby poruszać parasolem tak jak wy, aby trzymać łokcie przy sobie, pić herbatę jak wy, ale nie... Pańscy rodacy zachowują się, ubierają, mówią i milczą w sposób, w jaki nie robi tego nikt. Dlatego chyba stale mi się zdaje, że przyglądają mi się uważnie i myślą sobie: „On nie należy do Klubu!”

«Klub ten jest olbrzymi, ale bardzo ekskluzywny. Klub, w którym wszystko jest klubem, począwszy od college'u, a kończąc na Izbie Lordów, poprzez *Navy*⁹⁴ i Dwór. Ten Klub liczy 53 miliony członków, którzy mogąc zrobić coś na tysiąc sposobów, wybrali sposób najtrudniejszy, wyćwiczyli się w nim od stuleci i przyglądają się, jak obcokrajowiec popełnia omyłki. Spójrzcie choćby na studentów z Harrow... Czy to wygodnie nosić, tak jak oni, słomkowe kapelusze opadające na nos? Mogliby założyć gumki pod brodę... Ale nie, zakładają je na kark!

«Anglik może sobie spacerować z selerem w butonierce. Nikt tego nie dostrzeże, tym bardziej że może to być obyczaj z 1687 roku. Pewnego wieczora widziałem jakiegoś mężczyznę w krótkich białych majtkach, w trykotowej koszulce, biegnącego o piątej po południu przez Bayswater Road. Wyobraźcie sobie, że ktoś spaceruje w kałesonach na placu Opery w Paryżu o siódmej trzydzieści wieczorem. Oczywiście, że o siódmej trzydzieści pięć będzie się musiał tłumaczyć w najbliższym

⁹¹ what a pity! - jaka szkoda!

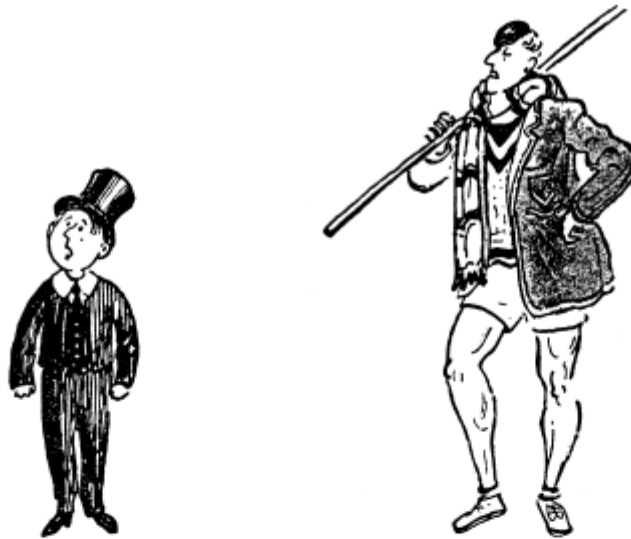
⁹² Spójrz, synu! Skały Dover! Nareszcie czuję się bezpieczny!

⁹³ British air - brytyjskie powietrze

⁹⁴ Navy - Marynarka

komisariacie policji. Na Bayswater Road nikt się nawet nie obejrzał. Obywatel ów mijał wyścigowym krokiem londyńczyków unieruchomionych przez korki uliczne w prywatnych samochodach i autobusach i nie ściągał na siebie najmniejszej uwagi. Jakiś gentleman musiał chyba rozpocząć w 1705 roku piesze wyścigi w Londynie - wszystko jest w porządku.

«Nawiasem mówiąc, nie ma drugiego kraju w świecie, w którym spędzano by tyle czasu na przebieraniu się.



*Anglik chodzi do szkoły w przebraniu
gentlemana z Gieldy...*

*...na uniwersytecie ubiera się jak mały
chłopiec...*



...żeni się w mundurze...



...prowadzi wojnę jako fałszywy szejk...



...zamienia się w wcznia udając się na Giełdę...



...przywdziewa średniowieczny strój, aby wykonywać funkcje publiczne...



*...zostaje lordem w grono-
stajowym płaszczu...*



...a nie przestaje się dziwić, widząc, jak na Kontynencie ludzie przebierają się bez przyczyny...

Wszyscy wyglądają, jak by byli w mundurach, nawet cywile. I wszyscy, o każdej godzinie, wyglądają, jak by dopełniali rytuału. U nas ludzie mogą sobie chodzić w mundurach: cywile dominują. Z żołnierza na służbie wyłazi żołnierz z przepustką, konduktor autobusu śpieszy pozbyć się torby, aby zabrać się do majsterkowania w samej koszuli, policjant, który z uderzeniem siódmej schodzi ze służby, aby udać się do domu, przestaje być policjantem. Tutaj zaś mundur tworzy osobowość. Nadaje jej piętno i wchłania ją. Gwardzista wygląda, jak by nigdy nie nosił czegoś innego poza swym czarnym czakiem i czerwoną bluzą, a trudno sobie wyobrazić Lorda-Majora Londynu zdejmującego swój złoty łańcuch, aby włożyć pidżamę. W istocie, począwszy od małych chłopców w cylindrach aż po ubranie Churchilla, poprzez studentów w czarnych togach i kaszkietach na głowie - Anglicy nie przestają

przebierać się, oczywiście z wyjątkiem tych okazji, kiedy robimy to my: nie widać tu czarnej krepy i żałobnych ubrań, które uznano by w Anglii za zbytnią ostentację⁹⁵.

«Niedawno w szczególnie przykry sposób doznałem uczucia, że nie należę do „rodziny”. Było to w czasie świetnego wieczoru, na który zabrał nas pan do księcia Sutherland P.C., K.T., szczytającego się tytułem sięgającym XIII stulecia. Nie mówiąc o nieskończonej ilości baronetów z wysokich rodów, był tam markiz de Cholmondeley, któremu pozostaje tylko połowa nazwiska, gdy je wykichać (wymawiaj: Czym'ley), oraz markiz Salisbury, który roztopia się przy wymawianiu. Goście zagraniczni szczególnie życzliwością otoczyli księcia de Somerset, zapewne dlatego, że miał tę zaletę, iż wymawia się tak, jak się pisze.

«Zagubiony w tym lesie drzew genealogicznych, pośród ludzi, którzy z gałęzi na gałąź schodzili tu od 1066 roku, miałem przykre uczucie, że nie mam się na czym oprzeć i że tylko ja jeden należę do mego wieku. Pan sam, drogi Majorze, pokazał mi w „Whitaker's Almanack”⁹⁶, że tylko dwadzieścia wierszy dzieli obecnego księcia Walii od jego walijskiego przodka Trahaern ap Caradog (1075)... A wydaje mi się, że członkowie pańskiego klubu zawsze chętnie daliby się oprawić w ramki i przyłączyli się do lorda Derby i księcia Westminster, którzy wiszą na ścianie ubrani w swe czarne płaszcze z kapturami. Gdy na pańskie uprzejme zaproszenie wszedłem do tego mauzoleum⁹⁷ i chciałem zostać członkiem, musiałem potwierdzić pisemnie, że zgadzam się z deklaracją z 1832 roku w sprawie zniesienia prawa zbożowego. Bez znaczenia był fakt, że prawo co zostało zniesione już przed stu dwudziestu trzema laty: chciano wiedzieć, jaka była moja opinia w 1832 roku. Nie każdy umie w ten sposób włączyć wsteczny bieg w maszynie historii i wyrażać solidarność z postępowymi dążeniami sprzed wieku.

«Urodziłem się wówczas, kiedy przyszedłem na świat, toteż wobec gości księcia de Sutherland, liczących po kilka wieków, czułem się nagi jak robak. Mam to samo nieprzyjemne uczucie nie tylko w waszych salonach, ale i na waszych drogach. Niedawno, jadąc do Bristolu, chciałem wyminąć ciężarówkę pomalowaną na jaskrawy czerwony kolor, gdy oto zobaczyłem na tylnej klapie napis:

Jedziecie za wozem należącym do firmy
WINDHAM AND JOHNSON
Dostawcy Jej Królewskiej Mości
Established 1815

«Rzecz jasna, że odniósłbym zupełnie inne wrażenie przeczytawszy:

PICHONNET
Handel Mięsem
(Depart. Charente-Maritime)

⁹⁵ Ta dążność do przebierania się tłumaczy, być może, wieczną potrzebę ucieczki Anglików. Czy sprawia to życie na wyspie, i to na wyspie, gdzie sama pogoda zmienia się ze dwadzieścia razy na dzień (na ogół na gorsze)? Angolicy uwielbiają zmieniać nie tylko stroje, ale także powietrze, dom, kraj. W rozmowie stale powraca wyrażenie: to make a change(to make a change - zmienić coś)... Oto co powiedziała Mrs. Puddleboz, na widok swego domu zniszczonego przez bombardowanie, do Mrs. Cripplestone, która przyszła ją odwiedzić. Well... it makes a change (well... it makes a change-- cóż, to pewna odmiana).

⁹⁶ „Whitaker's Almanack” - doroczne kompendium informacyjne, publikowane przez wydawcę angielskiego Whitakera

⁹⁷ Pan Pochet ma na myśli Reform Club, gdzie lubię zagrzebywać się co wieczora, gdy jestem w Londynie. (Uwaga Majora). (Reform Club - Klub Reform)

«Między moim zderzakiem a rurą wydechową ciężarówki pojawił się nagle Napoleon. Angielska szosa, tradycyjnie usiana zasadzkami⁹⁸, wydała mi się bardziej zdradziecka niż kiedykolwiek. Wspomnienie Waterloo nakazywało odwrót. Jakżebym wyglądał, gdyby mi się zdarzył wypadek?»

«Nie należy prześcigać ludzi, którzy zaczęli nabierać rozpędu w 1815 roku...

«Prawda, że rozumiałem to jeszcze lepiej, przysłuchując się konwersacji u księcia de Sutherland. O czymże więc mówiono cichym, zduszonym głosem, który pozwalał wygwizdywać jedynie syczące spółgłoski? O pogodzie. U nas mówi się o pogodzie, po czym przechodzi się do innych rzeczy. Tutaj - nie. Pozostaje się przy pogodzie. Tym razem mowa była specjalnie o okropnej pogodzie w dniu *Coronation*. Jakiś stary lord wymienił według pogody wszystkie koronacje, których był świadkiem: „Przy koronacji Edwarda VII padało poprzedniego dnia, ale...”



Najbardziej deszczowa koronacja od czasów Edwarda Wyznawcy...

«Wkrótce wyłoniło się zagadnienie, czy od czasów Edwarda Wyznawcy⁹⁹ zdarzyła się tak deszczowa *Coronation*. Pańscy rodacy nie bez racji mają namiętność do precedensów. Ich historia jest tak bogata, że zawsze im jakiegoś precedensu dostarczy. Uznano jednak, że tym razem nie ma żadnego precedensu. Gdy około godziny jedenastej wszyscy zgodzili się co do tego punktu, salon zdrętwiał w ponurej ciszy, utkanej z tradycji i pokrewieństw. Wydawało się, że rozmowa upadła ostatecznie. Znalazł się jednak ktoś na tyle niezgrabny, aby spróbować ją podchwycić: była to Solange, przekonana, że robi dobrze... Zdumienie osiągnęło szczyt, ale szybko rozproszyło je przybycie pokrytego kurzem i zasapanego łucznika...

⁹⁸ Anglicy produkują najszybsze wozy na świecie, ale chcąc je wypróbować, muszą przyjeżdżać na Zachodnią Autostradę pod Paryżem.

⁹⁹ Edward Wyznawca - Eduard the Confessor, król angielski panujący w latach 1042-66

- Przybywam z Azincourt - powiedział ów człowiek odziany w kolczugę. - 1415 - sprecyzował.

«Po czym wypuścił strzałę, której świst mnie przebudził. Gdyż zdrzemnąłem się w końcu. Jednak nie dlatego, że się przygotowywałem poprzedniego dnia... Weźcie choćby samą koronację: znałem na pamięć ilość diamentów w koronie imperialnej (2 783 sztuki), a nawet ilość jedwabników, które złożyły kokony na surowiec do sukni Królowej (52 500). I tak dalece przyzwyczałem się oglądać na stronicach gazet Jej Wysokość, jak bawi się na wiekowym trawniku w Windsor z księciem Charley lub mówi dobranoc księżniczce Annie, że wydawało mi się, iż należę do rodziny. Zapytywałem sam siebie, dlaczego właściwie nie zostałem jeszcze zaproszony...

«Ale nie... Nie dojrzałem do tego... I nigdy nie dojrzeję... Powinienem bardziej wystrzegać się ludzi, którzy uczą się mówić zaczynając od gryzienia się w język, a jedząc groszek posługują się odwrotną stroną widelca niby tacką, na której robi się nożem małe kupki. Próbowałem tego... ale za każdym razem „operacja groszek”, podobnie jak „operacja herbata” (ćwiczenie równowagi z filiżanką na kolanach), kończyła się wielką konfuzją. Zauważyłem to tego dnia, gdy jedliśmy z panem obiad u Mrs. Cripplestone. Mój groszek - wielki i twardy w Anglii - spadał za każdym razem na talerz z łoskotem żelastwa. Drogi Majorze... usiłował pan wprawdzie przejąć łąkiem Mrs. Cripplestone, opowiadając jej, jak Malajczycy pozbywają się swych nieprzyjaciół podając im w zupie drobno posiekane wąsy tygrysie, które później twardnieją we wnętrzościach i rozrywają otrzewną - ale Mrs. Cripplestone nieustannie patrzyła na mnie swoją okrutną żrenicą. A gdy potem nie podałem wina w kierunku wskazówki zegara - byłem skończony.

«A poza tym, moje ręce... „Twoje ręce, Alfredzie, twoje ręce” - mówi mi zawsze Solange, bo jakoby zbyt gestykuluje. Nie mam pojęcia, co Anglicy robią z gestami - ledwo, ledwo poruszają rękoma... Jeszcze jeden wyczyn, z którego zmuszony jestem zrezygnować. Koniec końców zastanawiam się, czy po to, aby w Anglii umieć zachowywać się poprawnie, nie należy pojechać do Włoch, zapamiętać wszystko i robić akurat na odwrót... *Allez*, Majorze, do zobaczenia!

VIII. Zwierzęta - obywatele, czyli jak przed nosem pana Pochet przejechał pociąg pełen siedzących psów

Przez długi czas zastanawiałem się, czy aby poznać Anglię, nie należy być raczej zoologiem niż psychologiem. Dzisiaj jestem tego pewien. Nabyłem tego przekonania w pociągu, w którym jak wielu innych podróżnych musiałem stać w korytarzu, podczas gdy miejsca siedzące zajęte były przez psy.

Gdybym, rzecz jasna, przeczytał takie bzdury w jakiejś książce, chwyciłbym za pióro i jako oburzony czytelnik zapytałbym autora, czy sobie ze mnie nie kpi. Muszę więc tu zaręczyć honorem, że historia jest autentyczna. Ponieważ zaś mój honor może okazać się niewystarczający, wolę przez przeczność zawinąć go w wycinek z „Daily Telegraph”, bardzo szanownego dziennika angielskiego, który przytoczył fakty.



„Psy siedzą pasażerowie stoją” (Faksmile artykułu z „Daily Telegraph”)

100

Oto one:

2 lutego 1955 roku, udając się do Yorku, wsiałem wraz z Pochetami na dworcu King's Cross w ekspres do Edynburga, który odchodzi z Londynu o 22,35. Pociąg wydawał się przepełniony, ale ku naszemu wielkiemu zdumieniu wiele osób ulokowało się w korytarzach naprzeciwko przedziałów pełnych psów i prawie pozbawionych podróżnych.

Po chwili wahania, z tą godną pożałowania francuską dążnością do wyróżniania się, pani Pochet zdecydowała się wejść do przedziału, w którym jedna ławka służyła za łożo spoczynku długowłosemu chartowi, a pozostałe miejsca były zajęte przez mopsa, dwa pudle i jedną pięćdziesięcioletnią damę. Dama ta, wskutek dziwnego zjawiska mimikry, spotykanego często u osób będących w stałym kontakcie ze zwierzętami, miała głowę doga.

- Czy nie zechciałaby pani posunąć trochę tego psa, żebym mogła usiąść? - spytała pani Pochet kobietę-doga.

¹⁰⁰ Tekst artykułu: Od korespondenta „Daily Telegraph”. Wczorajszego wieczoru Koleje Brytyjskie udzieliły odpowiedzi pasażerom skarżącym się, że w ekspresie King's Cross - Edynburg psy wracające z Cruft's Show zajmowały miejsca siedzące, podczas gdy pasażerowie musieli stać w korytarzu

- Pamela ma bilet, *Madame*.

- Oczywiście... ale na jedno miejsce...

- No... na całą ławkę!

- Ale przecież nie powie mi pani, że posuwając trochę to zwierzę... o, choćby tak...

W chwili gdy pani Pochet dotknęła końcem swej parasolki wysmukły zad szlachetnego zwierzęcia, dama-dog wydała przenikliwy pisk, który rozbrzmiał w całym wagonie jak sygnał alarmowy:

- *Please stop at once!*¹⁰¹ Pani nie wie, z jakim psem ma pani do czynienia! Poskarżę się konduktorowi!

Co też natychmiast uczyniła.

W kilka minut później pani Pochet dowiedziała się, iż popchnęła słynną Pamelę of Quernmore, kurdyjskiego charta, największą sławę Zjednoczonego Królestwa. Jeżeli prawdą było, że miejsca zajęte są przez psy, to w każdym razie nie były to byle jakie psy, ale starannie dobrane zwierzęta, które opuściły swe siedziby w Yorkshire i Szkocji, aby zdobyć w Londynie najbardziej przez cały psi świat upragnione laury na Cruft's Show.

- Czy pani wie, *Madame*, że taki pies - tu kontroler wskazał podbródkiem na Pamelę of Quernmore - wart będzie wkrótce milion?

Sądząc ze spojrzenia, jakim obrzucił panią Pochet, nie było wątpliwości, że oceniał tę turystkę na dużo mniej.

- Tego trochę za wiele! - zawyła pani Pochet. - Nie tylko mam uważać za rzecz normalną podróżowanie na stojąco w obliczu siedzącego psa, ale o mało co nie wlepiają mi kary! Niech pan jedzie sobie tym psim pociągiem, jeżeli ma pan ochotę - powiedziała zwracając się do mnie. - Ja nie zostanę tu ani sekundy dłużej. Poskarżę się w Dyrekcji Kolei¹⁰². Alfredzie, wysiadamy!

Pan Pochet usłuchał nakazu żony niczym pies - był sparaliżowany ze zdumienia skutkiem całej tej historii. Całe życie zachowam wspomnienie tego człowieka, patrzącego w osłupieniu z peronu, jak przed jego nosem rusza pociąg pełen siedzących psów.

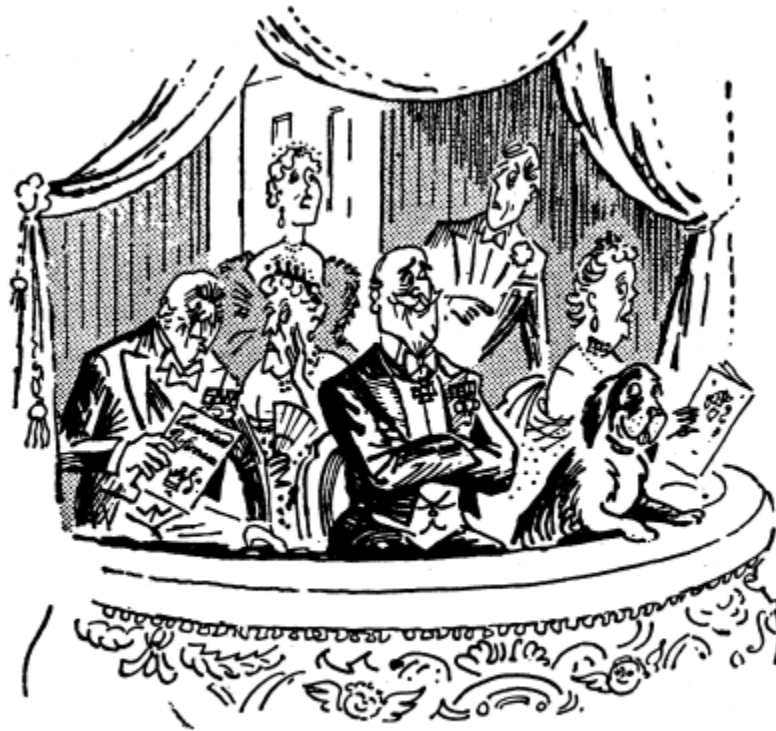
Podobnie jak moi dwunożni bracia, z rezygnacją jako tako zainstalowałem się na noc, ale ponieważ najlepsze miejsca w korytarzu były już zajęte, zmuszony byłem oprzeć się o drzwi ubikacji w pozycji, która przypominała mi podróżę we Francji w czasie okupacji.

Usiłowałem zdrzemnąć się pod drwiącym spojrzeniem teriera, który z wywieszonym językiem kpił sobie ze mnie ze swego miejsca przy oknie, i zdawało mi się, że ulegam halucynacji. Przychodziło mi

¹⁰¹ please stop at once - proszę natychmiast przestać

¹⁰² Skarga pani Pochet, podobnie jak liczne skargi innych podróżnych, których miłość do psów miała swe granice, została istotnie zanotowana w biurach *British Railways*. W kilka dni później Koleje opublikowały wyjaśnienie: ogólnie rzecz biorąc, pies - nawet angielski - nie ma prawa, posiadając bilet, zajmować siedzącego miejsca, w tym jednak wypadku szło o wyjątkowe psy. *British Railways* potraktowały je jak gentlemanów i upoważniły do zajęcia miejsc siedzących, a nawet całego przedziału. „Jedyne, co możemy zarzucić niektórym właścicielom, to to, że przed usadowieniem swoich psów nie podłożyli na siedzenia pledów” - oświadczone urzędowo. (British Railways - Koleje Brytyjskie)

już nieraz na myśl, że wśród nieskończonej różnorodności planet musi gdzieś istnieć taka, na której człowiek jest najszlachetniejszym stworzeniem dla konia. Nie przypuszczałem jednak, że aby znaleźć taki świat, nie trzeba przemierzać Mlecznej Drogi, lecz tylko Kanał. Nie, nie śniłem: byłem tego wieczora w Królestwie Psów na Ziemi Człowieka. Pochetowie wysiedli na dworcu King's Cross z tego brytyjskiego pociągu, który pędził nocą do York. I nie byłbym wcale zdumiony, gdyby w tej chwili jakiś kontroler rasy Świętego Bernarda, z kłębem jak dziurkownica, wynurzył się z wagonu, aby pogryźć mój bilet.



To rzeczywiście trochę żenujące, ale General chciał koniecznie przyprowadzić swego najlepszego przyjaciela...

Dziwne to uczucie pogłębiło się, gdy nie mogąc zasnąć zabrałem się do czytania gazety.

Normalnie rzecz biorąc, niełatwo przeczytać angielską gazetę nie dowiadując się, że walijscy górnicy zastrajkowali, aby uzyskać czterdziestogodzinny tydzień pracy dla swych koni (półtorej szpalty), lub że jeden z trzech *corgies*¹⁰³ Królowej ugryzł przed Buckingham Pałace wartownika, który nie poruszył się ani o milimetr (dwie szpalty ze zdjęciem). Ale tego wieczora gazeta pobiła wszystkie rekordy.

Podczas gdy lorda Ruperta Featherspinna pogrzebano w czterech wierszach, trzy szpalty (z fotografią) poświęcono życiu Black Knighta¹⁰⁴, znanego pekińczyka, który zgasł „w swej letniej rezydencji w hrabstwie Essex w wieku dziewięciu lat i dziewięciu miesięcy”. Wyobraźcie sobie, że poświęca się pięć wierszy śmierci Paul Claudela i że tego samego dnia na połowie strony opisuje się chwalebna karierę pudla pani Pochet - a będziecie mieli pewne wyobrażenie o sytuacji. Tylko czy we Francji są takie psy jak Black Knight? Psy, które siadają przy stole Lorda-Majora na taborecie z czarnej satyny, jedzą w złotej zastawie Guildhalla i zostają honorowymi obywatelami miasta Londynu? Psy, które w sobolowych płaszczach asystują przy ślubie królowej Elżbiety, mają wstęp do Buckingham Pałace,

¹⁰³ corgie - mały pies rasy walijskiej

¹⁰⁴ Black Knight - dosłownie: Czarny Rycerz

posiadają swoje kluby, telefonują -do Neapolu, wyrażają polityczne opinie i składają wizyty premierowi na Downing Street 10¹⁰⁵? Psy, które piszą autobiografie, otwierają konto w banku i otrzymują zaliczkę na prawa autorskie sięgającą 500 000 franków?¹⁰⁶.

Oczywiście, we Francji nie ma takich psów. I nietrudno pojąć, że Lady Mennings, jego towarzyszka - bo nikt nie ośmielił się powiedzieć: posiadaczka, gdyż jeżeli ktoś w tej historii był „posiadany”, to na pewno nie pies - powiedziała o nim po śmierci: „To było wcielenie cesarza chińskiego i konia Ming... Jestem niepokieszona... Poślę go do *taxidermist*¹⁰⁷ i gdy Black Knight wróci wypchany, będzie mógł na wieki spać w swojej ulubionej pozycji... na mym łóżku... z głową opartą na łapkach...”

I tak oto usnąłem wreszcie owej nocy. Nie częściej niż co pół godziny budził mnie jakiś buldog czy pekińczyk przełaząc przeze mnie grzecznie, aby udać się do toalety. Pojąłem nareszcie całą doniosłość owej refleksji, którą podzielił się ze mną pewien włoski murarz na Arlington Street, widząc, jak szofer otwiera drzwi bentleya pekińczykowi otulonemu w płaszczyk z wydry: *Se dovessi vivere ancora una volta, vorrei essere un cane in Inghilterra!*¹⁰⁸.

O pierwszej w nocy obudził mnie ostry ból brzucha. Zabrałem się znów do lektury dziennika. Mój wzrok padł na ogłoszenie, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności stosowało się dokładnie do mojego wypadku: „Cierpisz na zaburzenia żołądkowe? Czujesz się przygnębiony? Zażywaj AZOTYMĘ”.

Zapamiętałem od razu nazwę tego środka. Ale gdy nazajutrz rano zapytałem aptekarza w York, jak zażywać to lekarstwo, spojrział na mnie wielkimi oczami. Ogłoszenie, które zwróciło moją uwagę, skierowane było do *Dog Population*¹⁰⁹ Wielkiej Brytanii - chartów, buldogów, foksterierów, z wyjątkiem wszystkich zwierząt mojego gatunku¹¹⁰.

¹⁰⁵ Członkowie londyńskiego *Kennel Club*, (Kennel Club - Klub Psiej Budy) zastrzeżonego wyłącznie dla właścicieli wybitnych psów, są sami prawdziwymi psami. Nazywa się ich nie ich własnym imieniem, ale imieniem Ich psów. „*Hello Black*”, „*How are you, Husky!*” (Hello, Black, how are you, Husky! - Halo, Black, jak się masz, Husky!). Nowego członka prezentuje się imieniem jego psa.

Jeżeli chodzi o rozmowy telefoniczne z Neapolem, to jest to aluzja do aktorki Elizabeth Reber, która przebywając na Capri rozmawia ze swym Pathem rasy Queensland Blue Heeler. Path, odbierając telefon, siedzi wygodnie w fotelu 2 Grosvenor Cottage, Sloane Square, London. Miss Reber mówi, Path szczeka. Pani Reber-matka podtrzymuje mu słuchawkę. „It cheers, me up when I am feeling blue” (to mnie podnosi na duchu, gdy mam chandrę) – oświadczyła aktorka trochę zdziwionemu dziennikarzowi neapolitańskiemu.

Wielu konserwatystów i labourzystów dba o to, aby ich pies wyrażał te same opinie co oni. Dzięki odpowiedniej tresurze labourzystowski pudel odmówi cukru, gdy mu go podać w imieniu Churchilla, ale o przyjmie w imieniu Attlee

¹⁰⁶ Autobiografia Black Knighta ukazała się w Anglii pod tytułem *The diary of a Freeman. (The diary of a Freeman - Dziennik Obywatela)*

¹⁰⁷ taxidermist - zajmujący się taksydermią, czyli sztuką wypychania zwierząt

¹⁰⁸ Gdybym miał żyć po raz drugi, chciałbym być psem w Anglii

¹⁰⁹ Dog Population - dosłownie: psia społeczność

¹¹⁰ Ogłoszenia dzienników angielskich zwracają się do psów, kotów i koni (odpowiednie społeczności nazywa się zawsze „*population*”) równie często, a nawet częściej niż do człowieka. „Czy można wyjść w taką pogodę?” - czytamy w zadeszczonym ogłoszeniu, które we Francji reklamowałyby płaszcze nieprzemakalne dla pań. A tu chodzi o kota, który z ogonem zwiniętym w znak zapytania zastanawia się nad tym, siedząc za szybą. A inny kot mu odpowiada: „Oczywiście... jeżeli zażywasz *Tibs*. Zażywaj *Tibs*, mój drogi, a poczujesz się znów rześki. *Tibs* z witaminą przywraca kotom wesołość”.

Padaly wielkie płaty śniegu, gdy przybyłem do Pickhill koło Yorku, wiejskiej rezydencji pułkownika Basila Cranborne. Miałem spotkać się tam z Majorem.

- Pański *breakfast*¹¹¹ czeka na pana w *dining-room*, drogi Denajnos! - zawołał Marmaduke ze schodów. - Basil pojechał do weterynarza... Kończę toaletę i służę panu za chwilę!

Czekając na Majora słuchałem przez radio ostatnich wiadomości. Tej nocy nad Wyspami Brytyjskimi przeszła wyjątkowo gwałtowna burza śnieżna. W licznych rejonach całe miejscowości zostały odcięte od świata, życie wielu ludzi - zagrożone. Następnie podano kilka wiadomości politycznych, po czym, po chwili milczenia - głosem nadzwyczaj dźwięcznym, trzeźwym i dystyngowanym, właściwym współpracownikom BBC - spiker ogłosił następujący apel:

„Pamiętajcie, że śnieg uniemożliwia ptaszkom znalezienie pożywienia. Zostawiajcie w swych ogródkach kawałki chleba, słoniny, okruchy ciasta. Wystawiajcie naczynia z wodą. Myślcie o ptaszkach, *please!*¹¹²”

Znów chwila ciszy. Oczekiwałem apelu na rzecz poszkodowanych ludzi. Przyzwyczajenie nabyte zapewne pod wpływem księdza Pierre¹¹³. Ale zabrzmiała muzyka jazzowa i nic jej już nie zmąciło¹¹⁴...

- *Hello, old boy!*¹¹⁵ - zawołał Major na przywitanie. - Udała się podróż? A gdzie są Pochetowie?

Gdy opowiedziałem Marmaduke'owi p naszym rozstaniu w *dining-room* rozległ się jego hałaśliwy, chropowaty śmiech. Major zechciał się zgodzić, że było to może trochę za wiele, ale... *after all they were very valuable dogs*¹¹⁶. Poradziłem mu, aby powstrzymał się od takich ocen, gdy zobaczy ponownie panią Pochet.

- Ależ, drogi przyjacielu, traktujemy zwierzęta jako stworzenia wyższego rzędu właśnie dlatego, jak sądzę, dlaczego wy je traktujecie jako stworzenia niższe - nie mają one tego, co nam pozwala robić tyle głupstw. Czynimy tyle wybiegów, aby nigdy nie powiedzieć prawdy, że trudno nam nie żywić

Nawet jeżeli chodzi o reklamę piwa, whisky czy mydła, najpoważniejsze firmy zwracają się najchętniej do społeczeństwa (ludzkiego społeczeństwa) za pośrednictwem fok, pingwinów czy kangurów. Nic tak nie przyciąga oka Anglika. Miło im, gdy jakaś gwiazda filmowa zapewnia w technicolorze, że krem do usuwania włosów Z... jest doskonały, ale wolą, gdy czyni to foka,..

¹¹¹ breakfast - śniadanie

¹¹² please - proszę

¹¹³ ksiądz Pierre - popularna we Francji postać katolickiego działacza dobroczynnego, opiekującego się szczególnie bezdomnymi

¹¹⁴ Radio i telewizja brytyjska zastosują się na pewno wkrótce do życzenia pewnego czytelnika „TV Mirror” („TV Mirror” - „Zwierciadło Telewizji”), magazynu telewizyjnego, który otrzymał następujący list: „Proponuję, aby między 7 a 7,25 BBC wprowadziło program pod tytułem „Pussies' Half Hour” (Pussies' Half Hour - Pół Godziny dla Kotków), w którym słyszałoby się tylko głosy zwierząt, głównie śpiew ptaków. Jestem przekonany, że taka audycja przyczyniłaby się wielce do uspokojenia naszych psów i kotów, tak często smutnych i zdenerwowanych wówczas, gdy my oglądamy telewizję”.

Paul Morand, subtelny znawca zwierząt angielskich, opowiada, że kiedy pracował w Ambasadzie Francuskiej w Londynie, kancelaria otrzymywała co roku na wiosnę notę z Foreign Office z prośbą do rządu francuskiego o przedsięwzięcie wszystkich środków, aby nie strzelano do wędrownych ptaków, powracających z Afryki na północ, w czasie ich przelotu nad południem Francji.

¹¹⁵ hello, old boy! - jak się masz, stary!

¹¹⁶ w końcu to były bardzo cenne psy

bezgranicznego podziwu dla istot, które nigdy nic nie mówią! Przy najlepszej woli najcichszy nawet Anglik pozostanie zawsze mniej wart od psa, ponieważ w jakimś momencie swego życia będzie zmuszony powiedzieć: *How do you do?*¹¹⁷

- Ale czy to jest powód, aby okazywać więcej czułości zwierzęciu niż dziecku? Wasz *master* gotów jest złamać rózgę na grzbiecie ucznia, a nikt nie zaprotestuje. Ale jeżeli złamię łapę psu, który mnie ugryzł - ryzykuję więzienie.

- W każdym razie będzie pan miał przeciwko sobie całą dzielnicę, a nawet cały kraj! Dla ochrony dzieci istnieje tylko *National Society*¹¹⁸, ale dla ochrony zwierząt jest *Royal Society*¹¹⁹. Należy doceniać tę różnicę.

- I pan uważa to za normalne? Psychoanalityk byłby...

- *You and your logic!*¹²⁰ Już widzę, jak wysuwa pan argumenty w rodzaju: „Czułość, której odmawiamy dzieciom, przenosimy na nasze pekińczyki”. Jest w tym coś z prawdy, ale i coś z fałszu... Rzeczywiście, uważamy za mniej śmieszne pieścić kota niż głaśkać chłopczyka. Wychowujemy nasze dzieci twardo, gdyż pewnego dnia staną się mężczyznami; pieścimy psa, ponieważ całe życie zostanie on dzieckiem. Zresztą nie pieścimy go... Bawimy się. Uwielbiamy bawić się... Uwielbiamy psy, gdyż można bawić się z nimi do ostatniego dnia... Niechże pan weźmie jako przykład pułkownika Cranborne... Jego żona ma grypę, a on poszedł po weterynarza...

- Czy chce pan powiedzieć, że ma zamiar zaaplikować jej końską kurację?

- Nie, ale znacznie bardziej zależy mi, aby zaopiekowano się jego starym terierem, który odpoczywa w ciepłe w najwygodniejszym pokoju, niż aby alarmowano lekarza z powodu banalnej grypy jego żony, która sypia w lodowatym pokoju. Co nie przeszkadza, że jesteśmy bardziej uczuciowi, niż przypuszczacie. Niechże pan popatrzy, co się dzieje w tej chwili: cała Anglia drży o serce księżniczki na myśl, że nie będzie ona mogła poślubić wybrańca swego serca... A owa odrażająca Jennifer, której serce wydaje się panu z kamienia, ponieważ stosuje ona dyscyplinę tak drogą Mrs. Cripplestone; czy wie pan, jaka jest jej pierwsza myśl w zimowy poranek, kiedy panuje mróz i kiedy drży z zimna w swym biednym flauszowym płaszczu?... „Żeby tylko Królowa włożyła coś ciepłego na siebie!” Zazwyczaj jednak ukrywamy tę uczuciowość pod skorupą oziębłości... A dla was jest to hipokryzja; przy czym słowo to służy wam za wytrych, gdy chcecie nas otworzyć. Postępujemy tak z równymi sobie. Gdy jednak chodzi o zwierzęta, bariera wstydlivosti idzie w górę i oddajemy się uczuciom całym sercem...

- Wasze uwielbienie dla zwierząt nie przeszkadza wam polować z nagonką na lisa...

- *Rubbish!*¹²¹ Nigdy nie strzelamy do lisa!... To sprawa między nim a psem... A poza tym nie jest pan w stanie zrozumieć upojenia, jakie ogarnia Anglika jesienią, gdy w pogoni za lisem puszcza swego

¹¹⁷ Jest to również z całą pewnością opinia członka Sądu Najwyższego, który w czasie jakiegoś niedawnego procesu zawołał: „Jeżeli w niebie nie ma psów, nie chciałbym pójść do nieba!” (how do you do? - jak się pan ma?)

¹¹⁸ National Society - Towarzystwo Narodowe

¹¹⁹ Royal Society - Towarzystwo Królewskie

¹²⁰ you and your logic - pan i pańska logika

¹²¹ rubbish - brednia

konia, skacząc przez rzeki i zarośla, ploty i ogrodzenia... Ma w płucach całą Anglię. I wszyscy są szczęśliwi - konie, psy, ludzie...

- Lis chyba także?

- Nawet lis - on lubi sport... Gra... Tylko ostatnia minuta może być dla niego nieprzyjemna. *Too bad...* Ale gdzież tu okrucieństwo? Rzeczą naprawdę okrutną byłoby pozbawienie dzielnych psów posiłku po dwustu kilometrach biegu...

Major zawsze będzie miał rację.



James, proszę mi położyć jeszcze jednego kota, czuję przeciąg.

Najlepszy dowód, że rodaków majora Thompsona bardziej obchodzi los zwierząt niż los ludzi, miałem zaraz pierwszego dnia mego pobytu w Anglii: Katastrofa w Orléansville wywołała solidarne współczucie całego świata. Nie zdziwiłem się więc wcale, gdy na pierwszej stronie „Timesa” zobaczyłem małe zawiadomienie, którego pierwszy wiersz wydrukowany był dużymi literami:

TRZĘSIENIE ZIEMI W ALGIERII. SKŁADAJCIE DARY DLA POSZKODOWANYCH

Ale chodziło tu o nadsyłanie darów na adres *Royal Society*, Królewskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt, gdyż tysiące mułów, koni, kotów i psów znalazło się bez dachu. O ludziach - ani słowa.

W kilka dni później przysłuchiwałem się z majorem Thompsonem obradom Izby Gmin. Siedząc do siebie twarzą w twarz, pełni zapału mówcy oddawali się - w obliczu spikera w peruce - gwałtownej wymianie słów w owym tradycyjnym stylu, który polega na tym, aby nikogo nie traktować jak głupca, zanim nie nazwie się go uprzednio *honorable*¹²².

- Jakież jest temat tej zapalczącej dyskusji? - zapytałem Majora. - Bomba atomowa czy sprawa nacjonalizacji?

- Miksomatoza¹²³, *my dear fellow*¹²⁴...

Niebezpieczeństwo zarażenia się ludzi było nieistotne, gdyż choroba ta nie przenosi się na człowieka (a zresztą godny tego miana Anglik nigdy nie jada królika). Mowa była jednak o groźbie, jaką ta plaga przedstawia dla angielskich kotów, których ulubioną potrawą jest królik. Wzburzenie szanownych członków Izby było tym żywsze, że strajk dokerów uniemożliwił rozładunek towarów w portach brytyjskich. Nikt się nie martwił o to, że Anglicy mogą być głodni. Dramat polegał na tym, że strajk uniemożliwiał wyładunek mrożonych królików australijskich, jedyne godnego pożywienia dla kotów, odkąd epidemia miksomatozy opanowała Europę.

Przypadek chciał, że następnym punktem porządku dnia była sprawa choroby Heine-Medina. Umysł uspokoił się natychmiast. Wielu deputowanych podniosło się, aby pójść na herbatę, a całe zagadnienie rozpatrywane było wśród powszechnej obojętności¹²⁵.

- Gdyby zwierzęta miały swego papieża - powiedział mi major Thompson - ich Watykan byłby w Londynie. I gdyby nieszczęśliwym zrządzeniem losu, na skutek jakiegoś kataklizmu podwodnego, statek »Wielka Brytania« zaczął tonąć, zawsze znalazłby się ktoś, kto zawołałby ze szczytu wieży Westminster: „Najpierw psy!”¹²⁶

¹²² honorable - szanowny

¹²³ wirusowa choroba królików.

¹²⁴ my dear fellow - drogi kolego

¹²⁵ I tutaj nic nie zmyślam. Jaka szkoda! To byłoby tak zabawne... Odsyłam więc pedantycznych czytelników do „Daily Telegraph” z 27.10.54, który podkreślił krańcową gwałtowność debaty nad pierwszą sprawą i ponurą płaskość, jaka towarzyszyła następnej.

¹²⁶ Można bez końca cytować przykłady dowodzące, że Anglicy uwielbiają różgę, gdy chodzi o człowieka, a odkrywają w sobie skarby uczucia, gdy chodzi o zwierzęta, nawet najbardziej potworne. Byłem pewnego wieczora w kinie na Piccadilly, gdzie wyświetlano krótkometrażówkę o podwodnym rybołówstwie na Morzu śródziemnym. Pokazano włoskiego rybaka omotanego mackami olbrzymiej ośmiornicy, od której zdołał się wyzwolić dopiero po dramatycznej walce. Udało mu się wreszcie przebić harpunem ciało potwora, którego czarna krew zabarwiła morze. Moja sąsiadka, która nie okazała najmniejszego współczucia dla rybaka, na widok zranionej ośmiornicy nie wytrzymała, by nie ucisnąć ręki swego towarzysza, mrużąc przy tym: „*Poor little thing!* (poor little thing - biedne maleństwo)

Anglicy nie potrafią skarżyć się na zachowanie zwierzęcia, nawet gdy padają ofiarą jego okrucieństwa. Ani przez chwilę nie było mowy o zabiciu goryla, który w londyńskim ZOO oderwał dziecku ramię i spowodował jego okropną śmierć. Pies słynnego aktora A. E. Matthews'a ugryzł go w wargę mniej groźnie, jednak ukąszenie to uniemożliwiło aktorowi wyjście na scenę. I na domiar wcale nie było łatwo poznać prawdę. Podano najpierw w komunikacie, że gwiazdor zachorował. Ale potem aktor rozmyślił się: „Chciałem ukryć, co się zdarzyło; Charliemu (czteroletni Kerry Blue) jest bardzo przykro... W istocie prosiłem, aby mnie pocałował, ale był trochę za namiętny...” (Dwa szwy w szpitalu. Tydzień niedyspozycji).



Poproszę Neapol...

IX. Fabryki gentlemanów

Anglicy z czułością stosują rodzaj żeński do swych krążowników, ale dla dzieci zachowują rodzaj nijaki. W kraju, w którym nieraz łatwiej określić rodzaj statku niż człowieka i gdzie ilość płci jest wyraźnie większa od dwóch, ten rodzaj nijaki jest bardzo znamieny i stanowi zarazem dowód przezorności. A przecież nie można powiedzieć, żeby Anglicy nie obdarzali czułością swych dzieci, mimo że nie posuwają się do tego, aby chuchać na nie jak na swoje psy i stroić je jak swoje jachty. Tyle tylko, że w szczególny sposób objawiają swoje przywiązanie do dzieci: zamiast zachować je przy sobie, oddają je w opiekę specjalistom. Koniec końców, wychowywać dzieci tak jak konie to najpiękniejszy hołd, jaki można im złożyć, gdy mieszka się w Królestwie, w którym zwierzęta są bogami.

Podobnie jak właściciele stadnin, pragnący uczestniczyć w Derby, poddają swe wierzchowce treningowi od urodzenia, tak Anglicy zapisują swoje nowo narodzone latorośle na listę tradycyjnych stajni gentlemanów w Eton, Harrow czy Winchester; dzieci uczą się tam skakać przez płotki, znosić chłostę, biegać po trawniku i opanowywać swe instynkty. Nie stają się „myślącymi trzciami”, jak Francuzi.

Tajemnica *Public Schools*¹²⁷, które - jak nazwa wskazuje - są prywatnymi szkołami, gdzie bardzo drogo płaci się za prawo bycia bitym (w przeciwieństwie do *State Schools*¹²⁸, które są szkołami publicznymi, gdzie unikacie całkiem darmo kar cielesnych), otóż tajemnica tych szkół polega nie tyle na wyostrzeniu inteligencji, co na wykuwaniu charakterów.

Major Thompson chciał pewnego wiosennego poniedziałku wytłumaczyć to Martine, gdy w przewidywaniu decyzji, którą mieli podjąć co do edukacji Nicholasa, udali się w moim towarzystwie do Eton. Po spokojnych ulicach miasta spacerowali z rękami w kieszeniach mali, różowi chłopcy ubrani na czarno. Kiedy spotykali swego *master* w czarnym stroju, wyciągali jedną rękę z kieszeni i zgodnie z tradycją pozdrawiali go niedbałym gestem wskazującego palca, podczas gdy nauczyciel odpowiadał jeszcze bardziej niedbałym palcem. Chłopcy, którzy nie byli we frakach, nosili blezery w paski, szare spodnie i czapki i uzbrojeni w krykietowe kije lub wiosła, udawali się na tereny sportowe. Przez wysokie, sklepione okno neogotyckiej sali zobaczyliśmy, jak trzech *boys* demontowało starego rollsa, model 1929 (zajęcia praktyczne). Poza tym owego poniedziałkowego popołudnia klasy były puste.

- Uważasz, że to jest poważne, Marminet? - zapytała z ironią Martine.

Marmaduke, niezmiernie uszczęśliwiony, że może zanurzyć się we wspomnieniach młodości, spojrzął na niebo, po czym powiedział:

- Ciekawe, czy pan Bóg stworzył wiosenne popołudnia na to, aby młodzież wyciągała kwadratowe pierwiastki w zakurzonych salach, czy też na to, aby mogła grać w krykieta na przestronnych

¹²⁷ *Public Schools* - ekskluzywne i zwykle bardzo drogie szkoły, które dają staranne wykształcenie i przygotowują do studiów uniwersyteckich

¹²⁸ *State Schools* - szkoły państwowe

trawnikach. Martine, dear... gdy pomyślę, że Stwórca może zobaczyć w tym samym momencie dziewczęta z Wycombe Abbey, wychodzące ze swych houses¹²⁹, aby grać w lacrosse¹³⁰, oraz dziewczęta z Victor-Duruy, jak zamykają się, aby obliczać boczną powierzchnię ściętego stożka - wydaje mi się, że wiem, ku czemu skłania się Jego serce... Wasze dzieci wyglądają pod koniec roku szkolnego jak schorzali, siedemdziesięcioletni starcy. U nas ludzie siedemdziesięcioletni mają głowy gimnazystów. Really¹³¹, we Francji uprawiacie za mało sportu...



A teraz my, oldboye, pokażemy wam, jak to było za naszych czasów...

132

- Au was za dużo... I z tego powodu produkujecie głupców...

- *Stupid!*¹³³ Jeszcze jeden z waszych przesądów na temat angielskiego wychowania. Meredith zauważył, a ja jestem o tym przekonany, że w Anglii jest mniej więcej tyle samo głupców co we Francji. Ale angielski głupiec to po prostu głupiec. Podczas gdy francuski głupiec rezonuje¹³⁴. Anglicy to niekiedy ignoranci; ich siła polega na tym, że o tym nie wiedzą. To lepsze niż być bardzo inteligentnym i znać swoje słabości. Myślenie gubi narody w najtragiczniejszych godzinach historii. Hitler miał 200 zmotoryzowanych dywizji i cały Kontynent pod swoim butem wówczas, gdy gentlemani z City zaczęli ćwiczyć parasolkami chwytami bronią na ulicach Londynu. Każde rozumne

¹²⁹ house - dom

¹³⁰ lacrosse - popularna w angielskich szkołach dla dziewcząt gra zbliżona do krykieta

¹³¹ really - naprawdę

¹³² oldboy - stary chłopiec

¹³³ stupid - to niemądre

¹³⁴ Sam Major nie wahał się zauważyć, mówiąc o członkach swego *Cavalary Club*: (*Cavalry Club* - Klub Kawalerii) „Niektórzy oficerowie są tak głupi, że spostrzegają to nawet ich koledzy”.

zwierzę byłoby przewidziało możliwość porażki. Nie było jednak ani jednego Anglika godnego tego miana, który by pomyślał o tym przez chwilę.

Martine zadumała się.

- Powiedzmy - odrzekła. - Aże tak czy owak, nie chcę, aby bito Nicholasa różgą!... Podobnie jak nie chcę, abyś - idąc za wskazówkami małżeńskimi twego Wielebnego Ojca McCaskilla - dawał mi od czasu do czasu klapsa. Uważaj, Marminet, bo cię w końcu opuszczę.

Trzeba zauważyć, że Martine była tego dnia pod silnym wrażeniem lektury „Daily Express”! Nie tylko że wyłożono w tej gazecie teorię szczęśliwego pożycia małżeńskiego według Wielebnego McCaskilla, pastora kościoła prezbiteriańskiego („Młodzi małżonkowie powinni sobie od czasu do czasu wymierzać nawzajem przyzwoite kary. Pewne kompleksy nie ostoją się długo wobec klapsa w tyłek”), ale pod tytułem o tłustych czcionkach:

THE HEAD CANES 200 BOYS¹³⁵

dziennik relacjonował, jak Mr. Oliver Whitfield, dyrektor college'u w Usworth, nie zdoławszy odkryć autora nieprzyzwoitego rysunku wymalowanego na progu szkoły, zdecydował się zastosować zbiorową karę: 200 uderzeń różgą w 200 wyciągniętych dłoni. Dzienniki wysłały natychmiast reporterów, aby zdobyć informacje - nie o uczniach, ale przede wszystkim o *headmaster*¹³⁶.

Nauczyciel, zmęczony ciężkim dniem, odpoczywał; jego żona podjęła się odpowiadać na pytania:

- Oczywiście Olivera boli trochę ramię, ale możecie napisać, że w każdym razie uczyniłby to samo z własnymi dziećmi.

Ukarani, z którymi przeprowadzono z kolei wywiad, nie objawiali najmniejszej goryczy, a raczej nawet pewien podziw dla sportowego wyczynu swego dyrektora: „To naprawdę siłacz ten Whitfield - powiedział czternastoletni uczeń. - Zachował niezmiennie tempo w ciągu dwudziestu pięciu minut. Byłem dwusetną ręką i mogę pana zapewnić, że ostatnie uderzenie było równie silne jak pierwsze”.

- To wyjątkowy wypadek - wyjaśnił zakłopotany Major. - Najlepszy dowód, że napisały o nim gazety.

- A ja nie chcę - odrzekła Martine z uporem - aby mój syn mógł być bity przez kogoś, kogo nie znam. Nawet wyjątkowo.

- A więc nigdy nie będzie prawdziwym gentlemanem!

- Nie widzę żadnego związku.

- Ty nigdy nic z nas nie zrozumiesz, *my dear*... Nasza elita wychodzi z Eton, z Harrow, z Winchester. A jaki jest pierwszy obowiązek elity? Umieć panować nad sobą. A czego należy nauczyć się w pierwszym rzędzie, aby panować nad sobą? Dać panować nad sobą¹³⁷.

¹³⁵ the head canes 200 boys - dyrektor wymierza chłostę 200 chłopcom

¹³⁶ *headmaster* - dyrektor szkoły

¹³⁷ W Londynie istnieje jeszcze Towarzystwo Krzewienia Kar Cieleśnych a „Zarys chłosty poprzez wieki” znajduje się wciąż na poczesnym miejscu na wystawach sklepów na Charing Cross. Trzeba jednak stwierdzić, że kary cielesne w college'ch są dziś mniej częste niż kiedyś. Stanowią regułę, tylko gdy chodzi o poważne przekroczenia. *Headmaster* osobiście wymierza karę, umówiwszy się uprzednio z uczniem na spotkanie. W

Ucząc się panowania nad sobą, młody Anglik może liczyć zarówno na starszych od siebie chłopców - *prefects*, którym powierza się utrzymywanie dyscypliny, jak i na swych nauczycieli. Dla przyszłego lorda czy kandydata na gubernatora w Buszmenii lub Ugandzie nie ma nic lepszego, jak zacząć karierę jako służący szesnastoletniego pana, który na zasadzie *fagging*¹³⁸ może kazać przyrządzić sobie grzanki (oczywiście palcami), zanieść galopem liścik do innego prefekta, wypastować posadzkę lub wspiąć się po gładkim sznurze. Wychowanie w *Public Schools* wydaje się być tak pomyślane, aby każde dziecko mogło zostać wicekrólem Indii. Nie ma już Indii - ale metoda pozostała.

Zdarza się, że przyszły gentleman żywi nieprzychylny sąd o *Public Schools* w epoce swego życia, gdy poddany jest niewolnictwu. Ale po pierwsze nikt go o zdanie nie pyta, poza tym zaś obawiałby się ośmieszyć wypowiadając takie zdanie. A nade wszystko czeka on chwili zemsty: najpierw jemu dokuczano, a potem on sam zacznie dokuczać. W każdym razie wychowankowi Eton czy Harrow nie wpadnie nigdy na myśl, aby napisać do domu płaczącą skargę, że dostał baty. Straciłby twarz na całe życie, wobec swej rodziny, wobec kolegów i wobec samego siebie. Prawdziwy gentleman nie skarży się nigdy. Musi on umieć „dostawać w skórę” - *to take it*. Jest to prawo, któremu Anglicy są posłuszni całe życie¹³⁹. Anglik godzi się na wszystko bez skrzywienia: na kije, na rac jonowanie i na lodowate sypialnie. Z chwilą gdy na skutek narodowej konieczności zarządzenie zakazuje zjadać więcej niż 125 gramów mięsa na tydzień, nikt nie będzie spożywał 126 gramów: to nie byłoby w stylu krykieta.

Czy znaczy to, że ci ludzie nie lubią dobrze zjeść, myć się ciepłą wodą i mieć wygodne łóżka? Nie, ale chyba jeszcze bardziej lubią pokazywać, że mogą się bez tego obejść.

Niech tylko jakaś oburzona matka albo zbyt gorliwy reformator podejmie akcję za zniesieniem kar cielesnych, a już „Times” otrzymuje falę listów od starszych panów, którzy z dumą wspominają czasy, gdy byli bici. Oto na przykład pewien siedemdziesięcioletni mężczyzna pisze: „Do śmierci pamiętać będę ów dzień, gdy przebywając pierwszy rok w Harrow wziąłem baty za to, że zapiąłem dwa guziki

każdym razie trzeba mieć jego pozwolenie, aby wymierzyć karę. Najbardziej zresztą bronią tego systemu uczniowie. Profesor w pewnym college'u w okolicy Londynu zapytał niedawno swoich uczniów, co wolą: areszt w szkole czy kij; miążdżąca większość wypowiedziała się za karą cielesną, twierdząc, że jest szybsza i dostarcza okazji do wykazania odwagi. Dziennikarka z „Sunday Express”, Anne Scott-James, która piętnowała te „spartańskie metody”, znalazła się w obliczu lawiny protestów. Trzynastoletni uczeń napisał do niej: „Gdy przeczytałem pani artykuł swoim kolegom, opanował ich szalony śmiech. Może chciałaby pani, żeby każdy z nas miał swego pluszowego niedźwiadka? Wszystko, co pani napisała, to kompletna bzdura - jesteśmy wszyscy bardzo zadowoleni”. Według statystyki sporządzonej przez pewnego specjalistę, Geoffrey Gorera, autora znakomitego dzieła o zachowaniu się Anglików, większość rodziców jest za karami cielesnymi, a niektórzy ujawniają takie wyrafinowanie w ich stosowaniu, że uradowaliby Freuda. Ojciec trojga dzieci, który akceptuje hurtem wszystkie kary dla obojga płci, zaleca na przykład zabicie po tyłku w obecności innych dzieci, aby zdławić miłość własną winnego (winnej)”. Pięćdziesięciosiedmioletni ojciec z Wolverhampton zaleca, żeby „ubierać chłopców w sukienki”. Różnorodność kar cielesnych jest tak duża, że Mr. Gorer uznał za właściwe ułożyć synoptyczną tablicę, wskazującą, ku jakiemu rodzajowi kary ojcowie i matki skłaniają się najbardziej: a) caning (bicie laską), b) trashing (bicie rzemieniem, paskiem albo batem), c) punching (bicie gołą ręką), d) birching (różga, kańczug itp.), e) flogging (różne biczowania).

¹³⁸ Fags - popychadła starszych chłopców, muszą z miejsca stawić się na wezwanie: „Boys!”, gdy rozlegnie się ono w korytarzu houses, w których mieszkają uczniowie. Kto przybiegnie ostatni, musi odrabiać pańszczyznę.

¹³⁹ Francuski lekarz, doktor Lugnier z Marcilly-sur-Seine (departament Marne), opisał mi w liście historię, której świadkiem był w grudniu 1955 roku: «Młoda para (ona Francuzka, mąż - Anglik) traci nagle ośmiomiesięczne dziecko (neurotoksykoza, śmierć w ciągu 48 godzin). Zebrana przed łóżeczkiem francuska rodzina płacze rzewnymi łzami. Przybywa matka męża o typowo angielskim sposobie bycia. Łkania francuskie wzmagają się. „Płaczecie?” - mówi Angielka do młodej kobiety. „A ty nie płaczesz?” - odpowiada ta ostatnia. „Płacze się nocą” - mówi niewzruszona Angielka.

marynarki zamiast trzech. Jestem dumny z tej lekcji". Sam Attlee, w czasie uroczystości w college'u w Haileybury, przypomniał nie bez dumy, że był jednym z 82 uczniów, którzy w 1900 roku dostali kije po jakiejś niewczesnej manifestacji.

Panować nad sobą, aby pewnego dnia panować nad światem - oto w gruncie rzeczy zasada, według której wychowuje się dziecko w *Public Schools*; ich pierwszym zadaniem jest seryjna produkcja gentlemanów. Myliłby się zresztą ten, kto by przypuszczał, że tą produkcją zajmują się tylko *Public Schools*, zastrzeżone dla synów bogatych rodzin i kilku stypendystów. Najsłabsze szkoły mają tę samą ambicję, a ich wychowankowie wzorują swe maniere na manierach panujących w wielkich college'ach. W tym kraju robotnik naśladuje drobnomieszczanina, drobnomieszczanin kopiuje mieszczańca, mieszczańca bierze przykład z arystokraty, arystokrata zachowuje się według wzorów dostarczonych przez suwerena, suweren ściska rękę robotnikowi, a wszyscy pragną zostać gentlemanami.

Ale cóż to jest właściwie gentleman?

Dla Francuzów to ktoś, kto całuje damy w rękę i ustępuje im miejsca w metro. Ten schemat nie odpowiada zupełnie idei gentlemana, jaka panuje w Anglii, tu nigdy nie całuje się damy w rękę, a mężczyzna, który chce ustąpić miejsca w metro, ryzykuje, że kobieta nie pragnąca wcale takiej pobłażliwości osadzi go z powrotem na miejscu.

Definicja doskonałego gentlemana została podana w 1440 roku w statutach *All Souls College*¹⁴⁰ w Oksfordzie, najwyższego uniwersyteckiego autorytetu Królestwa: *Bene nati, bene vestiti et mediocriter docti*¹⁴¹.

W kraju, gdzie inteligencja uchodzi za ukryte zło, które złagodzić może jedynie ustawiczna dyskrecja, definicja ta w zasadzie utrzymuje się w mocy. Nie jest ona wszakże ścisła, jeżeli chodzi o ubranie. W istocie dla mieszkańca wsi gentleman to ktoś, kto może sobie pozwolić na włożenie w niedzielę dziurawych spodni i krawata przypominającego pasek. Dla robotnika gentleman będzie raczej kimś, kto wymawia „h” i nosi w tygodniu melonik¹⁴². Dla gentlemana - gentleman (człowiek, który umiera nie wypowiedziawszy tego słowa) to ktoś, kto wdrapuje się na Everest, nie mówi o tym nikomu i słucha grzecznie, jak Pochet opowiada, że w 1937 roku, mimo zapalenia nerwu kulszowego, zdobył Puy de Dôme. W salonie gentleman powinien przede wszystkim unikać mówienia o tym, co wie najlepiej. Uszedłby za jednego z owych ekspertów i zawodowców, których Anglicy - wielbiciele amatorstwa - nie znoszą. (Człowiek, który pragnie zostać lekarzem, musi dużo pracować, aby być „Doktorem”, ale jeszcze więcej, aby stać się znów „Mister”. Tylko chirurdzy mają przywilej nazywać się „Pan”, jak wszyscy).

¹⁴⁰ All Souls College - Kolegium Wszystkich Świętych

¹⁴¹ dobrze urodzeni, dobrze odziani, przeciętnie wykształceni

¹⁴² Nie jest to nieściste, ale zbyt ogólne. Gdybym mógł, to znaczyłoby on sam był w stanie to osiągnąć, kazałbym swemu współpracownikowi przebić ową „barierę dźwięku”, na którą ucho arystokratyczne jest tak uczulone i która pozwala nam ustalić pochodzenie socjalne jednostki według „h” i „o”. Można by zresztą ułożyć prawdziwą tabelę geologiczno-socjalną Anglii, na której dałoby się odróżnić okres kredowy Foreign Office, pofałdowania melonikowe i neolit z wąsami Majorów na emeryturze. Zanim poświęcę się tej nowej pracy, niechże wystarczy, że powiem, iż uwarstwienie klas społecznych można również zastosować do psów. Prospekt pewnego hotelu w Torquay, znanej miejscowości kąpielowej, precyzuje: „Cena utrzymania dziennego dla psów waha się od 1 szylinga 6 pensów do 3 szylingów, zależnie od wielkości i społecznej sytuacji zwierzęcia. (*Dogs are charged for at the rate of 1 s. 6 d. to 3 s., according to the size and social standing of the dog*). (Uwaga Majora).

W jaki sposób mówić lub raczej milczeć, zachowywać się, ubierać, prowadzić wojny po sportowemu i uprawiać sport jak wojny - tego wszystkiego gentleman uczy się, a raczej zaraża tym jak jakąś chorobą, w college'u, a później na uniwersytecie. Manier bowiem nie tyle się uczy, co się je przejmując - przez zarażenie.

Dziecko angielskie, wyrwane w najmłodszym wieku z łona rodziny¹⁴³, zaczyna ssać olbrzymią butlę tradycji w owych średniowiecznych dziecińcach, jakim są *Public Schools*. Jest tylko jeden sposób noszenia czapki w Harrow, jeden sposób pozdrawiania profesorów w Eton, jeden sposób przechadzania się (zawsze grupowo: samotność jest piętnowana) dla dziewcząt w Wycombe Abbey, jeden sposób noszenia książek i zeszytów w Charterhouse, jeden sposób - wszędzie - spania i pracy, zimą i latem, przy oknach otwartych na oścież. Nie ma znaczenia, czy jest to dobry sposób czy zły. Przyjęto go od lat sześciuset czy trzystu - i tylko to się liczy. Nie ma znaczenia, że nauka waży mniej w wychowaniu niż działalność sportowa. Wychowankowie Harrow stawiają swe pierwsze kroki gentlemana na posadzce Alec Fitch Room, wyciosanej z okrętów spod Trafalgar. Historia Napoleona może iść za krykietem: wchodzi im w skórę przez osmozę¹⁴⁴.

Na ławkach, na których wryli swe imiona Peel i Gladstone, dziecko dochodzi w naturalny sposób do przekonania, że wszystko, co zrobiono dobrego w świecie, jest *British*: okręty i tkaniny, tajny wywiad i Zoo, lokaje i samoloty. Na przykład klimat: dzieci Albionu uczą się, że Anglia jest idealnym krajem o umiarkowanym klimacie i tylko jego mieszkańcy nie dostrzegają tego¹⁴⁵.

W cieniu wysokich, czerwonych murów, na zielonych kobiercach wiekowych trawników młody Anglik zostaje naznaczony piętnem, którego nic nie zdoła zmazać. Gdy w ciągu siedmiu lat nabrało się zwyczaju żyć z ósmiuset chłopcami, wykonywać te same gesty, przestrzegać tych samych obyczajów, ubierać się tak samo, uprawiać te same dyscypliny sportowe w tym samym duchu (*the team spirit*¹⁴⁶) - zachowuje się potem niezatarte ślady. Jakakolwiek byłaby jego kariera, Anglik całe życie nosić będzie stempel college'u niby znak wodny i wykorzysta najmniejszą okazję, aby zanurzyć się w swym pierwotnym żywiole. Aby zrozumieć, że Anglicy rodzą się gentlemanami, a umierają dziećmi, wystarczy tylko popatrzeć, jak biskup Willesden porzuca mitrę i krzyż, wkłada szkolną czapkę i białe spodnie i udaje się nad Tamizę sędziować w meczu Oksford-Cambridge. Siedemdziesięcioletni mężczyzna, który pisze do „Timesa” wspominając z dumą swoje pierwsze baty, to nie starzec, to *old boy*.

¹⁴³ Zdaje się, że zostawszy mężczyzną, dziecko angielskie rewanżuje się swym rodzicom. Wysyłane bez czułości do lodowatych sypialni i pod baty, wyekspediuje we właściwym czasie swych przodków do ponurych boarding-houses, w rodzaju tego, który prowadzi Mrs. Cripplestone, gdzie setki tysięcy samotnych i porzuconych starych Anglików dożywa swych dni nad smutnym talerzem zupy jarzynowej.

¹⁴⁴ W sercu i w programie szkolnym ucznia angielskiego historia Anglii zajmuje znacznie więcej miejsca niż historia innych narodów. Stwierdziłem to osobiście asystując na lekcji historii w Harrow. Master, Mr. Herbert Harris, bardzo uprzejmie pozwolił mi zadać kilka pytań swoim uczniom (14 i 15 lat). Zapytałem ich, który król Francji został ścięty na gilotynie. Pierwszy odpowiedział: „Ludwik XI”, „Ludwik XII” - powiedział drugi. Szósty dał poprawną odpowiedź i Mr. Harris przerwał operację. Zapytałem następnie, kto spalił na stosie Joannę d'Arc, na co wszyscy odpowiedzieli: „Francuzi”. Rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie. Wszystkie dzieci miały zdrowy wygląd, były zadowolone i sympatyczne. Na 20 uczniów tylko 6 było bitych.

¹⁴⁵ Jedynie w dziedzinie muzyki Anglicy są skłonni do nieco większej skromności. Sir Thomas Beecham powiedział na temat Albert Hall, słynącej ze swego echa: „Jest to jedyne miejsce w świecie, gdzie kompozytorzy angielscy mają szansę usłyszenia swych utworów dwa razy”.

¹⁴⁶ the team spirit - duch ekipy

Z prałata, z męża stanu wyłazi zawsze gimnazysta. Jeden jak i drugi stosować będą w sprawach światowych zasady sportu, klubu, college'u. Kiedy Churchill oświadcza Stalinowi, że aby być w „Klubie Mocarstw”, trzeba zapłacić wpisowe w postaci czterech milionów żołnierzy - to wychowanek Harrow przemawia w Jałcie, to siedemdziesięcioletni superprefekt, ulepiony z tradycji i przywilejów, układa sportowy regulamin. Gdy *Home Secretary*¹⁴⁷, Major Lloyd George, mówi o możliwości porozumienia z Rosjanami i Chińczykami, zaprasza najpierw tych ludzi na partię krykieta - to ułatwi wszystko. A gdy Mrs. Cripplestone chciała mi wytłumaczyć, kim był Hitler, powiedziała: „*The trouble with this man Hitler is that he never went to a really good school*”¹⁴⁸.

¹⁴⁷ Home Secretary - minister spraw wewnętrznych

¹⁴⁸ Najgorsze z tym Hitlerem to to, że nigdy nie chodził do naprawdę dobrej szkoły

X. Mąż, żona i Biblia

Aby otworzyć Anglika - powiedział mi major Thompson - istnieją dwa klucze: whisky i Biblia. Ponieważ nie zawsze spaceruję z Biblią w kieszeni (ani też z butelką whisky) - wielu Anglików pozostaje dla mnie zamkniętych. Ale czytając pewnej niedzieli gazetę, zrozumiałem doskonale, że Major ma rację. Niedzielne dzienniki brytyjskie mają niezmiernie znaczenie dla poznania Anglików - można w nich ze szczegółami przeczytać wszystko to, czego Anglicy nie ośmielają się powiedzieć. (Francuzi mówią o tym, ale nigdy nie ośmieliliby się napisać). W ten sposób, wraz z dwudziestu milionami obywateli, przekracza się bez trudu osławiony niepogwałcalny mur prywatnego życia Mr. Smitha.

W danym wypadku Mr. Smith nazywał się Mr. Jones. Był to zdradzony mąż. We Francji taka figura daje natchnienie autorom komediowym. W Anglii budzi ona raczej sympatię. Wystarczyło, że Mr. Jones przeczytał swojej żonie pięćdziesiąty pierwszy psalm, w którym Dawid oddaje się skrusze, ponieważ popełnił grzech cudzołóstwa z Betsabeą, a wnet małżonka pana Jonesa, mająca nieczyste sumienie, ale dobrą pamięć, wyznała mu, że zdradziła go przed trzydziestu laty. Jak gdyby nie wystarczyło tego ciosu, oznajmiła mu, że ich syn Eryk nie jest jego synem.

Mówiąc prawdę, Mr. Jones mógł to podejrzewać, gdyż - żeby użyć angielskiej formuły - nigdy nie „skonsumował” małżeństwa. Wolne wieczory poświęcał prawie wyłącznie na czytanie Biblii w towarzystwie żony. Jako gorliwi baptyści, oboje przysłuchiwali się co wieczór publicznej lekturze Pisma w parafii Bermondsey.

Na tym spokojnym tle pojawił się nagle William Henry West, również wierny członek Fanfary Nadziei. Należy przypuścić, że te godziwe rozrywki nie wystarczały mu. Pewnego dnia, wróciwszy niespodziewanie do domu (normalni mężowie wracają do siebie w normalnych godzinach, ale mężowie zdradzani zawsze przychodzą do domu o niemożliwych porach), Mr. Jones zastał Mr. Westa ze swą żoną. Można by powiedzieć co najmniej, że nie czytali Biblii, chociaż stosowali jej podstawową zasadę: kochajcie się nawzajem.

Bądź z powodu swej wielkoduszności, bądź też dla innych przyczyn, Mr. Jones nie zrobił tragedii i zadowolił się zwróceniem uwagi Mr. Westowi, że jego zdaniem, nie powinien robić takich rzeczy z panią Jones. W jakiś czas potem, odprowadzając swego męża do pociągu St. Pancrace (nawet pociągi angielskie nie są zbyt oddalone od Pisma Świętego), odchodzącego do Manchesteru, pani Jones oznajmiła mu, że jest w ciąży. Jako że Mr. Jones nie czynił żadnych wysiłków w tym kierunku od pięciu lat, rzecz wydała mu się dziwna, ale odjazd pociągu przeciął jego rozmyślanie. Gdy powrócił, żona jego - zapoznawszy się dogłębnie z zagadnieniem - przekonała go, że można mieć dzieci bez tego, co Anglicy nazywają tak poetycznie *sexual intercourse*¹⁴⁹.

I dlatego Mr. Jones nie czynił żadnych trudności w uznaniu Eryka za swego syna. Większość parafian w Bermondsey wspomina, że w dniu urodzin dziecka robił wrażenie bardzo szczęśliwego mężczyzny. Był chyba mniej szczęśliwy, gdy doszły go pogłoski, że Eryk nie jest jego synem. Jako godny obywatel narodu kierującego się zasadą *wait and see*¹⁵⁰ odczekał jeszcze dwadzieścia pięć lat i otrzymał szczere wyjaśnienie za pośrednictwem Pisma... Zdecydował się zażądać rozwodu z winy żony i jej

¹⁴⁹ sexual intercourse - obcowanie płciowe

¹⁵⁰ wait and see - poczekać i zobaczyć

korespondenta (tym słowem Anglicy określają kochanka, w czym w gruncie rzeczy nie ma nic szczególnie szokującego w kraju, w którym miłosny słownik przypomina raczej Izbę Handlową niż Kama-Sutrę: o stosunku miłosnym mówi się *affair*¹⁵¹). Sędzia nie przyznał Mr. Jonesowi odszkodowania, a nawet skazał go na wydatki, związane m. in. z kosztami podróży kochanka. Pani Jones natomiast pozostała w domu, gdzie wieczorem Mr. Jones zastał ją, tym razem samą, gotową znów do czytania Biblii¹⁵².

¹⁵¹ affair - sprawa

¹⁵² Z tej historii dość jasno wynika, jakie znaczenie ma Biblia w życiu Anglików, którzy znajdują w niej wszystko: pociechę, nadzieję, wyjaśnienie i rozrywkę. Nierzadko zdarza się, że w czasie manewrów morskich jakiś admirał i kontradmirał, posługując się sygnalizacją świetlną, wymieniają przyjaźnie kilka zdań z Ewangelii Św. Mateusza. Trudno jest zliczyć w Anglii ilość towarzystw, których jedyna działalność ogranicza się do propagowania Biblii (istnieje nawet jedno, z siedzibą w Londynie, którego tytuł w książce adresowej brzmi: *Society for Distributing the Holy Scriptures to the Jews* - Towarzystwo Dystrybuowania Pisma świętego wśród Żydów). Trudno jest spędzić jeden dzień w Anglii, aby pośrednio lub bezpośrednio nie wejść w kontakt z Biblią, choćby tylko dzięki drobnym ogłoszeniom zawierającym bądź cytaty z Pisma, którego autoryzowana wersja z 1611 roku uchodzi za wzór angielskiego języka, bądź też listy do Królestwa Niebieskiego. Uważając, że Pan Bóg i jego Święci abonują „Timesa”, wielu praktykujących Anglików, których pragnienia zostały spełnione, daje drobne ogłoszenia w tej gazecie, w dwóch wierszach, aby przekazać Niebu swoją wdzięczność: „Świętemu Jerzemu z wyrazami uznania i z najszczerzym podziękowaniem - J. N. W.”

XI. Martine i Anglicy (Z notatnika Majora)



Jest wysoce pożądane, abym w tym miejscu chwycił znów za pióro. Przyznaję, że jakkolwiek historia z Jonesem jest wyjątkowa, to jednak zdarzają się takie historie w Królestwie, ale można by stąd wywnioskować, że my, Anglicy, nigdy nie „konsumujemy”. Trzeba uważać z tą francuską tendencją do uogólnień. Anglicy zawsze będą uważać Francuzów za ludzi frywolnych i opanowanych przez obsesję płciową. Francuzi będą zawsze patrzeć na Anglików jak na lodówki, przekonani, od czasów Stendhala, że ludzie ci odczuwają coś co dwa tygodnie, a poza tym nudzą się.

Nudzą się!

Zawsze to samo przeklęte słowo!

Wystarczy zobaczyć Anglika z dobrego domu drzemiącego w swoim klubie, albo w czasie meczu krykieta, aby uznać, że rozkoszuje się on swoją nudą jak Francuz belotką. Jedyna rzecz, która naprawdę nudzi Anglika, to gdy ktoś przychodzi go nudzić wówczas, gdy on nudzi się samotnie. Uwielbia on *relax*¹⁵³ w ulubionym stanie *complete vacuity*¹⁵⁴. Jego dusza jest pusta i nie szuka żadnego lokatora.

Jakże zdołam wytłumaczyć tę prawdę memu współpracownikowi? I w jaki sposób potrafię nakłonić Martine, aby przyznała, że gdy mój stary przyjaciel Artur Palethorpe siedzi samotnie i w zamyśleniu na składanym krzeselku w swoim lesie w Killmarnok, nie nudzi się wcale, tylko oddaje się ulubionemu zajęciu (wymienionemu w *Who's Who* pod jego nazwiskiem): *Bird watching*¹⁵⁵. Z krykieta - który zajmuje mnie najbardziej w iświecie, sączy się dla Martine śmiertelna nuda. „Ależ to się ciągnie!” - mówi cna. Wiem, że to się ciągnie, że mecz trwać może pięć dni i że pewna pamiętna partia rozegrana w Afryce południowej trwała przeszło tydzień i nie została (nigdy zakończona, gdyż moi rodacy musieli wsiąść na statek... Ale co z tego? Gdy widzę, jak dobry *bowler*¹⁵⁶ uderza poprawnie czerwoną kulę, doznaję jednak bicia serca.

Byłbym więc zmartwiony, gdyby przypadek Mr. Jonesa wprowadził mego tłumacza w błąd... Naprawdę, nasze kobiety zmieniły się bardzo po wojnie... Głęboka fala podmyła konwenanse. Gorset wiktoriańskich przesądów trzasnął.

¹⁵³ to relax - odprężyć się

¹⁵⁴ complete vacuity - zupełna pustka

¹⁵⁵ Księga adresowa angielskiego Towarzystwa, wymieniając ulubione zajęcia swych członków, wspomina istotnie przy wielu nazwiskach o „*Bird watching*” (*bird watching* - obserwowanie ptaków) a przy innych o „*Rowing watching*” (*rowing watching* - przyglądanie się wiosłowaniu).

¹⁵⁶ bowler - gracz w krykieta

Pozwalając kobietom prowadzić generałów w ogień (albo tuż obok) i nosić spodnie, wojna stworzyła kobiety-mężczyzn. Obecnie kobiety zalewają nas. Są wszędzie: w autobusach, w Parlamencie, w policji. Ścigają nas aż do klubów, do których mają dostęp raz w tygodniu¹⁵⁷. I afiszują się niekiedy bardziej swobodnymi manierami niż Amerykanki... Charakterystyczne dla XX wieku pozostaną dwa wybuchy, z których każdy na swój sposób przyniesie ludziom cierpienie: wybuch bomby atomowej i kobiety angielskiej...



W Anglii trudno nieraz zorientować się, czy ma się do czynienia z mężczyzną czy z kobietą (czy też z obojgiem...).

To właśnie pomyślał sobie Pochet, zobaczywszy pewnego razu młodą Gwendolinę, uroczą londyńską *cover-girl*¹⁵⁸, gdy całowała w usta młodego Francuza, którego nie znała przed godziną.

¹⁵⁷ Przez boczne drzwi i na czas bardzo ograniczony. W dniu, w którym są dopuszczone do jadalni, można stwierdzić, że od stołów zajętych przez mężczyzn oddziela je pewnego rodzaju *no man's land* (*no man's land* - *ziemia niczyja*), gdzie miejsca pozostają nie zajęte, co zmniejsza do minimum skutki tego zmieszania płci. Gdy dziwiłem się, widząc, że członków *Reform Club* obsługują kobiety w granatowych sukniach i w białych czepkach, Major powiedział mi: „I cóż za różnica. Dla nas tutaj kobiety nie istnieją jako takie”.

¹⁵⁸ -cover girl - ładna dziewczyna, której fotografia umieszczana jest często na okładkach pism ilustrowanych

- Ale, ale... mój drogi Majorze - powiedział Pochet do mnie. - Opowiada nam pan historie z waszą Lady Plunkett, która okrywa nogi fortepianu muślinem i zaleca swej córce w przeddzień małżeństwa, aby zamknęła oczy i myślała o Anglii...

- Słowo daję - odrzekłem - nic z nas nie rozumiecie... Właśnie dlatego spotykacie Gwendoliny, że istniały i istnieją jeszcze Ladies Plunkett. To są dwa oblicza Anglii. Jedno purytańskie i surowe, drugie swawolne i zuchwałe. Ciągłe są jeszcze u nas ludzie, którzy mówienie o tym, co znajduje się między szyją i kolanami, uważają za *bad form*¹⁵⁹. Istnieją wciąż college'a, gdzie flirt uchodzi za coś śmiesznego¹⁶⁰. Celem, choć nie zawsze owocem, brytyjskiego wychowania jest uspić dzieci, ale nie pozwolić im śnić. Mimo to co dnia gdzieś w Anglii jakaś lady Chatterley rewolucjonizuje całe hrabstwo... A gdy demon wstąpi w Angielkę, nic jej nie powstrzyma, nawet przenajświętszy mur klasowy. Niech pan popatrzy...

Najlepsze, co mogłem zrobić, to podsunąć mu dziennik, który informował, że dziedziczka starej rodziny angielskiej Miss Susan Dymoke, siostra „Obrońcy Królowej”, człowieka, który nosi królewski sztandar w czasie koronacji, uciekła ze starszym od siebie o osiemnaście lat stajennym, nie umiejącym czytać i pisać.

Nie byłoby wszakże słuszne, aby mój tłumacz uogólnił w drugą stronę¹⁶¹. Anglia emancypuje się, owszem... Niegdyś sprawy płci były wygnane z rozmów i potępione przez wstyd. Obecnie ludzie kochają się znacznie swobodniej, choć nie mówią o tym więcej niż kiedyś. W gruncie rzeczy nasz kraj się nie zmienił - można w nim, jak to czynił Szekspir, pisać najpiękniejsze dialogi miłosne... Pozostanie on krajem mężczyzn. I w tym kraju mężczyzn, gdzie wszystko zrobione jest dla mężczyzny, nic bardziej nie zachwyca kobiety, jak uchodzić za mężczyznę. Marzy ona nie tyle o tym, aby być uwielbianą, co o tym, aby być niezależną. Jej ostatnią zdobyczą są spodnie, wskutek czego obcokrajowcowi w niektórych urządach publicznych trudno się niekiedy zorientować, czy ma do czynienia z mężczyzną, z kobietą czy też z obojgiem.

Cóż pan chce, drogi panie Pochet... U nas miłość nie unosi się w powietrzu, jak w waszej uroczej choć grzesznej ojczyźnie... Wystarczy wiosną przejść się po Paryżu, aby poczuć wyziewy miłości. Ładna kobieta, która przechodzi ulicą, jest w stałym kontakcie z tysiącem oczu. Nawet najbardziej męzowski w świecie mąż patrzy na nią oczami kochanka... Tutaj nie ma owej milczącej wspólnoty istot i rzeczy, dzięki której atmosfera krajów łacińskich tak sprzyja miłosnym przygodom. Gdy paryski policjant spisuje protokół młodej automobilistce, nie postępuje zupełnie tak samo jak z mężczyzną. Łagodzi przepisy z wyrozumiałością współwinowajcy. Gdy subiekt podaje paryżance do wyboru rękawiczki, to

¹⁵⁹ bad form - nietakt

¹⁶⁰ W niektórych oksfordzkich college'ach studenci dzielą się na trzy kategorie: 1) ci, którzy nie interesują się ani kobietami, ani mężczyznami, 2) ci, którzy interesują się mężczyznami, 3) ci, którzy interesują się kobietami. Jeszcze niedawno *fellow*(*fellow* - starszy student, stypendysta)s żeniąc się tracili przywileje *senior members*(*senior member* - członek rady samorządu uczelnianego na angielskim uniwersytecie).

¹⁶¹ Czy Major obawia się, że mógłbym przeprowadzić porównanie? Rzecz ciekawa, że ów stajenny oświadczył w wywiadzie udzielonym „Daily Mirror”: „To, co nas najbardziej zbliżyło, to miłość do koni”. Otóż PRZED DWUNASTU MIESIĄCAMI Major napisał w swych „Notatkach”, mówiąc o swej pierwszej żonie Urszuli: „Połączyła nas nie tyle miłość, co zbliżyła pasja do koni”. Major i jego tłumacz otrzymali na to liczne listy od obrażonych Anglików. „Przesadzacie - pisali oni w związku z Urszulą - nasze kobiety lubią bez wątpienia konie, ale nie do tego stopnia, aby się do nich upodabniać lub aby się żenić z miłości do tego szlachetnego zwierzęcia”. Ów stajenny, który nie czytał „*Notatnika Majora Thompsona*”, pozbawiłby ich złudzeń... Jak widać, mając najlepszą w świecie wolę, nie sposób niczego wymyślić... (Uwaga Tłumacza).

w sposobie, w jaki je sprzedaje i przymierza, czuje się miłość... Anglicy myślą tylko o jednej rzeczy naraz: albo protokół, albo rękawiczki, albo miłość. Nigdy o trzech jednocześnie... Wszystkie wasze wiejskie gospody wyglądają, jak by ukrywały jakieś nielegalne związki miłosne... Właścicielka jest z wami. „Rozumiem was... no cóż, wiadomo, jak to jest... życie jest krótkie...” Właścicielka może sama mieć troje dzieci i wiedzieć, że jest pan ojcem rodziny, ale... młodość musi się wyszumieć... szczególnie w pięćdziesiątym roku życia. Tutaj nie ma tych gospód „Pod siedmiu grzechami głównymi” lub „Pod zakazanym owocem”, gdzie wolno wszystko... Wszechobecność Biblii - i oko kierowniczkę, skore do wykrywania fałszywych par - wpędzą pana szybko w kompleks winy, na który już się pan skarżył.

A jednak w Anglii istnieje miłość. Miłość do zwierząt. Miłość do kwiatów. Miłość do ogródka. Miłość do sportu. Miłość do Marynarki. Miłość do rodziny królewskiej. Wszędzie jest miłość, nie tylko w miłości. Miłość jest jednym z licznych elementów angielskiego porządku rzeczy. Trzeba ją przecież gdzieś umieścić¹⁶².

Nie znaczy to wcale, żeby powtórzyć raz jeszcze, iż Anglicy nie są uczuciowi, ale jako że ich miłość kieruje się w pierwszym rzędzie ku narodowi, sportowi i zwierzętom, kobieta otrzymuje tylko to, co się zostanie. Zresztą większość naszych pisarzy nie przejawiała nigdy zbyt wielkiego szacunku dla kobiety - nawet pisarza-kobiety. „Nigdy nie miałam zbyt wielkiego szacunku dla kobiet - pisała Mary Wortley Montagu. - Jedyną pociechą dla mnie jako kobiety jest to, że nie mogę poślubić innej kobiety”¹⁶³.

W radosny kwietniowy poranek przechodziliśmy przez Hyde Park. Błękitne i białe piastunki spacerowały z różowymi dziećmi o blond włosach. Jeźdźcy galopowali pod drzewami. Kilka wyźtów skakało po trawniku. Nagle kasztanek jakiejś młodej amazonki uskoczył w bok, zrzucając ją na ziemię, i przebiegłszy jakieś pięćdziesiąt metrów, wyrzucił koziołka przed barierą. Stu ludzi rzuciło się natychmiast... ku koniowi. Nie więcej niż pięciu czy sześciu - ku amazonce.

- To właśnie to - zauważyła Martine. - Możecie spacerować całkiem nago po Londynie, a nikt nie poświęci wam uwagi, chyba że towarzyszy wam pies...

Martine nigdy się nie przyzwyczai do pozornej obojętności Anglików dla kobiet i do tego, że nie czuje zatrzymujących się na niej spojrzeń męskich, zwłaszcza gdy - jak tego właśnie ranka - ma na sobie kostium od Balenchy'ego. We Francji kobiety ubierają się tyle samo dla siebie co dla innych. Angielki na ogół nie przejawiają tego zmysłu kokieterii; lubią wygodne pantofle, a w strojach bardziej troszczą się o kolory niż o mężczyzn: na ponurość klimatu reagują rozpustą zieleni i czerwieni; w odpowiedzi na deszcz osłoneczniają swe płaszcze nieprzemakalne. Niewiele je obchodzi, jak będą je widzieć mężczyźni, gdyż w dziewięciu wypadkach na dziesięć mężczyźni nie widzą ich wcale.

¹⁶² Dokładnie na siódmym miejscu w stosunkach męskodamskich, jeżeli wierzyć statystyce brytyjskiego specjalisty Geoffreya Gorera, który zadał Angielkom pytanie, jaką zaletę cenią najbardziej w mężu. Oto ich odpowiedzi: wyrozumiałość (33 procent), usłużność (28 procent), poczucie humoru (24 procent). Miłość (14 procent) wciśnięta jest między hojność (17 procent) i tolerancję (13 procent). (Uwaga Tłumacza).

¹⁶³ W siedemdziesiąt trzy lata później te słowa z 1723 roku miała podjąć pani de Staël. Nie wiem skąd wzięła je Mary Montagu. (Uwaga Majora),

Jedna z naszych dziennikarek podjęła niedawno kampanię przeciwko brzydocie mundurów w niektórych college'ach dla dziewcząt, skazanych na czarne pończochy, sztruksowe spódnice z szelkami i olbrzymie kapelusze z fioletowego filcu z zieloną wstążką lub czerwone czapeczki na szarej podszewce. Otrzymała wielką ilość listów protestacyjnych, między innymi taki oto list pewnej oburzonej matki: „Mundurki są po to, aby je nosić, a nie po to, aby na nie patrzeć”.

Mrs. Cripplestone spróbowała wyjaśnić to wszystko Martine. Nie przekonała jej, ale wprawiła ją w zadumę.

- Martine *dear* - powiedziałem do niej - wydajesz się smutna. Nie lubię tych chmurek w twoich oczach.

- To twoja ojczyzna jest smutna, Marminet. Twoja ojczyzna nie ma oczu. Włożyłam dzisiaj uroczy kostium i nikt na mnie nie spojrział.

Mrs. Cripplestone zagadkała cichutko.

- Tss, tss, moja droga... Gdy byłam młoda i piękna - bo i to mi się zdarzyło - i gdy jeździłam pociągiem z Wimbledon do Londynu, miałam wrażenie, że krępuję wszystkich. Mężczyźni kryli się za murem z gazet, kobiety rzucały mi niechętnie spojrzenia, konduktor nie zwracał się do mnie nigdy ani słowem. Dzisiaj, gdy jestem niegroźna, wszyscy są dla mnie bardzo mili. Mężczyźni nie chowają twarzy, kobiety patrzą na mnie z sympatią, konduktorzy rozmawiają ze mną. Jest mi dużo przyjemniej!

I Mrs. Cripplestone, z warzywnym ogrodem na głowie, idzie wesoło przez życie. Nie myśli nawet o tym, aby „się bronić”. Po cóż się bronić w kraju, w którym nikt nie myśli was atakować? (Powiedzmy nawiasem, że jest to zjawisko odwrotne temu, które obserwujemy we Francji... ale dodajmy, że z chwilą gdy zaczyna się mówić o Francuzce: „ona świetnie się broni”, liczba atakujących zmniejsza się...).

Wypadek Mrs. Cripplestone pogrążył Martine w jeszcze większej zadumie. Powiedziałem jej później, że nie jest to wypadek odosobniony. W rozkwicie własnej urody jest coś prowokującego, co krępuje Angielkę bardziej, niż ją raduje. Tuszuje ona raczej swą urodę niż ją podkreśla.

Ani mnie dziwi, ani szokuje, gdy na pytanie: „Jak znajdujesz Anglików?”, Martine mi odpowiada: „*Darling*¹⁶⁴... wcale ich nie znajduję”. W końcu znalazła jednego... i nie widzę powodu, dla którego miałyby szukać jeszcze.

Nieszczęście w tym, że tu Martine nie odnajduje nawet mnie - przynajmniej talk utrzymuje.

- Gdy jesteś u siebie, Marminet, przestajesz być tym samym człowiekiem... Można by powiedzieć, że obawiasz się wyglądać jak ktoś, kto kocha...

Good Lord! To nie jest całkiem niesłuszne... Ale jakże mogłoby być inaczej? Pomijam już fakt, że Martine z trudem akceptuje, iż rzucam się na wieczorną prasę, aby się dowiedzieć, czy mój ulubiony gracz nie przewrócił w Australii jakiejś przekłętej bramki krykietowej, lub że wkładam blezer w paski

¹⁶⁴ *darling* – kochanie

i krótkie spodnie, aby przyłączyć się do oldboyów na Tamizie. Ale jakże mogę spokojnie słuchać, jak Martine pyta Lady Osborne, kładąc paluszek na moich wąsach lub szczypiąc mnie w szkarłatny policzek:

- Nie uważa pani, że on wygląda jak wielki kot, Lady Osborne?

Nie wiem, gdzie się ukryć. W każdym razie nigdzie w Anglii.

I jakże, nie odczuwając przy tym straszego poniżenia, mam słuchać, jak nazywają mnie Marminet wobec lorda Rattcliffe? Są to rzeczy, które boleśnie doświadczają b. oficera Armii Indyjskiej. Oczywiście... We Francji znoszą to, nawet z przyjemnością... Ale tutaj! A przecież to takie proste nazywać mnie - zgodnie z wymową - Mamdiuk zamiast Diuki-diuki!

Martine czuje to dobrze i wprawia ją to w irytację.

- Powiedz, jeśli cię to krępuje! Jeżeli czujesz kompleks wobec księcia Chichester, mogę sobie pójść do domu. Czy myślisz, że zawsze mi jest przyjemnie słuchać, co mówią w Paryżu o twoich wąsach lub twoim niemożliwym imieniu?...

Gdy dyskusja osiąga ten punkt, wycofuję się zazwyczaj przezornie i wynoszę się „po francusku”¹⁶⁵. Istnieją chwile, gdy należy umieć hamować się, nawet jeżeli to grozi wybuchem. Martine nie błądzi znów tak bardzo, kiedy „szuka” mężczyzn na tej wyspie. Same Angielki mają trudności z ich znalezieniem. Nie tylko dlatego, że wychowanie mężczyzn kieruje ich bardziej ku krykietowi niż ku kobietom¹⁶⁶, ale również dlatego, że mężczyźni są mniej liczni. Dziwnym zrzędzeniem, którego nawet najbardziej daleko posunięta lektura Biblii nie jest w stanie wytłumaczyć, Bóg - w tym narodzie, w którym kobiety nie zwracają ponad miarę uwagi mężczyzn - sprawił, że co dnia kobiet rodzi się więcej. Wszystkie Francuzki są jak Martine: gdy przyjeżdżają do Londynu, skarżą się, że nikt na nie nie patrzy. Nie zdają sobie zwyczajnie sprawy z tego, że przebywszy Kanał tracą pięćdziesiąt procent swej wartości.

Proszę mi wybaczyć, kiedy mówię o kobietach jak pośrednik giełdowy, ale mam swoje racje... Angielka jest jak Royal Dutch¹⁶⁷: podlega prawu popytu i podaży. W kraju, w którym istnieje nadwyżka trzech milionów samic, ich kurs spada gwałtownie... Nie ma, rzecz jasna, oficjalnego rynku na kobiety, jak w Timbaktu, ale dość łatwo można sobie wyrobić pojęcie o kursie na podstawie sprawozdań o rozwodach, uwzględniając, że cena kobiety angielskiej jest przede wszystkim funkcją jej wartości jako gospodyni. Trybunał dokonując szacunku bierze pod uwagę wszystko: sprzątanie, prowadzenie kuchni, pranie. We Francji mąż opuszczony przez żonę będzie chciał uzyskać rozwód z jej winy, ale nie będzie próbował oszacować swej straty na płaszczyźnie finansowej. U nas wszystko sprowadza się do kwestii odszkodowania. „Mr. Smith domagał się tysiąca funtów. Biorąc pod uwagę wartość żony i szkody, jakie poniósł małżonek, sąd rozciął jabłko na dwoje i przyznał mu 500 funtów”.

¹⁶⁵ „Wynieść się po angielsku” mówi się, oczywiście po angielsku, „to take French leave”.

¹⁶⁶ Nie ma chyba dnia, aby jakaś kobieta nie zaniósła skargi przed sąd Jej Wysokości, że mąż zaniedbuje ją dla krykieta lub piłki nożnej. Niedawno Mrs. Joyce Copus zażądała rozwodu z powodu „moralnego okrucieństwa” swego męża, który praktycznie poświęcał wszystkie soboty i niedziele na grę w krykieta i futbol. „Ledwo wróci z biura, połyka obiad i opuszcza mnie, aby pójść grać”. Sędzia Karminsky nie uznał racji Mrs. Copus, jako że nie można oskarżać mężczyzn o okrucieństwo dlatego, że lubi zbytnio krykieta.

¹⁶⁷ Royal Dutch - nazwa jednego z towarzystw naftowych

W ten sposób wyraża się „News of the World”¹⁶⁸ w związku z pewnym procesem o rozwód. I jest rzeczą normalną, że w krainie *fair play*¹⁶⁹ kochanek płaci rachunek opuszczonemu mężowi¹⁷⁰.



To, czego w pierwszym rządzie oczekuję od kobiety, to przyjaźń.

Jest to normalne dla nas... ale nie dla Martine. Gdy powiedziałem jej, że mój szanowny przyjaciel i kolega Nigel Lesspot, pułkownik w stanie spoczynku, żądał pieniężnego odszkodowania od męża swej nieletniej córki, ponieważ wyszła za mąż wbrew jego woli, i że uzyskał wyrok skazujący, bo udowodnił, że nieobecność Priscilli zmusiła go do przyjęcia służącej - Martine zawołała: „Dziki kraj!”. Pułkownik Lesspot był jednak jak najbardziej w prawie. Gdy Angielka opuszcza swego męża, traci on w oczach ustawodawstwa nie tylko żonę: traci - dosłownie i przede wszystkim - gospodynię. (W dowodach osobistych i paszportach w rubryce zawód, gdzie Martine pisze „bez”, Angielka stawia słowo *housewife*¹⁷¹).

- To z całą pewnością nie jest ta sama planeta - powiedziała mi Martine...

Dziwna planeta, gdzie - choćby się to wydawało niewiarogodne Martine czy panu Pochet - małżonka może zażądać rozwodu utrzymując, iż mąż chciał ją zgwałcić¹⁷².

¹⁶⁸ „News of the World” - „Wiadomości ze Świata”

¹⁶⁹ *fair play* - uczciwa gra

¹⁷⁰ Nawet jeżeli nie mówi się o „użytkowej” wartości żony, zdradzony małżonek ma zawsze prawo żądać od korespondenta-rywala odszkodowania za „straty małżeńskie” (*loss of connubium*). Trzeba przyznać, że niekiedy urzędnicy wzdragają się przed szacowaniem kobiety. „Być zmuszonym oceniać kobietę w funtach, szylingach i pensach - jest często rzeczą trudną i raczej obrzydliwą” - oznajmił sędzia Gazebrook w czasie procesu rozwodowego, w którym Squadron leader (squadron leader - dowódca eskadry) RAF, John Vincent Powell, były zwycięzca olimpijski, zażądał 5 000 funtów od Johna Henry Marka Fane za to, że pozbawił go towarzystwa żony...

¹⁷¹ *housewife* - gospodyni domowa

¹⁷² Widziałem, jak kobieta otrzymała rozwód przed sądem w Londynie, tłumacząc, że mąż, wszedłszy do pokoju przez ukryte drzwi, nadużył jej słabości mimo jej woli (wyjątek przewidziany w Matrimonial Clauses Act (Matrimonial Clauses Act - ustawa małżeńska)). Skruszonemu mężowi, który mówił o niezaspokojonym głodzie

Dziwna planeta, na której słyszałem pewnego dnia, jak *headmaster* znanego college'u podał uczniom ostatniej klasy taką oto definicję idealnej małżonki: „...wierna towarzyszka, pielęgniarka, matka, lojalny przyjaciel”¹⁷³. Przyjaciel! We Francji przyjaźń zabija miłość. W Anglii kobieta jest przede wszystkim przyjacielem mężczyzny. Gdy dziewczyna francuska mówi swemu chłopcu: „Zostańmy przyjaciółmi”, jest to koniec wszystkiego. Tutaj - jest to początek dalszego ciągu.

Dziwna planeta, gdzie kobieta w głębi duszy hoduje często tajemniczy ogród - ogród „Przelotnych Spotkań” - do którego jej mąż nigdy nie będzie miał dostępu, chyba że pewnego wieczoru, w zaciszu *home*¹⁷⁴ głośna lektura Biblii otworzy mu furtkę do niego...

Rzeczywiście, dziwna, niezrozumiała planeta... Być może w tej wyspie tkwi jakaś tajemnica, której sam nie umiem wyjaśnić... Znakomici biolodzy zauważyli, że mieszkańcy wysp nie są tacy sami jak mieszkańcy kontynentów. Odmierna jest również flora i fauna. Jeżeli mówi się, że Anglia buduje swą przyszłość na wodzie, to nie tylko dlatego, że - jak zapewniają niektórzy dowcipnicy - więcej dzieci zostaje poczętych w sobotę po południu na Tamizie niż gdziekolwiek indziej o tej samej porze; a także nie z powodu miłości do *Royal Navy*¹⁷⁵... Mówi się tak również dlatego, że Anglik, znajdując się prawie zawsze mniej niż o 100 km od morza, nawet w metro doznaje skutków przyływu i odpływu. Zapewne w dniu, gdy barbarzyńscy zdobywcy znajdą sposób na obniżenie poziomu Kanału o pięćdziesiąt metrów, aby związać tę wyspę z Kontynentem, staniemy się w oczach Pochetów i Martine normalnymi ludźmi, obdarzonymi normalnymi cechami. Niechaj Nieba sprawią, by ten dzień nigdy nie nadszedł i by Kontynent na zawsze zachował koło siebie tę bliską i zarazem daleką, niewytłumaczalną wyspę-planetę!

*Dear Old England*¹⁷⁶, której urok i wilgoć przenikają zarazem, wróciłem do ciebie skruszony, trochę dlatego, aby u cieni moich przodków wybłagać przebaczenie za ciężki afront, jaki im wyrządziłem przenosząc się na stałe do Francji... Chciałbym pozostać tu dłużej i częściej deptać twe stuletnie trawniki. Chciałbym nade wszystko, aby Martine oceniła... Ale ani ona, ani Pochet nie dojrżeli jeszcze. Trzeba poczekać.

płciowym, sędzia poradził znaleźć sobie jakiś środek odwracający uwagę od tych spraw: „Czemu nie zbiera pan motyli?” (Uwaga Tłumacza).

¹⁷³ Było to w dzień abdykacji Edwarda VIII. *Headmaster*, poważny i zakłopotany (Anglik wpada zawsze w zakłopotanie, gdy staje w obliczu jakiegoś poważnego wypadku nie mającego precedensu), zebrał swych uczniów, aby wysłuchali przez radio pożegnania króla. Na katedrze w wielkiej sali leżała Biblia olbrzymich rozmiarów. Zdefiniowawszy cechy małżonki, dyrektor dodał: „Istnieje także inny rodzaj kobiet... których nigdy nie można się dość wystrzegać. Posłuchajcie lepiej, co mówi o małżeństwie święty Paweł. I przeczytajcie apologię celibatu, wypowiedzianą przez tego nie znoszącego kobiet apostoła, *headmaster* włączył radio. Mimo że definicja idealnej żony podana przez profesora wydaje się tak wyjątkowa, to jednak odpowiada ona dokładnie danym statystycznym. Wśród głównych zalet, których Anglicy poszukują u swych towarzyszek, tylko garstka ludzi (8 procent, w tym głównie kawalerowie) wymienia urodę, elegancję i zmysłowość. Zalety „dobrej gospodyni” (29 procent) i „dobrej matki” (18 procent) znajdują się na dużo bliższym miejscu. Pozwala to zrozumieć zdanie wypowiedziane bez ironii przez pewnego urzędnika stanu cywilnego, sądującego jakąś sprawę rozwodową, w której małżonka skarżyła się, że mąż ją zaniedbuje! „*The marriage was quite happy, apart from a sexual matter which was always a difficulty.* (Było to bardzo szczęśliwe małżeństwo, jeżeli nie brać pod uwagę strony seksualnej, która zawsze stanowiła problem).

¹⁷⁴ home - ognisko domowe

¹⁷⁵ Royal Navy - Marynarka Królewska

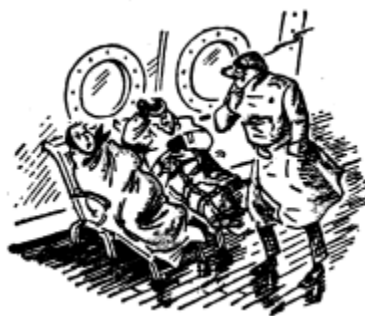
¹⁷⁶ dear old England - droga stara Anglio

Tymczasem znów wyjeżdżam. Jeżeli tylko poddany Jej Wysokości nie jest u niej na służbie, wprost niewiarygodne, jak często w swym życiu bywa nieobecny, zanim pewnego dnia nie stanie się nieobecny, na dobre. Chwilowo związany jestem z losem mego tłumacza, i pana Pochet. Pocheta zaś opanowała podróżomania. Depesze prasowe, donoszące co roku na wiosnę o bliskim zanurzeniu się pod wodę jakiegoś batyskafu lub o zdobyciu himalajskiego szczytu, wywierają na nim to samo wrażenie, co na milionach spragnionych słońca Anglików wiadomość o pierwszej kukułce oficjalnie wykrytej przez jakiegoś pułkownika w stanie spoczynku w lesie Shropshire i zaanonsowanej przez „Timesa”. Speleolodzy i nurkowie podniecają jego apetyt na włóczęgę i budzą w tym domatorze uśpionego podróżnika: włącza się on w szeroki nurt odkryć ożywiający nasz świat. Podczas gdy alpiniści i nawigatorzy czyszczą swe przyrządy, aby ruszyć w nieznaną, Pochet nabywa nowe walizki i wyrusza na podbój lądów od dawna odkrytych, a nawet ukrytych. Jego ojciec jeździł najwyżej do Pampelune lub do San Remo, a on mówi wam o Stromboli, jak by to była Mont Dore. Jakże bardzo francuskie zwierzę zmienia się w ciągu wieków! Anglia nie wystarcza mu oczywiście - to zarazem za blisko i za daleko. Chce jechać dalej, wciąż dalej, zwłaszcza dalej niż pan Taupin. Jego pragnienie podróży znajduje zresztą niewyczerpane źródło w jego interesach. Interesy pana Pochet układają się zawsze jak najwygodniej - prowadzą go zawsze tam, gdzie pragnie pojechać dla przyjemności... Łączy on w ten sposób dwie rzeczy naraz. Wiedząc o amerykańskich planach mego współpracownika, Pochet znalazł tysiąc powodów, aby udać się do USA dla interesów... *Isn't it marvellous?*¹⁷⁷

Jakkolwiek by było, zaplątałem się w ich przygody. Denajnos chce koniecznie wprowadzić Stany Zjednoczone do anglosaskiego świata, nie zważając na wszystko, co mogłem mu powiedzieć nauczony poprzednimi doświadczeniami. Aby dotrzymać przyrzeczenia, muszę tam z nim podążyć i pomagać mu w razie potrzeby. W końcu nie czuję wprawdzie nic wspólnego z wielką demokracją amerykańską, ale nie mam też nic przeciwko niej...

A zresztą... gdy chodziło o nasze dwa kraje, mój drogi tłumacz i ja nigdy nie zgadzaliśmy się we wszystkim. Coś mi mówi, że łatwiej osiągniemy tę zgodę kosztem trzeciego.

Przygotowujemy się zatem do przeprawy przez Ocean. *God help us!*¹⁷⁸



¹⁷⁷ isn't it marvellous? - czy to nie cudowne?

¹⁷⁸ God help us! - niech nam Bóg pomoże!

XII. Ludzie – cyfry (Z notatnika Majora)



Good Lord! Co za przygoda! Czyż mógłbym przypuszczać kiedykolwiek, że poczuję się w angielskim porcie jak zagranicą? Ale fakt faktem - w Southampton znalazłem Stany Zjednoczone. Wystarczyło, abym wsiadł wraz z przyjaciółmi na pokład S/S «United States». Piękny *liner*¹⁷⁹ amerykański, który wiezie nas do New Yorku, zawiera pełny komplet próbek z czterdziestu ośmiu stanów. Wszyscy ci pstrokaci turyści, często oznaczeni swym narodowym orłem na podróźnej torbie, przypominają zakochanych, którzy złożywszy głębokie uszanowanie starej Ciotce Brytanii i poflirtowawszy przez chwilę z Siostrami Łacińskimi, wracają do swej pierwszej miłości, zachwyceni odbytą podróźą, ale jeszcze szczęśliwsi, że znajdują się wreszcie między swymi, u siebie, aby wkrótce powrócić do jedyne go poważnego kraju na świecie, najpotężniejszego, najbogatszego, najpiękniejszego - do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Mój drogi współpracownik mówił mi wciąż o powinowactwie krwi i języka. Ale czy mogę czuć się spowinowacony z ludźmi, którzy, mimo że ich nie znam, nazywają mnie Marm' i pytają, ile *copies*¹⁸⁰ swej ostatniej książki sprzedałem? A jeśli chodzi o język...

Język! „Ale nie zaprzeczy pan chyba, że używacie tego samego języka” - powtarza mi ciągle Denajnos. „Yes”¹⁸¹ - zaprzeczam. Zaprzeczam *completely*¹⁸². Może nawet ta jedyna rzecz, która nas łączy, dzieli nas najbardziej. Dopiero co miałem uderzający dowód: steward w barze - Amerykanin czystej rasy, jeżeli wolno się tak wyrazić - zrozumiał z miejsca zamówienie Pocheta, ale moje kazał mi powtórzyć dwa razy! Może to dlatego, że mój angielski wydaje się snobistyczny Amerykanom...

*Really incredible!*¹⁸³ Ten naród, który nie był jeszcze u siebie wówczas, gdy my byliśmy już zainstalowani od przeszło tysiąca lat, nie tylko pożyczył nasz język, ale nigdy go nam nie zwrócił! Już to samo byłoby godne pożałowania, ale zdeformowawszy w straszny sposób nasze wyrażenia, ci ludzie udają jeszcze, że nas nie rozumieją! *Absurd!*¹⁸⁴

Czy można w ogóle powiedzieć, że oni mówią? Gdy przysłuchać się pasażerom tego statku, to nie słowa wychodzą z ich ust, ale liczby. Przez cały pierwszy dzień naszej drogi słyszałem, jak wymieniali

¹⁷⁹ liner - liniowiec

¹⁸⁰ copy (l. mn.: copies) - egzemplarz

¹⁸¹ yes - tak

¹⁸² completely - zupełnie

¹⁸³ really incredible - naprawdę niewiarygodne

¹⁸⁴ Major utrzymuje, że aby usłyszeć angielski w USA, musi pójść do teatru - jedyne go miejsca, gdzie według niego można zrozumieć Amerykanów. Ciekawe zjawisko zanotował znany amerykański krytyk teatralny George J. Nathan: „Po trzydziestu latach teatru zastanawiam się wciąż, czy nasi aktorzy mówią i zachowują się jak Anglicy, czy też Anglicy mówią i zachowują się jak aktorzy”. „Zapamiętani sobie tego Mr. Nathana!” - powiedział mi Major. (Uwaga Tłumacza).

wspomnienia o swej podróży po Europie. Jeżeli jednak wspomnienia turystów innych narodowości są nieraz nie do odcyfrowania, ich wspomnienia były wprost przepełnione cyframi.

- Kupiłam ten klips za 10 dolarów we Florencji!

- Proszę popatrzeć na mój, jest taki sam, tylko czerwony. Zapłaciłam za niego w Rzymie 8.25; były takie same w kolorze niebieskim i czarnym po 9 dolarów...

- A jak się pani udała wasza *one-month-trip*?¹⁸⁵

- Oh! *Simply marvelous!*¹⁸⁶ Byliśmy pięć i pół dnia w Paryżu, trzy dni we Florencji, cztery dni w Rzymie i dwa w Wenecji. Zazwyczaj zwiedzaliśmy jedno muzeum rano i dwa zabytki historyczne po południu. Niekiedy Spencer zmieniał plan... *you know*¹⁸⁷ ... wolał zrobić dwa kościoły rano i tylko jeden pałac po południu. Czy pani uwierzy, że zrobiliśmy dziesięć tysięcy mil? Oh! Było bardzo *nice*¹⁸⁸. We Florencji mieszkaliśmy w hotelu z utrzymaniem, płaciliśmy 5 700 lirów, ale można znaleźć łatwo pokój za 5 000... A pani?

Przy kolacji na pokładzie wzmogło się jeszcze uczucie, że połykamy cyfry, jako że makaron urozmaicający bulion był numerowany od 0 do 9. Uczucie to powróciło nazajutrz, gdy w czasie spaceru po pokładzie zawarliśmy, mój tłumacz i ja, znajomość z panem Cyrusem B. Lippcottem.

Pan Lippcott to Amerykanin jakich wielu (przepraszam, chciałem powiedzieć 255 407). Podobny jest trochę do Trumana, ma jego śnieżne siekacze, wyraźnie zarysowane szczęki, uczciwe spojrzenie spoza okularów w delikatnej, złotej oprawie i jeżeli ten kupiec zbożowy nie zaczął tak jak Prezydent od sprzedawania szelek, to w każdym razie i on wspinał się po stopniach Associated Pork Packers¹⁸⁹, aby znaleźć się następnie na czele poważnego oddziału w Middlewest Grain Exchange^{190 191}. Jest czysty, zawsze dokładnie ogolony, ma koszulę o reklamowej bieli, jego pantofle to odpryski słońca, nosi wytworne ubrania, jedynie jego krawaty mają w sobie coś afrykańskiego. Ale niech się sam przedstawi, tak jak to zrobił owego dnia, przysuwając swój leżak do mojego. Choć czuję odrazę do zwierzania się, muszę przecież na tym amerykańskim statku pozwolić na zwierzenia Amerykanom.

- *Glad to meet you, Major! My name is Lippcott... Cyrus B. Lippcott...*¹⁹²

Po kilku chwilach wiedziałem, że Cyrus B. Lippcott skończy pięćdziesiąt lat 6 maja, że urodził się w Kansas City (Missouri), zarabia 25 000 dolarów rocznie, ma sześcioro rodzinny dom w Schenectady (stan New York), jest ubezpieczony na życie na 60 000 dolarów i złączywszy się po raz pierwszy z kobietą starszą od siebie o siedem lat, ożenił się ponownie z kobietą młodszą o sześć lat...

- *What about you?*¹⁹³

¹⁸⁵ one-month-trip - miesięczna podróż

¹⁸⁶ simply marvellous - po prostu cudownie

¹⁸⁷ you know - wie pan (pani)

¹⁸⁸ Milo, przyjemnie. Nice to jedno ze słów, które w rozmowie amerykańskiej powracają najczęściej.

¹⁸⁹ Associated Pork Packers - Zjednoczeni Pakierzy Wieprzowiny

¹⁹⁰ Middlewest Grain Exchange - Giełda Zbożowa Środkowego Zachodu

¹⁹¹ Amerykański *Who's Who* powie o nim może kiedyś, jak o owym przemysłowcu: „*Controls over 1 000 miles gas pipeline, 10 carbon black plants i, also 3 gasoline plants* (podlega mu ponad 1 000 mil rurociągu naftowego, 10 fabryk sadzy farbiarskiej i 3 rafinerie).

¹⁹² Glad to meet you, Major! My name is Lippcott... - Rad jestem pana poznać, Majorze. Nazywam się Lippcott...

Przez chwilę siedziałem jak osłupiały, zastanawiając się, w jaki sposób język angielski - ale czy naprawdę był to angielski? - może pozwolić na powiedzenie tylu rzeczy w tak krótkim czasie... W ciągu czterech minut pan Lippcott powiedział o sobie więcej niż Francuz w cztery miesiące, a Anglik w cztery pokolenia. Prawdę mówiąc, pana Lippcotta interesowało najbardziej, ile tygrysów zabiłem w życiu: 8, 12 czy 370?

- Well... Nie wiem dokładnie - odpowiedziałem. - Zabiłem ich sporo... Oczywiście, tego jestem pewien. Ale nie interesowałem się dokładną liczbą. Chodziło o przyjemność, widzi pan... *A lot of fun, that's all.*¹⁹⁴

- No, ale ile mniej więcej - dwa na rok?

- Eeh, ooh! - sprecyzowałem.

Widząc, że nie może wyciągnąć ze mnie nic poważnego, pan Lippcott wrócił do swej własnej osoby i wyjął z portfela fotografię dziewczynki.

- Pozwoli pan pokazać sobie najmłodszą córeczkę, nazywa się Patricia. Prawda, że ładna?

- *Fine!*¹⁹⁵ - zamruczałem dotykając końcem palców gimnazistki, która na bluzeczce nosiła liczbę 6.

- *Well...* - ciągnął dalej pan Lippcott. - Nie uwierzy pan, ale ma 16 lat i mierzy już 5 stóp i 5 cali!

- 5 stóp, 6 cali, Cyr - sprostowała Mrs. Lippcott, która właśnie nadeszła.

- *Oh, yes, darling!*¹⁹⁶ 5 stóp, 6 cali! *Nice girl!*¹⁹⁷ Ma pół tuzina kolegów w swoim wieku i bardzo lubi swój college... Jest tam 2 400 dziewcząt i chłopców... To zaledwie 166 mil od nas, co pozwala nam jeździć tam dwa razy na miesiąc... *Nice place!*¹⁹⁸

Jak na pierwsze spotkanie, było to dosyć! Czuję, że przed udaniem się do kabiny muszę zaczerpnąć na pokładzie odrobinę nie liczonego *fresh air*¹⁹⁹. Ale cyfry goniły mnie wyraźnie. Przechodząc przez hall spacerowego pokładu, zobaczyłem wypisaną białymi literami na czarnej tablicy listę rozrywek na dzień dzisiejszy. Film zapowiedziany był, jak następuje:

NAMIĘTNOŚĆ LADY CYNTHII (112 MINUT)
(EASTMANCOLOR²⁰⁰)

Pojmuję doskonale, że poddany amerykański, zanim wejdzie na salę kinową statku, musi koniecznie wiedzieć, że „Namiętność Lady Cynthii” będzie trwała 112 minut. Jego czas jest liczony, może ma właśnie pociąg. Skoro znajdując się na Atlantyku (a nawet gdzie indziej) nie odczuwam potrzeby

¹⁹³ what about you?- a pan?

¹⁹⁴ lot of fun, that's all - wielka frajda, to wszystko

¹⁹⁵ fine - śliczna

¹⁹⁶ oh, yes, darling - o, tak, kochanie

¹⁹⁷ nice girl - przyjemna dziewczyna

¹⁹⁸ nice place - przyjemna miejscowość

¹⁹⁹ fresh air - świeże powietrze

²⁰⁰ eastmancolor - marka fabryczna jednej z technik filmu kolorowego

dowiedzenia się, czy „Namiętność Lady Cynthii” trwać będzie kwadrans czy godzinę pięćdziesiąt dwie minuty, to widocznie nie nadają się po prostu na *American citizen*²⁰¹.

²⁰¹ American citizen - obywatel amerykański

XIII. Major wybucha.

Tego uczucia, że przebywam wśród ludzi-liczb, miałem doznać nie tylko na statku, jak Major; doznawałem go bardzo często później, w Stanach Zjednoczonych.

Cyrus B. Lippcott, z którym zawarliśmy przyjaźń mimo zasadniczych antagonizmów, jakie dzieliły jego i Marmaduke'a, wyznaczył nam spotkanie w New Yorku, dokąd wzywały go często interesy. Tego dnia mieliśmy spotkać się z nim w „Park Lane Hotel”. Pierwsza rzecz, która uderzyła nas w potężnym barze, to napis zredegowany, jak następuje:

JEST NIEDOZWOLONE I NIEBEZPIECZNE,
ABY W TYM SALONIE PRZEBYWAŁO
WIĘCEJ NIŻ 366 OSÓB²⁰²

Major rzucił wokoło wzrokiem, niewątpliwie, aby pośpiesznie ocenić ilość obecnych osób - która nie wynosiła 366 - i zamówiwszy whisky, znalazł się w obliczu butelki grant's scotch; na białej kartce widniała marka fabryczna: 4 207 680 minutes. Dlaczego 4 207 680 minut? Ponieważ główna zaleta tego trunku polega na tym, że liczy on 8 lat, a dla Amerykanina 4 207 680 minut czyni osiem lat, jak dwa razy dwa cztery.

Pan Lippcott wolał napić się szampana.

- Poproszę o chandon-moët 52 - powiedział, wyciągnąwszy uprzednio z portfela interesującą małą karteczkę pełną cyfr. Burgundy, bordeaux, porta i szampany notowane były na niej od 0 (*no good*²⁰³) do 7 (*the best*²⁰⁴) i od 1931 do 1955...

- Widzi pan - powiedział do mnie - rok 52 oceniony jest na 6, to dobry numer.

Oto co stale zastanawia mnie, Majora, a jeszcze bardziej Sonię. Ma ona zwyczaj mówić, gdy podaje mi numer telefonu: „To będzie 82 i jeszcze coś tam”, albo gdy mowa o ludności Ameryki: „Jest ich jakieś 120, 150 milionów, no nie?” Czuje się więc tutaj całkowicie zbита z tropu. Sonia nie jest stworzona na podobieństwo pana Lippcotta, który nie mówi o obrazie Picassa, ale o 30 000-dolarowym Picassie, nie mówi o domu, ale 2-milionowym buildingu²⁰⁵, o 75-tysięcznej bibliotece i 38-pokojowym zamku. Nawet o człowieku powiada często: Jest to gość zarabiający 150 czy 500 dolarów na tydzień (*a 500 dollars-a-week man*). Nie godząc się z takim zdaniem, Major przyjmuje je wszakże z uśmiechem. Z trudem jednak znosi, gdy pan Lippcott mówi o swoim pudlu: „To jest 700-dolarowy pies, *you know*”.

Marmaduke zapewnia, że rasowy Anglik nigdy nie ośmieliłby się mówić wobec niego o cenie swego psa...

Europejczyków razi często, gdy w minutę po zawarciu znajomości Amerykanin pyta ich, ile zarabiają na rok lub ile zapłacili za swe ubranie. Major dostrzega w tym brak wychowania. Myli się jednak. Jest

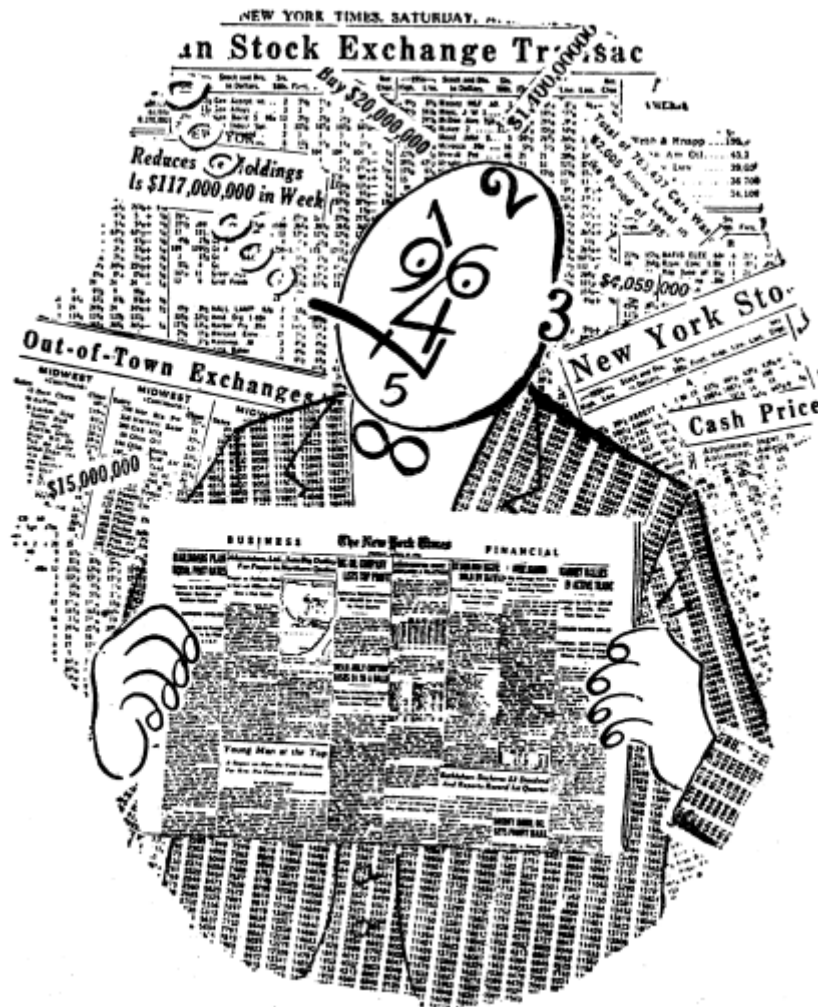
²⁰² Powtarzam: 366, a nie 350 czy 400. Sceptykom zalecam sprawdzić osobiście tę liczbę w „Park Lane Hotel”. Jest to dość daleko, ale rzecz warta podróży...

²⁰³ no good - niedobre

²⁰⁴ the best - najlepsze

²⁰⁵ building - budynek

to po prostu przejaw innej mentalności i innej edukacji. Nie przyznawać się do swoich zarobków - to ukrywać coś przed sąsiadem, ujawniać brak wzajemnego zrozumienia, brak owego ducha współpracy, który czyni z was „stuprocentowego Amerykanina” i który wpajają wam w szkole powszechnej razem z pojęciem liczb.



Cyrus B. Lippcott po lekturze „New York Timesa”.

Podczas gdy francuskie dziecko uczy się, że jego przodkowie, Gallowie, mieszkali w domach zbudowanych na palach i nosili długie wąsy, dziecko amerykańskie dowiadyuje się, że na pokładzie «Mayflower», który wyruszył z Southampton 16 września 1620 roku, było 102 pielgrzymów i że tych 102 pielgrzymów, po przebyciu 3 200 mil w ciągu 35 dni podróży, miało przemienić się w naród liczący 166 milionów dusz z budżetem narodowym wynoszącym 66,3 miliarda dolarów.

Amerykańskie dziecko może późno uczy się czytać, ale bardzo wcześnie rachować. Zanim pozna alfabet, wie już, co to jest miliard²⁰⁶. Tymczasem ja, w wieku ponad czterdzieści lat, mam bardzo mgliste pojęcie o miliardzie. Wyznam nawet szczerze, iż zmuszony jestem sięgać po słownik, aby się

²⁰⁶ Jeden z głównych i najstarszych banków amerykańskich - *Bank of America* z San Francisco (9 miliardów dolarów wkładów) rozprowadza po college'ch skarbonki, umożliwiające uczniom otwieranie konta, z chwilą gdy tego pragną; zawartość skarbonki zbierana jest co miesiąc przez Bank. Większość dzieci amerykańskich, bogatych czy biednych, zarabia kieszonkowe poza godzinami szkolnymi, bądź to roznosząc do domów gazety, bądź też pracując jako pomoc u ogrodnika czy sklepikarza albo jako posługacze w restauracjach i hotelach, itd.

dowiedzieć, czy to jest 2 miliony czy 100 milionów. Dzieci amerykańskie wiedzą to dobrze, tak jak my niegdyś wiedzieliśmy, że „*un sou c'est un sou*”²⁰⁷.

Mnie osobiście liczby zawsze męczyły. Gdy na przykład „New York Times” informuje, że dochód miasta New York za pierwszy kwartał roku skarbowego, zaczynającego się 1 lipca, wyniósł 469 097 383 dolary, w porównaniu z 462 941 875 dolarów za rok ubiegły, pozostaje mi w pamięci jedynie okropna papka z cyfr. Z równym powodzeniem można by mi powiedzieć 888 983 566 albo 602 500 343; nie zmieniłoby to wiele. Nie mam żadnej ochoty odejmować jednej liczby od drugiej, aby zobaczyć, co pozostanie. Mam raczej ochotę uwolnić się od obu liczb, aby móc rzucić okiem na to, co jest jeszcze w dzienniku. Stracony trud: jeżeli chce się uniknąć cyfr, to w każdym razie nie należy czytać dzienników. W jednym numerze „New York Timesa” jest więcej cyfr niż w 700 numerach jakiegokolwiek dziennika francuskiego.

Zachowałem gazetę, którą kupiłem tego wieczoru, gdy po naszym spotkaniu z panem Lippcottem w „Park Lane” wracałem do hotelu z głową pełną jeszcze liczb. Gdziekolwiek wzrok mój się zatrzymał, wszędzie napotykałem cyfry:

2 MILES OF PIERS SET FOR BROOKLYN IN 7 YEARS PROJECT \$ 85 000 000 WORK

FORD MOTOR COMPANY: \$ 2 000 000 000 INDUSTRIAL EMPIRE

PRESIDENT BETTER: 46 MINUTES TALK WITH 5 COUNSELLORS²⁰⁸.

Nic nie wymknie się wszechpotężnej liczbie: ani kościół protestancki, który wydał przeszło miliard dolarów w ciągu roku za pośrednictwem 3 000 biur dla dobra 11 milionów potrzebujących; ani prezydent Eisenhower, który rozmawiał przez 46 minut z 5 doradcami; ani 5 200 383 mieszkańców stanu New Jersey, którzy w całkowitym porządku pod kierunkiem 250 000 instruktorów udali się o godzinie 18 do 63 483 schronów w ramach ćwiczeń z pasywnej obrony przeciwlotniczej, trwających 20 minut i zapowiedzianych przez 809 syren; ani imperium Forda o majątku 2 miliardy dolarów, które powstało przed 53 laty z *cash investment*²⁰⁹, wynoszącej 28 000 dolarów; ani 57 475 osób, które asystowały przy zwycięstwie Lwów z Detroit nad Niedźwiedziami z Chicago (futbol); ani nawet żołądek zmarłego Wilsona Woodwarda juniora, zabitego przypadkowo przez swą żonę: we krwi zmarłego miliardera-sportowca, liczącego 35 lat, wykryto 0,065 procent alkoholu, podczas gdy oficjalne zatrucie następuje przy 0,15 procent.

W ojczyźnie Cyrusa Lippcotta każde słowo, każdy gest, każdy czyn staje się przedmiotem rachunku. Wszystko jest mierzone: dzieło pisarza („Damon Runyon zarobił pół miliona dolarów na 75 tysiącach słów”); maksymalna długość pocałunku na ekranie (88 centymetrów taśmy); czy też kalorie niezbędne dla przeczytania „Przeminęło z wiatrem”.

Stany Zjednoczone trzymają się cyfr jak Arabowie Koranu. Dzięki cyfrom Amerykanie zauważyli, że konsumpcja wody, która między godziną 21 i 21.30 nie zmieniała się w Stanach Zjednoczonych od 35 lat, wzrosła wydatnie w ciągu ostatnich dwóch lat. Dlaczego? Z powodu telewizji. Dlaczego z powodu

²⁰⁷ un sou cest un sou (franc.) - grosz to grosz

²⁰⁸ „Dwie mile nabrzeża przewidziane w Brooklinie w 7-letnim projekcie z budżetem 85 milionów dolarów”. „Towarzystwo Forda: imperium 2 miliardów dolarów”. „Prezydent czuje się lepiej: rozmawiał 46 minut z 5 doradcami”.

²⁰⁹ cash investment - wkład w gotówce

telewizji? Ponieważ 60 milionów Amerykanów, zmuszonych przez tę nową boginię do czuwania między godziną 19 i 21, używa swych łazienek w tym samym czasie - między 9 i 9.30 wieczorem...

Jesteś tylko cyfrą, człowieku, cyfrą między cyframi skromnymi i kolosalnymi, *2 000-dollars-a-week-executive*²¹⁰ lub *86-dollars-a-week-guy*²¹¹, pozostaniesz cyfrą, umrzesz cyfrą. Kompozytor Gershwin zorganizował pewnego dnia obiad w Hollywood, na którym anonsowano ludzi podając ich tygodniowy zarobek, a pewien businessman, przyjmując Pandit Nehru na bankiecie, który zgromadził w New Yorku śmietankę amerykańskiego świata przemysłowego, powiedział mu:

- Panie Premierze, znajduje się pan w pośrodku 20 miliardów dolarów...²¹²

Z wysokości piramid czterdzieści wieków spoglądało na armię Napoleona. Z nizin krzesół dwadzieścia miliardów spoglądało na Nehru...

Nawet to, co robiłem w danej chwili, dało się obliczyć. „Christian Science Monitor” poinformował mnie, że przeciętny Amerykanin pochłania dziennie 30 centymetrów wiadomości międzynarodowych i 1,5 metra wiadomości sportowych.

Biorąc pod uwagę, że oko ludzkie pożerające gazetę ma (podobno) szybkość 4 milimetrów na sekundę, mogłem sam obliczyć, stając się autentycznym Amerykaninem, że nasz przyjaciel Lippcott połyka w niedzielę 28 metrów 50 centymetrów komiksów. Właśnie w tej chwili wpadł do mego pokoju major Thompson:

- A mówiłem panu, Denajnos, że tym ludziom brak wychowania! Niech pan spojrzy!

I podał mi gazetę wieczorną, gdzie wybijały się olbrzymie litery tytułu:

MEG SAW G. C. 3 TIMES 157 MINUTES YESTERDAY

Prawdę mówiąc, Major nie zainteresował się zbytnio tym, że księżniczka Małgorzata widziała się trzykrotnie z *Group Captain*²¹³ (Townsend) i że rozmawiali ze sobą przez 157 minut. Ale to, że ci Jankesi posunęli swą poufałość tak daleko, aby nazywać siostrę królowej „Meg”, doprowadziło go do prawdziwego wybuchu.

²¹⁰ 2000-dollars-a-week-executive - dyrektor z dochodami 2000 dolarów tygodniowo

²¹¹ 86-dollars-a-week-guy - facet zarabiający 86 dolarów tygodniowo

²¹² Można by przypuścić, że zmyślam, ale Nehru sam opowiada o tym zdarzeniu w swych uwagach o Stanach Zjednoczonych. Oto dokładne słowa, jakie ów businessman skierował do niego: „Mr. Prime Minister, do you realize how much money is represented at this table I just added it up. You are eating dinner with at least 20 billion dollars”. (Panie premierze, czy zdaje pan sobie sprawę, ile pieniędzy reprezentowanych jest przy tym stole? Obliczyłem władnie. Je pan obiad z co najmniej 20 miliardami dolarów).

²¹³ group captain - stopień w lotnictwie angielskim odpowiadający stopniowi naszego pułkownika

XIV. Co to jest Amerykanin?

Muszę wyznać szczerze: kiedy przybywszy do Stanów Zjednoczonych uświadamiani sobie, że Amerykanów jest 166 milionów, że Francja zmieściłaby się w ich ojczyźnie 17 razy i że będę musiał napisać coś o nich - mam ochotę wrócić do Paryża i położyć się spać. Doznaję zawrotu głowy. Spojrzenie moje mętnieje. Czuję, że padam.

Major Thompson podtrzymał mnie tym razem.

- Niechże się pan uspokoi! Topi się pan w szklance wody. Największej szklance w świecie, to prawda, ale cóż... Zobacz pan, że Stany Zjednoczone to najprzejrzystszy kraj świata. Gdy przybyłem tu po raz pierwszy i gdy znalazłem się w obliczu tego wszystkiego, także poczułem się nieszczególnie.

To, co przeraża, to liczby... zwłaszcza te duże... 166 milionów mieszkańców! Nie należy nigdy przejmować się liczbami. Może pan sobie przypomina, że aby zważyć 43 miliony Francuzów, uciekłem się do dzielenia. Tutaj jest to jeszcze prostsze - wystarczy odejmowanie. Nikt, w sposób legalny, nie wykona tego działania lepiej niż obywatel Middlewestu. Ponieważ ma pan to szczęście, że nasz przyjaciel Cyrus B. Lippcott pochodzi z Kansas City (Missouri), niechże pan pojedzie do niego i poprosi, aby parna oświecił...

Dla kupca zbożowego, Cyrusa B. Lippcotta, ośrodkiem Stanów Zjednoczonych i systemu słonecznego jest Kansas City. A sercem Ameryki, jej ciałem i duszą jest Middlewest. Reszta - to lipa.

Major miał rację. W ciągu pół godziny Cyrus B. Lippcott wyjaśnił mi sytuację. Wobec 166 milionów Amerykanów Cyrus zastosował metodę Indian ścinaczy głów. Na szerokim stole rozłożył przede mną worek płaskiej michigańskiej fasoli, nadając jej kształt Stanów Zjednoczonych. Po czym, odgryzłszy najpierw Alaskę i kilka Aleutów, rozpoczął swój pokaz.

Ogólna liczba mieszkańców 166 milionów

- a) Ponieważ New York to nie Stany Zjednoczone, należy od ogólnej liczby mieszkańców odjąć ludność tego miasta wraz z przedmieściami 15 milionów
- b) Biorąc pod uwagę dziwactwa i nienormalne zachowanie się mieszkańców Teksasu, którzy noszą swoją chorągiew przed sztandarem gwiazdzistym, nie można ich liczyć, gdy pragnie się dokonać jakiegokolwiek uogólnienia dotyczącego Stanów. Przeworność nakazuje zatem usunąć z rachunku . 8 milionów
- c) Bostończycy - którzy umieją wskazać wam dokładnie najbliższą drogę z Piccadilly do Buckingham Pałace, ale (rzekomo) nie potrafią powiedzieć, gdzie leży Kansas City, i są zachwyceni, gdy zrobią błąd ortograficzny w słowie „Oklahoma” (podobnie jak większość mieszkańców Nowej Anglii i Vermont) p którzy są bardziej Anglikami niż Amerykanami - nie mogą stanowić poważnej podstawy do stworzenia portretu Ameryki, co pozwala odjąć dalsze . 9 milionów
- d) Czarni, Niemcy, Włosi, Chińczycy, Japończycy i Żydzi-naprawdę-Żydzi nie mogą być uważani za Amerykanów czystej krwi, co pozwala wyłączyć z obliczeń . 22 miliony
- e) Nie można także do globalnej liczby włączyć tych Amerykanów, którzy będąc co prawda obywatelami amerykańskimi, urodzili się zagranicą, czyli . 10 milionów

- f) Niektóre zewnętrzne Stany, jak Arizona, Alabama, Oregon, Montana, New Mexico i Północna Dakota, mimo że stanowią część Stanów Zjednoczonych, dadzą podróżnikowi bardzo niedokładny obraz kraju. Lepiej więc nie brać pod uwagę 9 milionów
- g) Z najróżniejszych, ale niebagatelnych powodów zbyt kosmopolityczna ludność takich miast jak Waszyngton, Hollywood czy Chicago, podobnie jak ludność zmieszana z elementem hiszpańskim, azjatyckim i francuskim z New Orlean i San Francisco - może tylko zaciemnić obraz prawdziwej Ameryki. A więc można odrzucić 7 milionów
- h) Tylko dla porządku wspomnieć jeszcze trzeba Indian zamkniętych w rezerwach, którzy byli wprawdzie pierwsi na miejscu, ale dziś są ostatni wśród Amerykanów. Można więc nie liczyć i tych 350 tysięcy

Wszystko to razem daje liczbę 80 milionów co po odjęciu od liczby globalnej pozostawia 86 milionów

...Spośród których należy odliczyć nieletnich, starców i impotentów, czyli 44 miliony

Pozostaje więc wszystkiego razem 42 miliony

...Zaledwie ludność Francji minus mieszkańcy Deux Sèvres i Bas-Rhin! Jak więc widzicie, Stany Zjednoczone nie są znów takie straszne...

Mimo to - ograniczając nawet do 42 milionów liczbę prawdziwych Amerykanów - jak u diabła zdefiniować *Homo Americanus*²¹⁴?

Sam Major okazał się dość powściągliwy mając odpowiedzieć na to pytanie. Przypisałem mu nie istniejące chyba powinowactwo z jego dalekimi kuzynami zza Atlantyku. Jeżeli chodzi o język, to Major w każdym razie ma rację. Język bardziej ich dzieli niż łączy. Rzecz ma się podobnie z ludźmi jak z językiem Szekspira: Stany Zjednoczone nie oddają tego, co pożyczyły, amerykanizują natomiast wszystko. Największą tajemnicą i cudem tego kraju – bardziej niż jakiegokolwiek innego - jest fakt, że pozostawia niezatarte piętno na każdej jednostce, niezależnie od tego, czy pochodzi ona z Frankfurtu, Budapesztu czy Amsterdamu. Anglia czyni z was ludzi powściągliwych, Szwajcaria was przytępia, Francja przydaje lekkości, Niemcy - ociężałości, Włochy uczą was gestykulacji, Szwecja was uzdrawia, Irlandia zabarwia na zielono - ale Stany Zjednoczone czynią z was Amerykanów²¹⁵, jak by na skutek jakiegoś gigantycznego przemieszania chromosomów wypuszczały towar seryjnej produkcji.

Jakiś mały emigrant z Budapesztu dostaje się na taśmę produkcyjną zgarbiony, szczupły, czarnowłosy, z niespokojnymi oczami... Ale zaczyna działać mleczne odżywianie i wielkie przestrzenie, wolna konkurencja i *orange juice*²¹⁶, dolar i marchewka, słownik i liczby.

Zwitaminowany, znylonizowany, zorlonizowany, schlorofizowany, posegregowany, zliczony, wyjąłowiony - nowy przybysz ulega przemianie. *American way of life*²¹⁷ niweluje wszystko. A

²¹⁴ *Homo Americanus* (łac.) - człowiek amerykański

²¹⁵ Oprócz - zauważa Major - *British subjects*... Alistair Cooke, jeden z najlepszych dziennikarzy angielskich, będący korespondentem w Stanach, zwrócił uwagę na to, że mówi się ciągle o amerykańskich Irlandczykach, amerykańskich Niemcach, amerykańskich Polakach, amerykańskich Szwedach, amerykańskich Włochach, amerykańskich Grekach, lecz nigdy o amerykańskich Anglikach...

²¹⁶ *orange juice* - sok pomarańczowy

w półtora pokolenia później na końcu taśmy ukazuje się gotowy produkt: Barbara lub Johny - blondyn o silnych mięśniach, płaskim karku, wcięty w pasie, o młecznej cerze, gęstych włosach, okrągłej potylicy, gotów śpiewać w Dzień Zwycięstwa: „Jestem stuprocentowym Amerykaninem”²¹⁸



Zdjęcie rentgenowskie obywatela amerykańskiego pana J.H.S.W...

Tajemnica... tajemnica dająca się oczywiście wytłumaczyć wpływem środowiska, klimatu, skrzyżowaniami, szkołą, odżywianiem, jeszcze bardziej - zjawiskiem mimikry, a nade wszystko trwogą, jaka opanowuje syna emigranta na myśl, że mógłby nie zostać Amerykaninem, nie mówić po amerykańsku, nie myśleć po amerykańsku...

A jednak tajemnica pozostaje tajemnicą... Jakże mógłbym przez chwilę przypuszczać, że nasz przyjaciel Cyrus B. Lippcott nie jest częścią tej tajemnicy? Zdefiniować go, to rzecz więcej niż trudna.

O Cyrusie! Ty, który masz w swych żyłach krew Mac Cullaghów i Finkelsteinów, kwartę krwi Alpestrinięgo i Montezumy, duży garniec Ehrenkreuzów i odrobinę Dupleixa - jakże cię określić?

Jak zdefiniować obywatela, którego jedna babka była Irlandką, druga - Niemką, ojciec Amerykaninem, matka - Holenderką. Chyba tylko porównując jego mózg do naszej Izby deputowanych: Irlandia

²¹⁷ American way of life - amerykański styl życia

²¹⁸ Co roku obchodzi się dzień zwany „I am an American Day”, co dosłownie znaczy: jestem amerykańskim dniem.

zająłaby mniej więcej miejsce republikanów socjalnych, Anglia - komunistów, Niemcy - MRP, a Żydzi - Poujade'a.

Tłumaczę niekiedy surowość twoich obyczajów przypominając sobie, że między twymi przodkami, którzy przybyli na «Mayflower», znajdowała się - i jestem z tego dumny- Patience Peacock²¹⁹. (Nikt nie wątpi, że to prawda... Gdyby jednak w 1620 roku «Mayflower» przewiózł tych wszystkich ludzi, na których Amerykanie powołują się obecnie, musiałyby mieć rozmiary «Queen Elizabeth»).



Nigdy nie wydam córki za kogoś, kto jest Amerykaninem zaledwie od trzech wieków!

...Tę zadziwiającą zdolność, która pozwoliła ci przestawić się na zboże, po tym jak zbankrutowałeś na handlu opakowaniami do wieprzowiny - tę zdolność masz zapewne po Finkelsteinie, który rozpoczął karierę sprzedając podwiązki na wózk, a skończył ją na szczycie drapacza chmur jako król bielizny...

Pojmuję, że swój pociąg do *pasticcata*²²⁰ i do sycylijskich restauracji w Greenwich Village zawdzięczasz signorze Bianchetta Alpestrini, żonie twego dziadka i córce sklepikarza z Catania.

Nie mogę jednak wyjść z podziwu, że ta mieszanina wydała w końcu produkty tak specyficznie amerykańskie, jak ty sam lub twoja jasnowłosa córka, aerodynamiczna Patricja, która w głosie, chodzie, noszeniu głowy ma coś wspólnego z milionami amerykańskich dziewczyn.

A ty sam cóż masz dziś wspólnego z owymi pierwszymi kolonistami, którzy stworzyli ten kraj?

²¹⁹ Purytanie nadawali zazwyczaj swym córkom imiona odpowiadające cnotom: Patience(patience - cierpliwość), Chastity(chastity – czystość), Fidelity(fidelity – wierność), Silence(silence – milczenie).

²²⁰ pasticcata (włoski) - zupa włoska z łazankami i serem

Ci karczownicy lasów, pionierzy, traperzy, zaprawieni do okrutnych wichrów i nienawidzący angielskiego zamięłowania do wygod, stali się drżącymi z zimna mieszczuchami, marzącymi o komforcie bardziej niż jakikolwiek Thompson.

Owi surowi purytanie, którzy potępiali niegdyś zbędne rozmowy o kuchni, cenią dziś nade wszystko przynależność do Klubu Smakoszków i za pośrednictwem telewizji zapoznają się z ulubionymi potrawami swych gwiazdorów²²¹.

Ci ludzie pragnęli niegdyś osiąść na stałe i przemierzali nieraz dziesięć tysięcy kilometrów, aby znaleźć ziemię, na której mogliby się osiedlić, a dziś nie przestają się przeprowadzać (32 miliony Amerykanów zmienia co roku adres).

Ci indywidualiści, którzy opuszczali rodziny, ojczyznę, obyczaje, aby żyć w samotności, z dala od wszystkiego, nie znają większej przyjemności, jak robić wszystko w grupie: *to join*²²²... *Join us for a drink... for a party... for a holiday*²²³... Samotność jest zarazą. Samotnik to człowiek podejrzany. Amerykanin uważany jest za dziwaka, jeżeli nie umie żyć razem z innymi. Pić, bawić się, śpiewać, podróżować, korzystać z rozrywek, nawet golić się²²⁴, tak... byle nie samemu.

Czy Amerykanin stał się przeciwieństwem tego, czym był?

Dawni demokraci, którzy z równości uczynili fundament swej Konstytucji, są dzisiaj maniakami dyskryminacji: stosunkowo trudniej dostać się panience na Bal Debiutantek w Baltimore, niż być przyjętym w Buckingham Pałace. Pani Pochet była pewna, że otrzyma zaproszenie na *Assembly Ball*²²⁵ w Filadelfii, tak jak co roku otrzymuje zaproszenie do Pałacu Elizejskiego w Paryżu, a tymczasem musiała odwieść swą suknię z lamy, ponieważ nie jest spokrewniona w bezpośredniej linii z żadnym oficerem Jerzego Waszyngtona. Przysięgła na La Fayette'a, że nigdy więcej nie postawi nogi w tym mieście, w którym pewna *Colonial Dame*²²⁶ - opierając się na ultraekskluzywnym *Social Register*²²⁷ - przeprowadziła w naszych oczach odejmowanie jeszcze bardziej imponujące niż to, które wykonał Cyrus B. Lippcott, i ograniczyła liczbę wartościowych Amerykanów do 2 733 osób. Dla wielu ludzi w świecie znajomość jak największej ilości osób jest powodem do chwały. Dla niektórych dam z Filadelfii i Bostonu szczytem wszystkiego jest nie znać nikogo lub przynajmniej nie znać nikogo, kto nie jest kimś²²⁸. W rozmowie powracają bez przerwy przymiotniki *exclusive*²²⁹, *most exclusive*²³⁰,

²²¹ „Cóż może być bardziej pociągającego - oświadczył przez radio sam Mr. Fred Mac Murray - niż dwa sadzone jajka, które wytrzeszczają na was dumnie swe oczy z przejrystego złota?”

²²² to join - przyłączyć się

²²³ join us for a drink... for a party... for a holiday - chodź się z nami napić... chodź z nami na przyjęcie... jedź z nami na urlop

²²⁴ Pochet zrozumiał to pewnego dnia, gdy w pociągu Chicago-Los Angeles pan Cyrus B. Lippcott z jakimś innym podróżnym zawołał go: Join us for a shave, Al! I (join us for a shave, Al! - chodź się pan z nami golić, Alfredzie!) zaciągnął trochę osłupiałego Pocheta do sali, gdzie pół tuzina Amerykanów radośnie i wspólnie czyściło sobie zęby, brało prysznic i goliło się.

²²⁵ Assembly Ball- oficjalne spotkanie towarzyskie

²²⁶ Colonial Dames of America - patriotyczne stowarzyszenie kobiet amerykańskich pochodzących z rodów wczesnych osadników, mające na celu zbieranie i przechowywanie dokumentów z czasów kolonialnych

²²⁷ *Social Register* - spis wybitnych osób

²²⁸ Filadelfijka, o której mowa, przejrzawszy dokładnie listę gości zaproszonych przez rodzinę Kelly na przyjęcie zorganizowane w Filadelfii z okazji przyszłego małżeństwa Grace, zawołała zachwycona: „Nie znam nikogo!”

²²⁹ exclusive - ekskluzywny

²³⁰ most exclusive - najbardziej ekskluzywny

*restricted*²³¹. Pochet zastanawia się nieraz, czy najtajniejszym marzeniem Cyrusa B. Lippcotta nie jest stworzenie jakiegoś most *restricted club*²³², z którego wyłączeni byłiby wszyscy Amerykanie poza nim. Albowiem ci łaknący niezależności ludzie, którzy swego czasu uciekli od surowej etykiety i poniżej Pałaców, gotowi są dzisiaj zamienić swe wielkie piece na „de” przed nazwiskiem i gonią beznadziejnie za tym, czego nie posiadają - za arystokracją²³³.

²³¹ *restricted* - elitarny

²³² most *restricted club* - najbardziej elitarny klub

²³³ W braku autentycznej szlachty Amerykanie uciekają się do: numerowania potomków znanych dynastii (Henry Ford II lub J. D. Rockefeller III); do rezerwowania uprzywilejowanych miejsc w najelegantszych restauracjach i night-clubach (dobre są: „El Morocco”, „Sibena”, „Champagne Room”; do „Sardi's” - można wejść; pan, którego sadza się koło toalety (powder room), to zazwyczaj nic wielkiego); do numerów rejestracyjnych wozów (najcenniejsze są te najprostsze - np. AC 1 jest doskonały); do samych wozów (niektórzy stawiają chryslera ponad cadillaca; co prawda jego cena sprzedażna jest mniejsza, ale to właśnie dowód pewnej obojętności wobec bogactwa; tylko bogaci i sławni ludzie mogą sobie pozwolić na jeżdżenie w bardzo starym lub małym samochodzie: w Hollywood naliczyć można nie więcej niż dziesięciu artystów, którzy jeżdżą w „M.G.”, nie ryzykując, że wywołają fałszywy osąd bliźniego, a wręcz przeciwnie). Na koniec *Social Register* zajmuje miejsce herbarza. Niektóre stany mają własną klasyfikację arystokracji według społecznego pierwszeństwa lub sytuacji finansowej. W Teksasie bawełna wyprzedza bydło, za którym postępuje nafta (nowobogacy). W większości dużych miast Bale Debiutantek, na których panny z tak zwanych dobrych domów stawiają swe pierwsze kroki w świecie, dostarczają co roku okazji do bezwzględnej walki między nuworiszami i *Board of Governors*, czyli Radą Pań, które dokonują selekcji.

XV. Ludzie na torze

Po przybyciu nocą do New Yorku obudziłem się nazajutrz obok czerwonego człowieka, który spoglądał na mnie szyderczo. Wywołuje to zawsze dziwne wrażenie (mnie zdarzyło się to po raz pierwszy). W każdym razie to jest coś, gdy się przybędzie do New Yorku mówiąc sobie, że obudzimy się z widokiem na Rockefeller Center, i zobaczy się koło siebie jegomościa ubranego na czerwono, w czapce do gry w *base-ball* i w rękawicach automobilisty...

Zerwałem się i otworzywszy szerzej oczy stwierdziłem, że człowiek ten nie znajdował się u stóp mego łóżka, ale o kilka metrów dalej: spoglądał na mnie przez okno z wysokości budującego się po drugiej stronie ulicy drapacza chmur. Pojąłem od razu, że będę musiał porzucić wszelką myśl o spoczynku, i postanowiłem zażądać w recepcji innego pokoju.

Od strony północnej sytuacja była o wiele spokojniejsza. Przynajmniej była spokojniejsza pierwszego dnia. Ale o świcie dnia następnego obudził mnie wielki hałas ciężarówek i dźwigów. Rozpoczynano burzenie zbyt starego *buildingu* naprzeciwko. Jest to prawo New Yorku - wszystko jest *going up*²³⁴ lub *coming down*²³⁵: domy, pozycje, *gadgets*²³⁶, sławy, tematy konwersacji. Nie doszedłem jeszcze, który z dwóch hałasów jest okropniejszy, ale zdaje się, że hałas towarzyszący burzeniu jest gorszy niż hałas budowania.

Zaczyna się to od huku młotów pneumatycznych, które ryją ziemię i borują mury, po czym potężne żurawie usuwają całe piętra. Widziałem, jak w ciągu kilku chwil znikł salon, jadalnia i dwie łazienki. Robią to tak dobrze, że można się tylko dziwić, iż nie widać jednocześnie znikających ludzi. Skądinąd powstaje pytanie, jak to wszystko trzymało się przedtem.

Wolałem słuchać, jak się buduje, niż jak się burzy, wróciłem więc do skrzydła, które zajmowałem poprzednio, i otrzymałem pokój na 24 piętrze. Mam teraz sześciodniową przewagę nad nieprzyjacielem (który rośnie w tempie jednego piętra co dwa dni). Nieprzyjaciel jest zresztą dość przyjacielski: ponad 57 ulicą wszedłem w kontakt z czerwonym człowiekiem. Nazywa się Benedict Camacho, liczy trzydzieści siedem lat, ma dwoje dzieci, 110 dolarów tygodniowo, chevroleta z roku 1955 i polisę ubezpieczeniową na życie na 10 000 dolarów.

Na przekór moim głupim rachubom, które nie brały pod uwagę tej jak najbardziej amerykańskiej pasji bicia rekordów, Benedict Camacho znalazł się wczoraj znowu na wysokości mego stołu. O godzinie piętnastej - przerósł mnie. Chętnie przeniósłbym się wyżej, ale jest to ostatnie piętro mieszkalne. Nade mną znajduje się *roof* - piętro zarezerwowane na *parties*²³⁷, przyjęcia i taneczne cocktaile. Innymi słowy, gdy robotnicy przerywają pracę o piątej (nie mam pojęcia, jak ludzie schodzą z tej wysokości, ale ulatniają się w mgnieniu oka), mam pół godziny wytchnienia. O pół do szóstej zaczyna się party. Party - to jazz. A jazz to cza-cza-cza, a cza-cza-cza to wcale nie to, czego szukam...

Ostatecznie, zważywszy dobrze, a nawet źle, za osiem dni wszystko będzie skończone...

²³⁴ going up - idące w górę

²³⁵ coming down - zmierzające do upadku

²³⁶ gadgets - drobne pomysłowe przyrządki, mające ułatwiać życie codzienne

²³⁷ party (l. mn.: parties) - zebranie towarzyskie

Major Thompson okazał mniej cierpliwości ode mnie. Uważa, że bywanie u ludzi, którzy się jeszcze nie umeblowali, jest zawsze rzeczą niebezpieczną. Zresztą nie umie on spać spokojnie nie mając pewności, że obudzi się nazajutrz w tym samym miejscu. Marmaduke opuścił więc hotel, oświadczając w recepcji: - Wróć, *gentlemen*, jak będziecie zbudowani... I udał się do jedyne go miasta w Stanach Zjednoczonych jako tako odpowiedniego dla poddanego Jej Wysokości. Jest to Boston - niezdojta cytadela anglomanii, której udało się pobić Anglików, nawet jeżeli chodzi o numerację domów: między numerem 8 i 14 przy Beacon Street Major odkrył numer 10½, który go wprowadził w osłupienie. I jak gdyby nie wystarczyło tego ciosu, zobaczył przez wysokie, oszklone okna poważnych gentlemanów z wąsami, drzemiących w głębokich, skórzanych fotelach z „Timesem” w rękę. Zupełnie jak by przechodził koło *Cavalry Club* na Piccadilly²³⁸.

Można się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do nowojorskiego hałasu. Nie miałby on zresztą większego znaczenia, gdyby nie sprawa elektryczności. Paryż często niestusznie uchodzi za Miasto Światła, ale New York to naprawdę Miasto Elektryczności. Przynajmniej jest to pierwsze miasto, w którym wydałem iskrę. Elektryczność jest tu wszędzie: w klamkach drzwiczek w taksówkach, w klamkach waszych pokoi, między dwoma arkuszami papieru, we włosach, w wąsach Majora, we wszystkim²³⁹.

Gdy Sonia, przybywszy w kilka dni po mnie, zobaczyła mnie w pokoju w kałesonach i rękawiczkach, nie mówiąc o łańcuszku na szyi, który mnie łączył z ziemią, pojęła od razu, że coś jest nie w porządku. Wytłumaczyłem jej, że ponieważ powietrze w New Yorku jest suche i przesycone elektrycznością, trzeba się koniecznie uziemić.

- Żartujesz? - spytała.

Aby jej udowodnić, że nie, zdjąłem rękawiczki i uściskałem ją. Poczuła od razu wyładowanie elektryczne i poprosiła, abym zachowywał się spokojnie.

Dla zabawy, jeśli wolno się tak wyrazić, i jedynie po to, by ją przekonać, wywołałem kilka iskier: tutaj otwierając szafę, ówdzie - zamykając drzwi. Robiłem już wiele rzeczy w życiu. Robić elektryczność to ostatecznie takie samo zajęcie jak każde inne, tylko że dość nieprzyjemne. Przez kilka chwil kontynuowałem pokaz, gdy naraz zadzwonił telefon. Ponieważ zapomniałem włożyć rękawiczki, otrzymałem połączenie wprost w palec²⁴⁰.

²³⁸ Mowa tu o bardzo szanownym Boston Athenaeum, prywatnej bibliotece, której 1 049 członków może swobodnie oddawać się ulubionemu sportowi bostończyków: genealogii, p rozprawiać o dacie swego przybycia do miasta. Gdy zapytać bostończyka, od kiedy mieszka w Bostonie, odpowiada wam po prostu: „od 1702 roku”, tak jak by jego przodkowie i on stanowili jedną osobę

²³⁹ Powietrze New Yorku jest tak suche, że używa się tu bardzo powszechnie *room humidifiers*, czyli małych aparatów do zwilżania powietrza. A wszystko jest tak dalece naładowane elektrycznością, że na *tollbridges*, płatnych mostach drogowych, które prowadzą na autostrady, umocowana na ziemi miotła dotyka podwozia każdego wozu, aby uchronić policjantów od porażenia prądem, w chwili gdy biorą od podróżnego monetę.

²⁴⁰ Pojmuję doskonale, że czytelnik uzna ten epizod za niewiarygodny (zwłaszcza noszenie łańcuszka...). Gdybym był na jego miejscu, stwierdziłbym raz jeszcze, że autor posuwa się trochę za daleko... Czy mam wyznać, że wahałem się długo przed opisaniem tej sceny? „Ten łańcuch nie przejdzie” - mówiłem sobie. W istocie, wiele osób uśmiechało się, gdy im opowiedziałem tę historię. A mimo to jest ona prawdziwa. Jeżeli prawdą jest, że w każdej powieści jest sporo z życia, to w życiu jest jeszcze więcej z powieści... Nie zdołałem przekonać sceptyków, jak odsyłając ich do referatu wygłoszonego niedawno w Western Reserve University Hospital przez profesora George J. Thomasa z Pittsburga. Tekst tego referatu został mi uprzednio udostępniony

- Denerwujesz mnie - powiedziała Sonia. I natychmiast wyszła na *shopping*²⁴¹. Podobno, jak zapewniła, można dostać fantastyczne rzeczy z orlonu; widziała już nawet takie halki... - I wiesz, dwa razy taniej niż w Paryżu. (Niewiarygodne, jak Paryż staje się drogi, skoro kobieta pragnie kupić coś zagranicą).

Nie mówiąc nawet o elektryczności, którą można znaleźć w pokoju hotelowym (w większej lub mniejszej ilości, zależnie od tego, ile stali użyto w konstrukcji²⁴², zawsze miewam w New Yorku uczucie, że od samego rana jestem podłączony do sieci wysokiego napięcia. Uczucie to pogłębia się jeszcze, gdy - tak jak ja w tym wypadku - przyjeżdża się z Genewy. Zastanawiam się, czy aby należycie poznać Stany Zjednoczone, nie należy rozpocząć podróży właśnie od Szwajcarii.

Dla wyjaśnienia: Gdy przybywam do Genewy, czuję, że jakaś niewidzialna ręka zwalnia mój motor; przysiągłbym, że kierownik garażu w Cornavin zaaplikował mi czopek z chininy. W New Yorku takim czopkiem staje się wtyczka elektryczna. Jest to coś, co każe wam poruszać się szybko. Byle gdzie, aby szybko (nie biegnąc, tego się nie robi). Istnieje rytm nowojorski, któremu ulega się automatycznie, czy to kiedy idzie się kupić pidżamę u Saksa, czy też kiedy ma się rozpruć kasę First National Bank.

Słowo „włóczyć się” nie ma w New Yorku żadnego sensu. Włóczyć można się po ulicy Chat-qui-Pêche, zastanawiając się, czy zaprowadzi nas ona na ulicę de la Huchette czy też na wybrzeże Saint-Michel. Nie można włóczyć się po mieście, w którym ma się pewność, iż 57 ulica znajduje się pomiędzy 56 i 58. Czy ktoś ma ochotę pisać poematy na kratkowanym papierze? Nikt nie włóczy się po torze kolejowym. Nie włóczy się w krainie ludzi idących po swoim torze.

Amerykanie w ogóle, a nowojorczyki w szczególności to prawdziwi ludzie-pociągi *non-stop*²⁴³ od siódmej rano do północy (kobieta amerykańska to superlokomotywa, ciągnąca swego męża w szybkim tempie, przy czym mężczyźni, chcąc uniknąć wypadku, muszą uważać, czy są dobrze szczepieni).

Jedno z najbardziej rewelacyjnych w moich oczach dzieł na temat amerykańskiej mentalności to książka dla dzieci pod tytułem *Tootle*²⁴⁴ *the Engine*, czyli - *Tootle lokomotywa* Gertrudy Crompton. *Tootle the Engine* więcej wam powie o Stanach Zjednoczonych niż Tocqueville, Fenimore Cooper, Faulkner i Hemingway razem wzięci.

Tootle to mała lokomotywa, która jak każda mała lokomotywa w Pociągowie, chodzi do Szkoły dla Lokomotyw i uczy się kolejowego abecadła: zatrzymuje się przed *red flag*²⁴⁵ i trzyma się zawsze

- już po moim powrocie do Europy - przez profesora Jean-Marie Verne, chirurga paryskiego: prąd stały, który sroży się w USA, jest co roku przyczyną śmierci ponad 100 osób, zabitych na salach operacyjnych przez wybuch mieszanek znieczulających. Zwykłe potarcie nylonowej koszuli, zwykłe przesunięcie aparatu do znieczulań może spowodować katastrofę. Podjęto szereg środków zapobiegawczych, aby ograniczyć liczbę wypadków, ale nie udało się ich zlikwidować całkowicie. Każdy przedmiot ruchomy, od stołu operacyjnego do wózka dla przewożenia chorych, musi być połączony z ziemią za pomocą łańcuszka; wszystko, co jest izolowane od ziemi, musi być z nią połączone jakimś przewodem metalowym lub wilgotną bielizną (operowany także, jeżeli bowiem leży on na izolującym materacu z kauczuku, może nastąpić wyładowanie prądu).

²⁴¹ shopping - zakupy

²⁴² A takie zależnie od pantofli, które się nosi; skórzane biją wszelkie rekordy.

²⁴³ non-stop - bez zatrzymania

²⁴⁴ to tootle - trąbić, gwizdać przeciągle

²⁴⁵ red flag - czerwony sygnał

prosto na szynach. W ten sposób wyrasta na dużą panienkę... pardon - *a great streamliner*²⁴⁶. Jak wiele uczennic, Tootle zaczyna swoje zeszyty czysto, jej literki są równe, trzyma się linii. I potem pewnego dnia, pod koniec trymestru, Tootle odkrywa uroki włóczędzy, zaczyna zjeżdżać z toru i zrywać stokrotki.

Największa Lokomotywa, lub raczej profesor szkoły w Pociągowie, jest bardzo zaniepokojona. Zamknawszy Tootle w zajezdni, decyduje się na zwołanie *town meeting*²⁴⁷, daje sygnał na „Wielkie Niebezpieczeństwo” i przechodzi do akcji. Pozwala się znów wychodzić Tootle, która jednak ponownie nabiera ochoty na stokrotki i opuszcza szyny... Ale w chwili gdy ma właśnie zerwać stokrotkę, napotyka czerwony sygnał. Przechodzi na drugą stronę toru, pochyla się znowu... I znów wyrasta przed nią czerwony sygnał. Nieprzyjazna natura najeżona jest czerwonymi sygnałami. Wszystkie kwiaty mówią jej „stop”, gdyż wszyscy obywatele-pociągi jednoczą swe wysiłki, aby przywrócić *Tootle on the right way*²⁴⁸, na który trafia też ona w końcu, uszczęśliwiona, że ma przed sobą zielony sygnał, wskazujący wolny przejazd: wyrośnie na wielką *streamliner*.

Tootle - to cała Ameryka. Są tu i konwenanse, i konformizmy, i wezwanie: „Uwaga, niebezpieczeństwo!”, i wycie syren, i *town meeting*, i współpraca, a ponad wszystko - zmysł pociągu. Pociągu, w który należy wsiąść. Pociągu zwanego *American Way of Life*. Amerykanin żyje na torze i jeżeli weźmie go ochota zrywać stokrotki²⁴⁹, zostanie natychmiast przywołany do porządku przez niewidoczne czerwone sygnały, groźniejsze niż petardy.

Oczywiście... może on wyrazić wątpliwość w ducha Konstytucji, oświadczyć, że nie wierzy w Boga, nosić zamszowe pantofle²⁵⁰, założyć kolorową koszulę do obiadu, ewentualnie - ponieważ podoba mu się widok - wybrać mieszkanie w „złej” dzielnicy (to jest w dzielnicy zamieszkałej lub choćby odwiedzanej przez Portorykańczyków, Chińczyków lub Czarnych). Ale zostanie zaklasyfikowany. Będzie uchodził za człowieka podejrzanego, za jednostkę, której należy unikać, która idzie *wrong way*²⁵¹, a jeżeli chodzi o mieszkanie, to powie się o nim w najlepszym kolejowym stylu, że mieszka *on the wrong side of the tracks*, czyli po złej stronie toru²⁵².

Wystarczy kilkugodzinny pobyt w New Yorku, aby człowiek został włączony w ten ruch kolejowy i stał się integralną częścią sieci kolejowej. Świadomie czy nieświadomie staje się sam małym pociągiem, posłusznym rozkładowi jazdy i zwrotnicom. Choćby taki *express-waiter*²⁵³ - mam na myśli kelnera

²⁴⁶ a great streamliner - duża lokomotywa

²⁴⁷ town meeting - wiec, masówka

²⁴⁸ on the right way - na właściwy tor

²⁴⁹ Zauważmy, że chętkę zrywania stokrotek hamuje szybko poison ivy, trujący chwast, który rośnie wszędzie w Stanach Zjednoczonych i powoduje gwałtowne swędzenie i zapalenie skóry.

²⁵⁰ Majora Thompsona, który nosi niekiedy zamszowe pantofle, bardzo grzecznie zapytał w New Yorku jakiś młody człowiek, czy jest on A.C.-D.C. Te litery nie są, jak Major zrazu pomyślał, jakimś odznaczeniem, ale skrótem słów „prąd stały - prąd zmienny”. Chodzi tu o homoseksualistów, którzy nie obawiają się kobiet. Major Thompson, który drwi sobie z tego, co ludzie gadają, nie przestał wkładać w USA zamszowych pantofli, gdy miał na to ochotę.

²⁵¹ wrong way - zła droga

²⁵² To niezmiernie często spotykane wyrażenie bierze się stąd, że wiele miast w USA przecina linia kolei żelaznej, która oddziela dzielnicę „rezydencyjką” od dzielnicy biednej, zamieszkałej przez Murzynów.

²⁵³ express-waiter - kelner-ekspres

w restauracji lub *drug-store*²⁵⁴ (oczywiście nie w wielkich, raczej francuskich niż nowojorskich restauracjach, gdzie ma się dość czasu na zastanawianie się nad menu, ale w punktach żywienia zbiorowego).

Można tu zastosować - ryzykując jednak wybuch katastrofy - europejską metodę, którą zazwyczaj posługuje się Sonia i pani Pochet: „Wezmę chyba na początek grapefruit, potem befsztyk, albo nie, po namyśle wolę szynkę wędzoną, oh! a zresztą nie, niech będzie grapefruit...” Dokładnie w tej chwili, gdy zaczęliście wyliczać: „grapefruit, steak”, kelner-ekspres zarejestrował na zielonym bloczku (z przebitką) waszą marszrutę. Jeżeli w tym czasie zmienicie zdanie, jego twarz wydłuży się i skrzywi. Będzie musiał wyrwać kwit - niedobrze.

Tak samo rzecz się przedstawia z bardzo licznymi specjalistami, do których trzeba się zwracać w hotelach. Nie ma tu mowy, jak na Starym Kontynencie, aby osobie, która się zjawi pierwsza na odgłos dzwonka, powierzyć hurtem brudną bieliznę, pantofle, wyprasowanie spodni i przyszyć guzika. Nie. Rzadko widywałem minę pełniejszą obrazy niż u pokojówki (rodem z Irlandii), której Pochet podał pierwszego dnia parę pantofli. Można by przysiąc, że w ciągu całego życia nie dotknęła takiego towaru. *Valet*²⁵⁵, bardzo dostojny pan, popatrzył z kolei na tę rzecz nie dotknąwszy jej palcem i pogardliwym tonem powiedział do Pocheta:

- *Call the barbershop*²⁵⁶!

Pochet pomyślał przez chwilę, że w tym kraju daje się pantofle do pod strzyżenia. Prawda, że zagranicą może wydać się dziwne, iż wzywa się fryzjera z powodu pary pantofli, ale *valet* był jeszcze bardziej zdziwiony, jak ten typ, przybyły nie wiadomo z jakiego kraju, może nie wiedzieć, iż czyściciel butów jest zainstalowany u fryzjera.

²⁵⁴ *drug-store* - drogeria; specyficznie amerykański typ sklepu, w którym obok gotowych leków sprzedaje się pisma, książki, papierosy oraz dania barowe, napoje chłodzące itp.

²⁵⁵ *valet* - służący

²⁵⁶ *call the barbershop* - proszę zadzwonić do fryzjera

XVI. Królestwo opakowań (Z notatnika Majora)



Można by pomyśleć, że „kraj ludzi na torze”, jak go nazwał mój współpracownik, jest krajem najszybszym w świecie. Wielu ludzi sądzi tak o Stanach Zjednoczonych. Uważam za właściwe podkreślić, że jest to zarazem prawda i nieprawda. Niekiedy - najszybszym, ale często najwolniejszym, że zacznę chociażby od pociągów i od samochodów, które są w stanie osiągnąć 200 km na godzinę, ale rzadko przekraczają 90 km z powodu ograniczeń szybkości. Aby dotrzeć do stanu, w którym wolno robić 180 km na godzinę, pan Pochet, uszczęśliwiony za kierownicą swego nowego deluxe, musiał przejechać z New Yorku odległość równą drodze Paryż-Timbuktu. Gdy przybył wreszcie do Newady, odeszła go ochota szybkiej jazdy.

Really... Stany Zjednoczone to zadziwiający kraj, gdzie wszystko jest zrobione tak, aby szło szybciej niż gdziekolwiek indziej, i gdzie wszystko jest zorganizowane tak, aby szło wolniej (jedyna rzecz, która idzie diabelnie szybko, to dolar, opuszczający kieszeń w tempie przez duże T).

Temu zjawisku zwolnionego tempa towarzyszy prawie ustawiczne używanie ołówka i papieru. Amerykanie, cieszący się opinią ludzi-maszyn, spędzają poważną część swego życia na pisaniu ręką - nawet gdy prowadzą samochód. Trzeba tu troskliwie notować na papierze różne rzeczy, które gdzie indziej nie wymagają żadnego zapisu.

Gdy biorę taksówkę w Paryżu, zdarza się, że szofer każe mi wyjść, ponieważ nie jadę w jego kierunku; jeżeli jednak godzi się mnie wziąć, to przede wszystkim myśli o tym, aby bez dalszych formalności zawieźć mnie pod wskazany adres. W New Yorku szofer taksówki wyciąga po pierwsze papier i ołówek, notuje godzinę i miejsce, gdzie mnie załadował, oraz adres, który mu podałem²⁵⁷; niekiedy, mówiąc prawdę, notuje on to wszystko, gdy wóz ruszył, co dodaje sprawie pikanterii. Nawet konduktorzy autobusów prowadzą jakąś dziwną buchalterię, w której naiwny obcokrajowiec z trudem dostrzega cień przydatności.

W wagonie restauracyjnym musicie sami wypisać zamówienie na bloczku (z kopią). Pismo europejskie jest często nie do odcyfrowania dla Amerykanów; wskutek tego w pociągu „City of Denver” (należącym do towarzystwa Union Pacific Railways) pani Pochet zmuszona była zażądać swego befsztyka drukowanymi literami, co doprowadziło ją do szału. Skorzystała z okazji, aby rzucić oskarżenie na kuchnię amerykańską.

- Pół biedy - powiedziała - jeżeli nie umieją przyprawiać sałaty. Ale że ośmielają się nazwać *French dressing*²⁵⁸ tę mieszankę śmietany, pomidorów i octu, którą ozdabiają sałatę - to już za wiele!

²⁵⁷ Jest on oficjalnie zobowiązany do zanotowania tych danych.

²⁵⁸ French dressing - ostry sos francuski

Pan Pochet przelicytował ją natychmiast, stwierdzając, że nie można brać poważnie ludzi, którzy „dzięki” swym *freezers*²⁵⁹ każą nieraz trzy miesiące czekać befsztykowi, zanim go spożyją, i którzy piją kawę z mlekiem do ostryg. Na co czarny kelner odkorkował z dumą butelkę kalifornijskiego wina z nalepką, która głosiła: *Special Red Sparkling Burgundy*²⁶⁰ i poniżej: *Beware of imitations*²⁶¹. Było to zbyt wiele dla pana Pochet; z irytacji nie mógł nic więcej przełknąć.

Papier jest tutaj królem we wszystkich dziedzinach. Poczekalnie biur, jak zresztą same biura, usiane są blokami papieru, notatnikami, ołówkami. Nasz przyjaciel, Cyrus B. Lippcott, gdy tylko ma minutę odpoczynku między dwiema notatkami podyktowanymi sekretarce, uwielbia rysować małe figurki geometryczne, mówiąc lub telefonując jednocześnie. Zachowuje on te rysunki, gdyż jak mi wytłumaczył, w wypadku *break-down*²⁶² lub zwykłego *check-up*²⁶³ jego romby, będące czystą emanacją podświadomości, stają się nieocenioną wskazówką dla psychoanalityka.



Czemu pan mi opowiada, że jest pan życiowym bankrutem, skoro jest pan w stanie zapłacić mi honorarium za wizytę?

Pan Lippcott, jak wszyscy Amerykanie, jest wielbicielem papieru. Gdyby przypadkiem Mrs. Lippcott nie umieściła w jego wozie pudełka *kleenexu* (ale jakże mogłaby zapomnieć o tym przenajświętszym papierze, służącym zarazem jako chusteczka, serwetka do wycierania rąk i do ścierania makijażu), byłby równie nieszczęśliwy, jak pan Pochet bez swego Przewodnika Michelina²⁶⁴. Podczas ostatniego pobytu w Paryżu najbardziej uderzył pana Lippcotta widok paryżan spacerujących z nie opakowanym

²⁵⁹ freezer - lodówka

²⁶⁰ special red sparkling burgundy - specjalny gatunek czerwonego musującego burgunda

²⁶¹ beware of imitations - wystrzegać się naśladownictwa

²⁶² break-down - załamanie

²⁶³ Ogólne sprawdzenie stanu organizmu, którego dokonuje się w szpitalu i któremu Amerykanie poddają się w regularnych odstępach czasu (zwłaszcza po powrocie z podróży po tym siedlisku zarazków, jakim jest Stary Kontynent).

²⁶⁴ Pierwszą rzeczą, którą dostrzega się na tylnym siedzeniu amerykańskiego samochodu, jest niebieskie pudełko *kleenexu*. Jeżeli się go nie dostrzega, to znaczy, że producent przewidział *kleenex-box* wewnątrz wozu.

chlebem pod pachą. Dla odkażonego i opanowanego strachem przed mikroorganizmami Amerykanina jest to po prostu nie do pomyślenia. W „Statler Hotel” w Waszyngtonie Pochet popadł w ekstazę na widok (papierowej) podkładki na W.C. (Czytelnik zechce mi wybaczyć, że mówię o takich rzeczach... Ostatecznie, nie chodzi o mnie...) *This seat* - zapewniał napis umieszczony obok zapasów podkładek - *is perfectly sterile and untouched by human hand*. (To miejsce jest całkowicie odkażone i nie tknięte ręką ludzką²⁶⁵. Być może sprawił to ów napis, dość że to intymne miejsce nabrało w oczach Pocheta jakiejś uroczystej dostojności...

Łatwo pojąć, że podróż pana Lippcotta do Galii dostarczała mu codziennej udręki. W jego ojczyźnie wszystko jest opakowane: sól, cukier, mięso, chleb, owoce, nakrycia, a nawet znaczek pocztowy, który w kopertce z celofanu podaje wam na małym kartoniku specjalny automat. W jednym z hoteli, w którym przebywaliśmy, przynoszono nam śniadanie w kartonie. Martine uważa „ich” opakowania za tak wspaniałe, że jak mówi, mogłaby stać godzinami przed paczką, zanim zdecydowałaby się ją otworzyć. Odłożyła sobie tyle najrozmaitszych pudełek, że jeśli tak dalej pójdzie, wyjadę stąd całkowicie opakowany.

- Popatrz tylko, kochanie, jak to jest opakowane - powiedziała na widok dostarczonej mi do hotelu bielizny.

Rzeczywiście: *laundry*²⁶⁶ przysłała moje koszule w niebieskim kartonie, który zawierał biały papier, przykryty satynowanym papierem, który krył wstążki z zielonego papieru, które opasywały każdą koszulę, a w każdej z nich umieszczony był kawałek szarej tektury (jedyna nieprzyjemna rzecz w tym wszystkim, pewnie wskutek nadużycia krochmalu: koszule były także jak tektura).

Stany Zjednoczone są Królestwem Opakowań. W pewne dni sam pan Lippcott wydawał mi się zapakowany - w plastikowym ochraniaczu na kapeluszu, na pantoflach i na spodniach oraz w płaszczu nieprzemakalnym.

Prawdą jest, że w New Yorku w dzień powszedni o dziewiątej rano Amerykanie i Amerykanki wyglądają jak wyjęci z pudełek: są bardziej czystszy i wyświeżeni niż którykolwiek Europejczyk w niedzielę.

Dla tych czcicieli papieru ukoronowaniem tygodnia jest oczywiście Dzień Pański. W tym dniu Cyrus i jego bliźni nikną dosłownie pod górami papieru (na rodzinę wypada 12 kg niedzielnych gazet), tak że przyszedłszy do nich niespodziewanie któreś niedzieli, nie dostrzegłem ich zrazu. Zastanawiam się w istocie, czy Amerykanie w niedzielę pożerają swe dzienniki, czy też są przez nie pożerani...²⁶⁷

Pochet jest zresztą zbity z tropu. Miał w głowie jakąś Amerykę, ale to wcale nie ta, którą ogląda. Wszyscy Francuzi sądzą - i Pochet również - że przeciętny Amerykanin to człowiek, który:

- a) budzi się z piosenką na szczycie drapacza chmur, zaczyna żuć swoją pierwszą *chewing-gum*²⁶⁸; i robiąc toaletę wpada na jakąś genialną myśl;

²⁶⁵ Nawet pokojówka nie dotyka siedzenia, zmieniając tylko papier, wraz z którym usuwa zarazki.

²⁶⁶ *laundry* - pralnia

²⁶⁷ Warto zaznaczyć, że w tym kraju papieru nigdy nie żądają od was jednej rzeczy: waszych papierów. Można żyć i umrzeć w Stanach Zjednoczonych nie pokazawszy ich ani razu.

²⁶⁸ *chewing-gum* - guma do żucia

- b) nie mając zupełnie czasu pomyśleć o własnym śniadaniu, przygotowuje śniadanie Amerykańskiemu Bóstwu, czyli swojej małżonce;
- c) rzuca się w kierunku pośpiesznej windy, a stąd do swej limuzyny o opływowych kształtach;
- d) goniony przez policjantów na motocyklach, ściga się z wyjątkim pociągiem, aby minąć przejazd kolejowy i przybyć do Exchange Mortgage Company przed Mac'iem, swym współzawodnikiem (w pociągu);
- e) wspina się po schodach, mijając wszystkie hierarchiczne szczeble, i wpada do pokoju szefa, któremu przedstawia swą genialną myśl (z nogami na stole) i od którego natychmiast otrzymuje gorące gratulacje wraz ze stanowiskiem dyrektora fabryki (*self-made man*²⁶⁹);
- f) połyka śniadanie w *drug-store* (niestrawność);
- g) wróciwszy do domu, zmordowany, ale zwycięski, zastaje liścik od swego Bóstwa, które zmęczone wiecznym oczekiwaniem na męża, wyjechało do Reno, aby wystąpić o rozwód z powodu „duchowego okrucieństwa” małżonka;
- h) zostaje nazajutrz zrujnowany przez krach Exchange Mortgage Company, ale - wciąż z uśmiechem - zaczyna od zera jako zwyczajny robotnik u Forda: przyszłość należy do niego.

Otóż nie dzieje się nic w tym rodzaju. Pan Lippcott nigdy nie żuje gumy (przestarzałe). Nigdy też nie przyszlaby mu do głowy dziwaczna myśl, aby minąć skrzyżowanie przy czerwonym świetle...

Panu Pochetowi opowiadano o bezlitosnych gangsterach i o boyach bez wychowania, a oto ogląda on ludzi posłusznych kanonom grzeczności nieskończenie bardziej rygorystycznym niż w jakimkolwiek innym kraju Europy, nawet w moim²⁷⁰.

Mówiono mu, że spotka ludzi prostych i skromnych: tymczasem Lippcottowie uważają, że obraziliby go podając mu tylko owoce na deser; jest już rzeczą prawie niemożliwą znaleźć samochód w jednym kolorze; Martine zaś twierdzi, że Amerykanki mają piękne suknie, tyle tylko, że nie mogą się powstrzymać, aby nie dodać jakiejś małej ozdóbki, która niweczy cały efekt...

Pochet oczekiwał, że zobaczy ludzi rozgorączkowanych, śpieszących się, zabieganych bez przerwy. Spotyka obywateli, którzy opanowali dogłębnie sztukę śpieszenia się powoli, nie biegną nigdy (w fabryce Douglas w Los Angeles widnieją napisy: „Tutaj panuje pośpiech - nie gońcie”) i zawsze muszą mieć czas do namysłu...

Gdy słyszę, jak Pochet rozmawia o interesach z Amerykanami, mam zawsze wrażenie, że wyjechawszy z Paryża, przybył on już do Marsylii, podczas gdy jego rozmówca jest jeszcze w okolicy

269 *self-made man* - człowiek, który się wybił własnymi siłami

²⁷⁰ Nic nie robi na panu Pochet większego wrażenia niż widok trzydziestu Amerykanów stłoczonych w windzie, którzy jakby za naciśnięciem sprężyny zdejmują w tej samej chwili kapelusze, aby przywitać jakąś *girl* (*girl* – dziewczyna) wchodzącą na 24 piętrze. Ale jeszcze bardziej intryguje go rytuał przy stole oraz mechaniczny balet noży i widelców. Jedząc mięso należy: a) wziąć widelec w lewą, a nóż w prawą rękę; b) położyć nóż na brzegu talerza i wziąć widelec w prawą rękę, podczas gdy lewe ramię niknie pod stołem; nakłuć i jeść; c) rozpocząć tę samą operację przy następnym kawałku... Dla Pocheta, który nie potrafiłby powiedzieć dokładnie, co się dzieje z jego nożem i widelcem przy jedzeniu, i który pragnie być panem swej potrawy po lewej i po prawej stronie - cała ta zabawa w cięcie i nakłuwanie nie da się pogodzić ze sztuką dobrego jedzenia. Kiedy dziwił się widząc, jak Amerykanie, a zwłaszcza Amerykanki, obiadują z lewą ręką pod stołem, Major mu wyjaśnił, że zwyczaj ten datuje się od pionierskich czasów, gdy nawet przy jedzeniu trzeba było trzymać rękę na colcie. (W czasie wojny zalecano udającym się w podróż agentom O.S.S. (O.S.S. - Office of Strategic Service - Biuro Służby Strategicznej (komórka wywiadu)), aby będąc we wrogim kraju, pozbywali się tego przyzwyczajenia jak najszybciej...). (Uwaga Tłumacza).

Fontainebleau. *Strange*²⁷¹... ale może i zrozumiałe. Zawsze sądziłem, że niektórzy Anglosasi, a wszyscy Amerykanie mają w głowie żołądek. Jeżeli zatem wymiana myśli wydaje się niekiedy trudniejsza w Ameryce niż w Europie, to dlatego, że każda myśl nietypowa - z wyjątkiem tych, które odpowiadają ustalonymu formatowi i których zarejestrowanie nie sprawia trudności - musi być przefiltrowana, zbadana i przetrawiona.

To tłumaczy pozorną powolność rozruchu. Zdarza się, że żołądek nie przyswaja pokarmu (dość znane zjawisko niestrawności umysłowej). Jednakże gdy żołądek przyswaja - Ameryka przegania wszystkich. Skoro jeden Amerykanin pojął, 166 milionów Amerykanów pojmuje wraz z nim. Powolni indywidualnie, Amerykanie stanowią naród o druzgocącej sile kolektywnej; nie może z nią konkurować żaden inny kraj na świecie. To właśnie zdarzyło się w czasie wojny. Amerykanie nie od razu pojęli, że zjawisko to ich dotyczy, ale gdy pojęli - gra była wygrana. Świat - a przynajmniej ta jego część, która nie bardzo umiała się przyzwyczaić do zaglądania pod łóżko przed zaśnięciem - mógł tym razem spać spokojnie.

²⁷¹ strange - dziwne

XVII. Cocktail-party

Amerykanie, bardzo mało pozostawiający przypadkowi, odkąd przypadek pozwolił odkryć ich kraj, zorganizowali ostatnio między innymi szkołę dla psów i wyprodukowali płyty dla papug.

Nie będę się rozwodził nad Szkołą dla Przyzwoitych Psów, gdzie uczy się nie tylko dobrego zachowania czy powstrzymywania się w towarzystwie (zaleta wrodzona psu brytyjskiemu, jak zapewnia major Thompson), ale również chodzenia równo po ulicy (bez smyczy), właściwego szczekania i noszenia smokingu²⁷². Zwrócę natomiast uwagę na nieoczekiwane zalety płyt dla papug, istotne nie tyle dla samych papug co dla przyjezdnych ludzi.

Gdy Cyrus B. Lippcott powiedział mi, że ćwiczy swoją papugę posługując się płytą, uwierzyłem mu tylko w połowie i pośpieszyłem do sklepu z płytami na Broadwayu, przekonany wewnętrznie, że roześmieją mi się w nos. Co też sprzedawca uczynił, ale nie dlatego, żeby mi chciał dać do zrozumienia, iż pojął mój żart, ale dlatego, że moja prośba wydała mu się równie dziwaczna, co gdybym poprosił o koncert fortepianowy z orkiestrą nie wymieniając kompozytora.

- Mamy 25 płyt dla papug. Którą pan sobie życzy?

²⁷² Zauważmy, że w miastach bez drzew edukacja psów musi być szczególnie troskliwa. Psi rok szkolny odpowiada rokowi uczniowskiemu (październik - maj). Po sześciu miesiącach uczęszczania do obedience-class (obedience class - klasa posłuszeństwa) dobry uczeń-pies otrzymuje dyplom ze złotą pieczęcią i czerwoną wstążką. Złych uczniów wysyła się z miasta i powierza przyjaciom na wsi. Smoking - to jedno z licznych psich ubrań i najnowsza moda u Jankeśów. Wyrabia się także bardzo ładne płaszcze z wielbłądziej sierści, urocze toczki i różnokolorowe płaszcze nieprzemakalne. Trzeba stwierdzić, że w New Yorku poziom życia (psów) jest bardzo wysoki; przyznaje się tu co roku Nagrodę Najelegantszego Psa; psy, żywione wg troskliwie ułożonej diety, mają własne (marmurowe) bary na Fifth Avenue (przy rogu 46-tej Ulicy), swoje karty wizytowe, swoich fryzjerów; na próżno szukać by tu można owych zaniedbanych bezdomnych kundłów, od których roi się na Starym Kontynencie.



Płyty dla papug są bardzo cenione w USA. Oto okładka płyty z „wyrażeniami romantycznymi”, która jest przeznaczona dla edukacji papug, ale którą autor postawił się dla własnej edukacji.

Aby dodać sobie kontenansu, udałem, że wybieram płytę z paczki, którą mi podał. Wtedy zgłębiłem całe zagadnienie. Nie ma dymu bez ognia: jeżeli w Stanach Zjednoczonych jest tyle płyt dla papug, to znaczy, że papugi muszą być w powietrzu.

Odkąd od paru dni przebywam w Stanach Zjednoczonych, nadziwić się nie mogę, jak bardzo stają się papugą. Słuchając przez cały dzień tych samych formułek, zaczyna się ich samemu nieświadomie używać. Cóż to za formułki? Aby odpowiedzieć na to pytanie, uzbroiłem się na cały jeden dzień w kieszonkowy magnetofon. Wieczorem podsumowałem wyrażenia zarejestrowane najczęściej na taśmie. Nie mówiąc o nieustannym *Glad to meet you*²⁷³... *Hope to see you again*²⁷⁴... trudno byłoby, z powodu braku miejsca, podać tu wyczerpującą listę około 50 formułek, z których pomocą można przejechać Stany Zjednoczone (*lovely*²⁷⁵, *darling*, *relax*²⁷⁶, *check!*²⁷⁷, *Nuts!*²⁷⁸, *O.K.!*, *wonderful!*²⁷⁹ *fine*²⁸⁰, *efficient*²⁸¹, *fabulous*²⁸², *gorgeous*²⁸³ - oto słówka używane najczęściej²⁸⁴.

²⁷³ glad to meet you - miło mi pana poznać

²⁷⁴ hope to see you again - mam nadzieję zobaczyć pana znowu

²⁷⁵ lovely - urocze

²⁷⁶ relax - odprężenie

²⁷⁷ check! - w porządku, zgoda

²⁷⁸ Nuts! - bzdura

²⁷⁹ wonderful - cudowny

²⁸⁰ fine - doskonały

²⁸¹ efficient - wydajny

²⁸² fabulous - bajeczny

²⁸³ gorgeous - wspaniały

I jak tu mieć w małym palcu i nauczyć się poprawnie wymawiać ten *pocket-vocabulary*?²⁸⁵

Cyrus Lippcott naprowadził mnie na właściwą drogę, dając za przykład papugi. Ileż czasu można zyskać dzięki tej metodzie! Rzeczywiście, aby zebrać samemu rozliczne formułki amerykańskiego języka, trzeba by stracić cenne godziny i ryzykować, że się wiele z nich zapomni. Płyta dla papugi reprodukuje natomiast wiernie wszystkie zasadnicze zwroty, wyszeptując je po dziesięć razy uroczym głosem, nieco przesłodzonym, ale wyraźnym. Mówiąc nawiasem, edukacja papugi jest tysiąc razy szybsza od edukacji ucznia: papuga musi się z miejsca przystosować do panujących obyczajów, tak aby w towarzystwie nie mówiła byle czego. Nie trzeba tracić całych lat, aby uświadomić ją, jak zachowuje się słonecznik lub jaką rolę odegrał Perykles w starożytności. Można od pierwszej klasy płyty (*social contacts*²⁸⁶) nauczyć ją, jak rozmawiać w towarzystwie.

Oto dlaczego, zamieniwszy się samemu w papugę, nauczyłem się więcej w czasie jednej *parakeet-lesson*²⁸⁷ (pod kierownictwem Allena B. Jacobsa, płyta na 78 obrotów) niż przez miesiąc nagrywania rozmów na taśmę magnetofonową. W drugim roku studiów, który przechodzą papugi czterdziestotrzyletnie (mój wiek!), przeszedłem do *romantic vocabulary*²⁸⁸, czyli:

Hi babe! (Serwus, dziecino!)²⁸⁹.

*Hello, sweetheart!*²⁹⁰ (To na pewno wszyscy rozumieją).

*Gosh! You are cute*²⁹¹! (U diabła! Jesteś fantastyczny).

How about a date? (Co powiedziałaś o randce?)

Po ośmiu dniach treningu byłem całkowicie gotów.

Gotów do swobodnego spacerowania po amerykańskim świecie. Gotów przede wszystkim stawić czoło tej strasznej instytucji, jaką jest *party*. Dla potomków owych kolonistów złaknionych wielkich przestrzeni i samotności, którzy przebywali ocean, aby uciec od wielkiego świata i jego przepychu, dla potomków tych ludzi najpilniejszą potrzebą codziennego życia jest spotkanie się w przegrzanym pokoju, gdzie nie mogą ani się porozumieć, ani oddychać i gdzie oddają się najbardziej uświęconemu w U. S. kultowi, który zwie się cocktail.

²⁸⁴ Amerykanie to najwięksi pożeracze formułek *in the world*. Mówią formułkami, jedzą formułki, piszą z zagranicy za pomocą formułek (formułka nr 1: *Wish you were here!* (*wish you were here* - *chciałbym, żeby pan tu był*)), składają wam życzenia urodzinowe za pomocą formularzy telegraficznych nr 4 towarzystwa Western Union.

²⁸⁵ *pocket-vocabulary* - słownik kieszonkowy

²⁸⁶ *social contacts* - kontakty towarzyskie

²⁸⁷ *parakeet-lesson* - lekcja dla papug

²⁸⁸ *romantic vocabulary* - słownictwo romantyczne

²⁸⁹ Amerykanie są mistrzami skrótów. *Hi* (wymawiaj Haj!) jest ostatecznym skrótem od *How are you?* (how are you - jak się pan ma) które stało się *Hi-ya*, aby w końcu sprowadzić się do dwóch liter. W kraju, w którym Dwight D. Eisenhower wymawia się „Ike”, Stevenson - „Steve”, a Cyrus B. Lippcott - „Cy”, Montesquieu staje się „Monti” albo „Tikiu”.

²⁹⁰ *hello, sweetheart!* - halo, kochanie

²⁹¹ *Cute* może być kapeluszyk, sukienka, naszyjnik, pies, samochód, dziewczyna, statek.



W czasie jednego z amerykańskich cocktail-party Major uległ balwercynacji...

Amerykańskie *party* organizowane jest obojętnie dla kogo, z obojętnie jakiego powodu: z racji powitania jakiejś księżniczki, przybycia jakiegoś pisarza czy chwilowego pobytu w mieście kuzynki z Detroit. Party pozwala wam spotkać wielu ludzi, z którymi oczywiście nie sposób mówić, ale z którymi można się zawsze umówić na następny dzień. W który to dzień wasz rozmówca, pewien, że zdyskredytowałby się zapraszając tylko was, zaprosi na waszą cześć kilku przyjaciół na *party*. Jest to więc zaczarowany krąg, tylko że nikt nie ma ochoty z niego się wydobyć.

Party, dość podobne do cocktailu paryskiego, choć nieskończenie bardziej powszednie i rytualne, bardziej *formal*²⁹² - w niczym nie przypomina cocktailu londyńskiego; oto jeszcze jeden kontrast między tymi dwoma krajami. Angielskie życie jest właściwie gigantycznym bałem maskowym, na którym ludzie skrywają przed wami swoje uczucia, numer domu, w którym mieszkają, przyzwyczajenia, majątek, zmartwienia, talenty, osiągnięcia, a nawet nazwisko (jest rzeczą prawie niemożliwą, aby na londyńskim cocktailu wiedzieć, z kim ma się do czynienia).

Ameryka zaś, przeciwnie, to gigantyczny dom ze szkła, w którym pokazuje się wszystko czarno na białym: sukcesy, majątek, *hobbies*²⁹³, a ponad wszystko nazwisko. Nasz przyjaciel Cyrus przepada za „konwencjami”²⁹⁴, na których przechadza się jak uczeń wysłany na kolonie letnie z nazwiskiem (i

²⁹² formal - formalne

²⁹³ hobby (l. mn.: hobbies) - ulubione zajęcie, „konik”

²⁹⁴ Convention - wielkie spotkanie gromadzące w jednym lub kilku domach danego miasta członków jakiegoś stowarzyszenia, partii, korporacji, rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych.

nazwą stanu, w którym mieszka) na klapie marynarki. Aby uniknąć wszelkich nieporozumień, istnieje zwyczaj, że pani domu poprzedza nazwisko przedstawianej osoby kilkoma dyskretnymi informacjami:

- Pozwoli pan przedstawić sobie znanego zawodnika, który przebiegł 220 jardów w 20 sekund i 2/10, pana Melwina Sama Holgersona.

A oto zarejestrowane na taśmie magnetofonowej (*high fidelity*²⁹⁵) tło dźwiękowe pewnego cocktail-party w New Yorku, 696 Fifth Avenue, między siedemnastą trzydzieści a dziewiętnastą. Na sali było kilku Francuzów; łatwo dawali się rozpoznać po tym, że wszystkie wypowiedziane przez nich zdania zawierały co najmniej jedno „oni” lub „ich”.

«*Glad to meet you!... Isn't that cute?*²⁹⁶... Ale niech pan weźmie pod uwagę, że New York to nie cała Ameryka... Powinien pan pojechać na Zachód... Czy mogę panu przedstawić Mr. Thaddeus Apfelbaum... of Apfelbaum, Birbenstodk and Co... *Glad to see you!*²⁹⁷... Jeżeli pojedzie pan do Los Angeles, niech pan koniecznie odwiedzi w moim imieniu państwa DeWitte Clinton; to uroczy ludzie i znają wszystkich; dam panu słówko do nich... *Hope to see you again*... To nie jest kraj, to jest cały kontynent. Niech pan weźmie ich pociągi - spędza pan cały dzień w wagonie i jeszcze jest pan w Stanach. Spędza pan całą noc - i jeszcze jest pan w Stanach. Siedzi pan następnego dzień i jest pan wciąż... *Hi babe!*... Mówię wam: za trzy lata wszystko będzie skończone; ona zrobiła to jedynie dla ambicji... Ależ to snoby!... Pozwólcie, że wam przedstawię panią Mildred McPherson z Columbia Broadcastinig System... Czy nie uważa pan, że on jest trochę podobny do króla Faruka? ...Jeżeli pojedzie pan do Chicago, niech pan koniecznie odwiedzi w moim imieniu Fergusonów; przyjmą pana nadzwyczajnie i znają wszystkich, dam panu słówko... Nie, oni nie są głupi, to po prostu wielkie dzieci... Może pan mówić, co pan chce, ale moglibyśmy brać z nich przykład w wielu sprawach, weźmy chociażby ich prysznic; otóż dziś rano, nie uwierzy pan, Alfredzie... *You are welcome!*²⁹⁸ ... A Murzyni? Czy pomyślał pan kiedyś poważnie o problemie murzyńskim?... Osobiście nie uważam, żeby była taka ładna... To potrwa sześć miesięcy... Trzeba koniecznie pojechać do Las Vegas!..” Czy wie pan, co bym zrobił będąc na pańskim miejscu? Wynająłbym samochód...

Glad to meet you!... Uwielbiam murzyńskie dzieci, są rozkoszne... Gdyby pan był Amerykaninem, mówiłby pan inaczej... Wie pani, ona jest z bardzo dobrej rodziny, jej matka była Cabot... *Hi!*... Paryż, ach, Paryż... *Lovely City*²⁹⁹... Tak, ale Mendes-France nie chciał... Powinien pan pojechać do San Francisco... *Relax!*... Myślałem, że się rozwiódł... Gdybym był na pańskim miejscu, pojechałbym autobusem, tam można rozmawiać z ludźmi... *Gorgeous!*... Myślałem, że są w Meksyku... Daję im najwyżej sześć miesięcy... Nigdy bym o niej tego nie pomyślał... Pogadamy za rok... *Check!*... Czy pan sobie zdaje sprawę, że znajduje się pan na tej samej szerokości co Madryt?... Ależ oni są bliżsi Rosjanom, niż można by przypuszczać... Jeżeli nie widział Pan Kansas City, nie widział pan nic... Znalazłam to u Saksa dziś rano za dwa i pół dolara, tanio, prawda?... Chińczycy nie pójdą na to, zobaczy pan... *Glad to see you*... Czy Francja naprawdę stała się komunistyczna?... *What about a date?*... W gruncie rzeczy to jest bardzo prowincjonalne... New York? Ależ zobaczy pani, to Psia Wólka... Okropnie śmieszne te ich wieczorowe suknie... Zgoda, ale mają bardzo ładne sportowe sukienki... Bułganin nigdy nie przyjedzie... Oni są bardzo silni... Czy słyszał pan o nowej bombie U?...

²⁹⁵ high fidelity - bardzo wierne nagranie

²⁹⁶ isn't that cute? - czy to nie fantastyczne?

²⁹⁷ glad to see you - cieszę się, że pana widzę

²⁹⁸ you are welcome - witamy

²⁹⁹ lovely city - urocze miasto

Ona jest doskonała, ale wolę ją w „*Cute Lady*”... Aby poznać ich naprawdę, trzeba pożyć w Middlewest... Powinien pan pojechać do Oklahomy... Nie! do Sioux City! Tak, Sioux City... Chodzą do psychoanalityka przy każdej okazji... Dzieci to królowie... Ja wolę z orlonu... Jeżeli pojedzie pan do Seattle, dam panu słówko do Chandler-Lewisa: znają wszystkich i z nimi... Kiedy ma się przed sobą masę 300 milionów mieszkańców... Jeżeli nie widział pan Dallas, nic pan nie widział... Przyjechali wczoraj... Le Duc też tu jest... Odjechali dziś rano... Najlepsze ze wszystkiego są ich *ice-creams*³⁰⁰... Czy to jest jego żona... Idziemy tam jutro... Jak długo pan zostaje? Jeżeli pojedzie pan do Kansas City, niech pan przede wszystkim pójdzie do Coleridge Juniora; stary jest zupełnie zniedołężniały, to bratanek robi wszystko... Niech pan po prostu pojedzie pociągiem... A najlepsze, że nie musi pani nawet wycierać talerzy... Mówię panu, że za sześć miesięcy rozwiodą się... Całkiem po prostu zabiła go... Dam panu radę: niech pan jedzie samolotem...»

Gdy znalazłem się znów sam na ulicy, mój przepracowany mózg był rojem twarzy, formułek, brzęczących pojęć, które potraçały się z piekielnym hałasem. Major zniknął. Pochetowie poszli do Lippcottów. Padał deszcz. Poczułem się nagle strasznie samotnie, tak jak można czuć się samotnie w mieście składającym się z ośmiu milionów ludzi, których zbliżyło na chwilę osiemset *parties*. Autobus czy pociąg? Sioux City czy Baltimore? Czy należy zobaczyć DeWitte Clintonów, Mac Clutchów czy Pattersonów...

Co robić? Obym tylko zdołał odnaleźć te wszystkie nazwiska zapisane w pośpiechu! Co prawda nazwiska... Nigdy nie miałem szczęścia do nazwisk. Jeżeli pojedę do Los Angeles, licząc głównie na DeWitte Clintonów, pewien jestem, że przybywszy na miejsce, dowiem się, że DeWitte Clintonowie przestali się liczyć... Trzeba było pójść do Ashburnów... Gdy mi się mówi:

„Jeżeli będzie pan zwiedzać Zakłady Chryslera w Detroit, niech pan zobaczy się z Billem Richardsonem... to jest prawa ręka szefa: od niego zależy wszystko”...

... spostrzegam, przybywszy do Detroit, że szef stracił swoją prawą rękę przed dwoma laty. Portier ma nawet kłopoty ze znalezieniem nazwiska na liście pracowników. I

- Powiedział pan BILL Richardson?

To mu wyraźnie nic nie mówi... Ah! jednak! Oto on!

- RICHARDSON (Bill)... Kieruje oddziałem okuć... Wyjdzie pan stąd, to będzie pierwsza ulica na lewo, potem skręci pan w prawo...

Gosh! Isn't that cute?... Nuts!

³⁰⁰ ice-cream - lody

XVIII. Jak spać z otwartymi oczami?

Nudzenie się nie jest wcale najprzykryjszą rzeczą w życiu. Najprzykryjsze to kiedy trzeba udawać, że się bawi. Na przykład kolacje. Okropne kolacje, w czasie których trzeba mówić i trzeba lśnić. Wiedzieć, kto jest kim, co komu powiedzieć, co na co odpowiedzieć. Na białym kartoniku leżącym na kieliszku usiłujecie odczytać nazwisko Wannamaker-Baxter... Mówicie sobie: to nafta... A to - elektryczność... Ach! Te kolacje, na których trzeba wygłaszać swoje zdanie o Pentagonie, Eisenhowerze, poujadystach, Suezie, Chinach...

Co robić?

Amerykanie podali mi sposób. Jest rzeczą normalną, że w kraju, w którym człowiek nie umiejący żyć publicznie skazany jest na ostracyzm, wymyślono pewnego dnia coś, co pozwala ludziom spać na stojąco, a przy tym wyglądać trzeźwo.

Długie doświadczenie nauczyło mnie, że nuda zaczyna się od nóg. Kiedy człowiek jest szczęśliwy, kiedy żyje bez napięcia, nie myśli o nogach. Kładzie je byle gdzie, byle jak. Może się nawet w nie podrapać - co za rozkosz! W czasie kolacji, przynajmniej w czasie tutejszych kolacji, nogi pierwsze puchną z nudów. Podobnie, ale trochę wyżej, sztywnieją biodra, głowa zaczyna się chwiać, powieki ciężą. Ogłuszeni hałasem, szczękiem nakryć i szczękiem szczęk („Nie skosztuje pan jeszcze?... To wszystko, co jest...”), piłowani przez nudziarzy („Dużo był pan ostatnio?...”), czujecie, jak ogarnia was nieprzewyciężone odrętwienie, i tonąc w półświadomości, śnicie o tej ziemi dalekiej, a zarazem bliskiej, choć nieosiągalnej, o owym raj, z którego przegnany jest krawat i gdzie można chodzić boso po dywanie, a nawet wetknąć nos w poduszkę - o waszym domu. Och! Jakże niekiedy o dziewiątej wieczór wydaje się daleka godzina pierwsza! Trzeba będzie jeszcze przebywać Ural, mijać Syberię, dyskutować z Mao Tse-tungiem, wydawać sąd o Rainierze, gubić się w labiryncie powiązań... Niedawno w Waszyngtonie w czasie przyjęcia jakiś pan opowiadał, jak przed dwudziestu laty na plaży w Atlantic City kupił Grace Kelly cukierka. Chciałem uszczknąć kawałek, ale byłem daleko; mój sąsiad przyparł mnie do Grenlandii. „Czy myśli pan, że można to mimo wszystko tolerować?” - pytał mnie, a ja mówiłem: „Ależ!”; on podejmował: „To zupełnie jak z Madagaskarem”; i oddalając się od Grace Kelly, musiałem udać się do Tananarive.

Do tej pory - to znaczy dopóki nie zasięgnąłem rady Cyrusa B. Lippcotta - stosowałem metodę dość prymitywną, skuteczną, ale nieraz niebezpieczną. Pozwalałem się powoli otępić konwersacją sąsiada. Po co mówić? On to robi tak dobrze! Jak łatwo dostrzeżliście, mam na myśli jednego z tych oszołamiających ludzi, którzy przechodzą od Montherlanta do Guy Molleta poprzez Biały Dom, nie zapomniawszy o aluzji do NATO i UNESCO. Z takimi ludźmi należy postępować jak z zegarkiem: nakręcać. Najlepsze słowa-klucze do nakręcania to: „Całkiem słusznie...” albo „Oczywiście!” Zwyczajne „Myśli pan, naprawdę?” lub proste „Ach, ba...”, albo też „Moim zdaniem to mało prawdopodobne” działają również bardzo dobrze.

Gdy chce się mędrkować, można zaryzykować jakieś „Nie poszedłbym może tak daleko, ale...”, aczkolwiek zwykłe „Ach, ma pan zupełną rację!” napełni radością człowieka- -lokomotywę i pchnie go naprzód. A wy możecie wówczas zjeść spokojnie kawałek kury na zimno.

Jedyna zła strona tej metody, to kiedy zauważycie nagle, że coś się nie zgadza. Pociąg stanął. Spostrzegacie, że postawiono wam pytanie i oczekuje się od was nie tylko przytakującego chrząknięcia, ale precyzyjnej odpowiedzi. Powiedzieliście właśnie: „Moim zdaniem to mało prawdopodobne”, sądząc, że podzielacie zdanie swego rozmówcy, a stwierdzacie poniewczasie, że pytał was, czy jesteście kawalerem. To trochę żenujące.

W początkach mojej podróży po Stanach Zjednoczonych takie katastrofy zdarzały mi się tym częściej, że kakofoniczne brzęczenie moich rozmówców było całkiem niezrozumiałe. I tak na przykład w czasie pewnego przyjęcia w Bostonie, kiedy odbyłem już dość daleką drogę posługując się: „Tak”, „Nie”, „Bez wątpienia”, „Ale”, a także „Niewiarygodne”, stwierdziłem stanowczo, że „Nigdy bym w to nie uwierzył”. Wtedy nagle zorientowałem się, że pytają mnie, czy urodziłem się w Paryżu...

To był mój koniec.

Kiedy opowiedziałem tę przygodę Cyrusowi Lippcott, doradził mi zastosować cudowne okulary, które pozwalają nigdy nie sprawiać wrażenia znudzonego. Opatentowane i lansowane w handlu przez firmę H. Gardner z Ossining (stan New York), okulary te, zwane *Refuge-Specs*³⁰¹, miały odmienić moje życie. Mając je na oczach można nie mówić nic, tak dalece wywołują na rozmówcy wrażenie, że się chłonie jego słowa; można całkiem śmiało spać, uchodząc za człowieka najbardziej urzeczonego w świecie.

Jak zapewne zgadliście, są to po prostu inne oczy, oczy wymalowane wraz z powiekami i rzęsami; nie tylko dorównują rzeczywistym, ale często je przewyższają. Dwie małe dziurki w miejscu, gdzie są źrenice, pozwalają wam od czasu do czasu rzucić na sytuację prawdziwym okiem. „*Nap politely, yet look alert, at the Opera, in conferences or dinner-parties*” (Możecie zdrzemnąć się grzecznie, wyglądając, jak byście czuwali - w Operze, na odczytach, na przyjęciach) - mówi prospekt... Możecie oczywiście sami wybrać model, który odpowiada wam najbardziej i który najlepiej pasuje do waszej osoby. „*Select the suitable personality*”³⁰² - zaznacza notatka wyjaśniająca; są w niej wymienione trzy podstawowe osobowości:

- 1) *Cool, intellectual* (chłodny, intelektualny),
- 2) *Eager beaver* (facet zachłanny)
- 3) *Shy, demure* (nieśmiały, z rezerwą).

Każdy model ma swoje dobre strony. Pragnącym spokojnie spać w teatrze lub w czasie odczytu poleciłbym szczególnie okulary *cool, intellectual*. Natomiast okulary *eager beaver* - para wytrzeszczonych, łakomych oczu - pozwoliły mi wysiedzieć na wykładzie o Międzynarodowym Funduszu Monetarnym, który w innych warunkach poraziłby mnie zupełnie. Najlepiej, moim zdaniem, uzbroić się we wszystkie trzy pary - na dłuższą metę wasz rozmówca będzie zdumiony, że stoi w obliczu tak uporczywego spojrzenia. Korzystając z owej chwili, gdy ludzie zdejmują okulary, aby potrzeć powieki, zamienicie niebałym ruchem *Eager beaver* na *Shy, demure*.

³⁰¹ *refuge-specs* - okulary-schronienie

³⁰² *select the suitable personality* - wybierz odpowiednią osobowość

Okulary „zawsze szeroko otwartymi oczami” to w gruncie rzeczy tylko jedna z tysiąca i jednej odpowiedzi na „Jak?”, które eksperci amerykańscy składają co dnia w księgarniach: „Jak zdobywać przyjaciół?”, „Jak żyć samotnie?”, „Jak sprzedawać i kupować?” i „Jak zdobyć zaufanie małżonka?”.

Nie ma „Jak”, które wymknęłyby się uwadze amerykańskich specjalistów. Błyskawiczna odpowiedź na pytanie: „Jak spać z otwartymi oczami?”, dowodzi tylko, że w tym kraju, w którym dokonuje się cudów, aby się rozerwać, w powietrzu czai się niekiedy nuda. Wystarczy zatrzymać się kilka dni w jakimś typowo amerykańskim małym mieście jak Decatur (Alabama), które przypomina w zadziwiający sposób Du Quoin (Illinois) lub Coeur d'Alene (Idaho), z jego *Main Street*³⁰³, z jego *National Bank* o neogreckim perystylu, z jego Klubem Pań, *Ligget's Drug Store, Town Hall*³⁰⁴, *super-market*³⁰⁵, ze świątynią metodystów - aby pojąć, że życie w Stanach Zjednoczonych nie zawsze jest szalone. Tłumaczy to częściowo powodzenie prelegentów w tym kraju. Zwłaszcza zaś prelegentów z zagranicy, gdyż słowa przybysza z daleka otoczone są zawsze aureolą wyjątkowego szacunku. Gdy jakiś Norweg, Anglik czy Francuz wyląduje w zimowy wieczór w Des Moines (Iowa), może być pewien, że będzie miał komplet na sali. Obojętne, czy jest badaczem, misjonarzem, przemysłowcem, nurkiem, pisarzem czy kolejarzem - dla członkiń Klubu Pań reprezentuje on temat do rozmów, okazję do wyjścia z domu, coś odmiennego od telewizji i kina.

Temat jest mało ważny, jak tego dowodzi następująca wielce autentyczna historia. Major Thompson ma w Bostonie dziwnego sobowtóra w postaci pułkownika R. V. C. Bodleya, byłego oficera Armii Indyjskiej, ożenionego z Amerykanką i zamieszkałego przy 41, Brimmer Street. Otóż ten rodak Majora wegetował przed kilku laty w USA, gdzie zaprowadziły go wypadki życiowe. Aby osiągnąć powodzenie, szukał, jak wiele ludzi, jakiegoś pomysłu. Ponieważ dar słowa nie był mu obcy, pułkownik poradził mu wygłaszać odczyty.

- Zgoda. Ale o czym?

- To nie ma znaczenia - rzeki pułkownik.

I gdy przechodzili przed kościołem:

- O! Czemu by nie o dzwonach?

- Dzwony! Ale... ja nie mam pojęcia o dzwonach!

- Tym lepiej! Niech się pan poinformuje, po czym będzie pan mówił o tym, czego się pan dowiedział.

Przyjaciel pułkownika, idąc za jego radą, rzucił się na *Encyclopedia Britannica*. Po godzinie wiedział więcej na temat dzwonów niż wy, ja czy jakikolwiek obywatel amerykański. Spostrzegł, że można bardzo wiele powiedzieć o dzwonach, dzwoneczkach, dzwonnicach i dzwonnikach, począwszy od pierwszego dzwonu chińskiego aż do Big Ben, poprzez dzwonki na łąkach i dzwonko śledzia na talerzu. Dzisiaj byłby on w stanie napisać nowe „Jak”, mianowicie: „Jak osiągnąć w życiu powodzenie dzięki dzwonom?”. Gdyż dzięki dzwonom człowiek ten zrobił w Stanach Zjednoczonych majątek. Otrzymując zrazu po 15 dolarów, a obecnie po 300 dolarów za odczyt, jeździ od miasta do miasta i rok w rok wyciąga do dziesięciu tysięcy dolarów, co jak na dzwony nie jest źle. Zauważmy

³⁰³ Main Street - główna ulica

³⁰⁴ Town Hall - ratusz

³⁰⁵ super-market - wielki magazyn samoobsługowy

przy tym, że dzwon jako taki ma liczne dobre strony. Można bowiem zrobić jakąś osobistą aluzję do miejscowego dzwonu (zawsze jest jakiś dzwon w miasteczku, choćby dzwonek w szkole).

- Cieszy mnie wyjątkowo - mówi wykładowca do swego audytorium - że mogę mówić tego wieczora o dzwonach, gdyż dzwon w waszym kościele (w waszej remizie strażackiej, w waszym *Town-Hall*) ma dźwięk niepodobny do żadnego...

I od razu zdobywa sympatię pań z *Women's Club*³⁰⁶, które stanowią najpewniejszą ostoję amerykańskiego audytorium, łaknącego zawsze wiedzy o czymś nowym - obojętne o czym.

Nie mogę przysiąc, czy na sali nie znajduje się pewna ilość milczących mężów, którzy zmuszeni towarzyszyć swoim małżonkom, używają sławnych *Refuge-Specs*, ale to nie ma znaczenia. W Pascagoula (Missisipi) będzie się mówić o dzwonach co najmniej przez osiem dni. To jest *nice conversation piece*³⁰⁷.

³⁰⁶ Women's Club - Klub Kobiet

³⁰⁷ nice conversation piece - miły przedmiot rozmowy

XIX. Ameryka w jednym zdaniu

Gdy wróciłem ze Stanów Zjednoczonych do Paryża, oświadczyłem swemu wydawcy:

- Zdaje się, że - zważywszy wszystko - mógłbym streścić Amerykę w jednym zdaniu.

Mimo doniosłości tego oświadczenia, mój wydawca, mówiąc szczerze, nie wydawał się wcale zachwycony. Zwięzłość bywa często zbawienną rzeczą, ale gdy autor wraca z podróży wynoszącej 20 000 km i oświadcza, że wszystko to można opisać w trzech liniach, nie spotyka się zazwyczaj z przychylnym spojrzeniem literackiego kierownika. I mimo że aby złowić to zdanie, musiałem udać się do Salt Lake City (Utah), czyli o 9 800 km od Notre-Dame, memu wydawcy wydało się ono zbyt drogie.

- Nie może mi pan tego zrobić - powiedział. - Albo... niech pan tam wraca!

Spląciłem więc wydawnictwo dorzucając około 80 000 słów, ale moja opinia nie zmieniła się - cała Ameryka streszcza się dla mnie w zdaniu, które usłyszałem pewnego ranka w hotelu „Utah” w Salt Lake City. Poprosiłem, aby mnie obudzono o siódmej rano. O oznaczonej godzinie zabrzmiał dzwonek telefonu. I do moich uszu dociera boski głosik amerykańskiej telefonistki, głosik uformowany w Szkole Głosów przed zwierciadłem uprzejmości (dyplom w trzy miesiące), głosik nacechowany sex-appealem, słodyczą, czystością tonu:

- *Good morning, Mister Denajnos! It's seven o'clock! I hope you enjoyed your sleep! Weather is nice and temperature 36° Fahrenheit. Thank you!* (Dzień dobry panu, panie Daininos! Wybiła siódma godzina! Mam nadzieję, że spał pan dobrze. Pogoda jest ładna, temperatura powietrza 36° Fahrenheita. Dziękuję!

Te dwadzieścia dwa słowa to Ameryka w pastylce. Po pierwsze - moje nazwisko. O uroczą telefonistko, jakże świetnie nauczyłaś się je wymawiać! W anonimowym pokoju na czternastym piętrze amerykańskiego hotelu, gdzie znajdowałem się sam na sam z Biblią, *Telephone Directory*³⁰⁸ i dalekim wyciem lokomotyw Western Pacific, twój modulowany głos pozwalał w siności poranka rozbrzmiewać słowom jak małym dzwonom: *...ning!... nos!... clock... joy!... nice!... kyout!...* Podobne słowa powiedziałaś Pochetowi i on także przestał czuć się samotnie w tej krainie Mormonów. Gościńska Ameryka uśmiechnęła się do niego twoim głosem. Wdzięcznie zaprasza go do życia.

Good morning, Mister Pochett!

Tego ranka, w pośrodku 166 milionów dusz, w kraju rekordów i *struggle for life*³⁰⁹, natchnęłaś go siłą wypowiadając jego nazwisko. Pochet w Salt Lake City nie jest byle kim: jest panem Pochet; wiesz, że jest Francuzem, że lubi wino i Folies Berg&re, że ma odznakę Legii Honorowej i że wieża Eiffla - to troszeczkę on.

Amerykanie uprawiają nazwiska jak my ziemniaki. Gdy Pan Pochet przybywa do hotelu, wypisuje swoje nazwisko na karcie meldunkowej. Wówczas portier, który urnie znakomicie czytać do góry nogami, chwyta to nazwisko; odtąd nie opuści ono Pocheta: *Good morning, Mister Pochett... You are*

³⁰⁸ Telephone Directory - książka telefoniczna

³⁰⁹ struggle for life - walka o życie

welcome, Mister Pochett! Gdyby Pochet nazywał się Mavrocordato lub De Strumpf-Quichelier - refleks działałby w ten sam sposób. Amerykanie to *name-catchers*³¹⁰, a ci, których zawód polega na utrzymywaniu kontaktu z publicznością, mają szczególne zdolności do tej dyscypliny sportowej. Chwytają najbardziej przerażające nazwiska jak łowcy motyli, natychmiast zapisują je w pamięci, głaszczą je, ogrzewają i podają je wam rozkwitłe, jak by to było ich najdroższe dziecko³¹¹.

Jeden z wielkich amerykańskich mistrzów życia, Dale Carnegie, zwraca uwagę w swym brewiarzu („Jak zdobywać przyjaciół i mieć powodzenie w życiu?”) na znaczenie nazwiska. Przytacza on rewelacyjne przypadki osób, którym powiodło się w życiu po prostu dlatego, że umiały wymawiać nazwiska przyjemnie, z uśmiechem, stwarzając w ten sposób klimat zaufania.

Kiedy stewardessa towarzystwa TWA, zmuszona obsługiwać pięćdziesięciu siedmiu pasażerów, pyta pana Pochet - którego oczywiście nie znała dziesięć minut przedtem i którego nie zobaczy nigdy potem: „Czy życzy pan sobie kawy, Mister Pochett?” - odnosi on miłe wrażenie, że nie przestaje być panem Pochet nawet na wysokości 18 000 stóp ponad Doliną Śmierci, gdy czuje się zagubiony w ogromie tego kontynentu, na którym nie więcej niż sto lat temu Czerwone Twarze wymachiwały tomahawkami wokół oskałpowanych ofiar. Pieści go tym nazwiskiem, wydobywa je w dwóch sylabach z otchłani niepamięci i pozwala uczynić mu krok na drodze do sławy.

Dlatego zapewne Stany Zjednoczone są dla mnie piekłem; najważniejszą rzeczą jest tu zapamiętywanie nazwisk ludzi, których się wam przedstawia, a niczego bardziej nie zapominam niż nazwisk osób, które mi właśnie przedstawiono, chyba że są to nazwiska ludzi, których już znam, jak na przykład moje.

I hope you enjoyed your sleep...

O telefonistko moich snów, jakże słodki jest twój głos, gdy wymawiasz *enjoy!* Nieomal gotów byłbym poprosić, abyś weszła do mnie, ale nie, to nie mieściłoby się w normie, to nie byłoby po amerykańsku... Tak, „*enjoyowałem*” swój sen. Tutaj „*enjoyuje*” się wszystko: dobrze przespaną noc, mile spędzony wieczór, dobre whisky, przyjemne wakacje, dobre party, dobre łóżko³¹². Twoja uprzedzająca grzeczność wzrusza mnie. Ty jesteś głosem Ameryki, głosem tego Królestwa Uprzejmości, gdzie przez cały dzień rozbrzmiewa *Glad to meet you! i You're welcome!*

Oczywiście, w całym świecie ludzie mówią wam, że radzi są was powitać. Ale Amerykanie wydają się być naprawdę z tego radzi. Gdy my mówimy: „Bardzo nam miło”, moglibyśmy równie dobrze powiedzieć: „Proszę przyjąć wyrazy współczucia” lub „Do zobaczenia niezadługo”. W każdym razie nie myślimy ani przez chwilę, że jest nam miło; i tak znamy dosyć ludzi. Tutaj jest akurat przeciwnie:

³¹⁰ name-catchers - łowcy nazwisk

³¹¹ We wszystkich amerykańskich urzędach, w bankach, na dworcach, w towarzystwach okrętowych, a nawet w windach wielkich magazynów widnieje wizytówka urzędnika w oprawce ze skóry lub metalu. Kupując w Panamerican Airways bilet do Miami, nie zwracacie się do anonima, ale do Mr. A. W. S. Pegrama; Mr. J. H. Murchison sprzedaje wam na poczcie znaczek za 15 centów.

³¹² Małe dziełko, opublikowane w czasie wojny dla żołnierzy-kobiet, udzielało *Women's Army Corps* (Women's Army Corps - Kobięcy Korpus Wojskowy) rad, jak mają się zachować w kraju nieprzyjacielskim czy okupowanym, gdyby napastowali je zbyt przedsiębiorczy mężczyźni. Dziełko kończy się następującym zdaniem: „Jeżeli nie jesteś w stanie uniknąć natarczywości, *just relax and enjoy!* (just relax and enjoy - odpręż się i korzystaj)

ludzie są naprawdę szczęśliwi, gdy was poznają; wydaje się, że oczekiwali na tę błogostawioną chwilę od dziesięciu lat. Jasne oczy patrzą w wasze oczy, uśmiech opromienia twarz waszego rozmówcy, gorący uścisk dłoni pieczętuje tę podniosłą chwilę: *Glad to meet you!*

Trzeba brać udział w tym ogólnym radosnym ruchu: jeżeli ma się ponurą minę, nie uśmiecha się do dnia, który wschodzi, do osoby, którą się spotyka, do zadania, które was czeka - to jest się wówczas „nie-Amerykaninem” (*un-American*). Napisy KEEP SMILING³¹³ przywołują was wszędzie do porządku. Zachowaj uśmiech!³¹⁴. Trzeba zachować uśmiech przez całe życie, aż do ostatniego tchnienia, a nawet dłużej, jako że specjaliści od pośmiertnego makijażu podejmują się, dzięki właściwemu skurczeniu policzka, utrwalić wasz uśmiech na całą wieczność. Zdarza się, że niezaprawiony obcokrajowiec umiera pod tą lawiną przelewającej się uprzejmości. Trzeba przyznać, że w tej grze uśmiechów i grzeczności mężczyźni amerykańcy zużywają siły szybciej niż kobiety.

- Całe zagadnienie sprowadza się do tego - powiedział mi major Thompson - co bardziej warto: czy dożyć starości wśród ludzi niemiłych, czy umrzeć młodo wśród ludzi najgościnniejszych w świecie...

Istotnie... śmierć nie stanowi w USA miłszej perspektywy niż gdzie indziej, ale o ileż lepiej jest podana!

„Temperatura wynosi 36 stopni Fahrenheita... Dziękuję!...”

Może to najbardziej ujęło Pocheta? Na pewno wyobraził sobie minę, jaką zrobiłby nocny portier w Hotelu Dworcowym w Poitiers, gdyby poprosić go, żeby was obudził, podał najnowsze informacje i temperaturę na dworze. Tutaj nie tylko że się o nic nie prosi, ale dostaje się wszystko i jeszcze do tego słyszy się „dziękuję”³¹⁵. A przy tym cóż za precyzja! Głos nie powiedział „na dworze jest chłodno” albo „szczybie w nos, proszę się ciepło ubrać!” Nie, 36 stopni Fahrenheita! W Ameryce zdanie nie jest zdaniem, jeżeli nie zawiera co najmniej jednej cyfry.

Pan Pochet to duży chłopczyk: wie dobrze, co należy zrobić przy 36 stopniach Fahrenheita, aby nie przynieść do domu anginy. *Thank you!*

*Thank you very much!*³¹⁶ - powiedział ze swej strony telefonistce i poczuł się troszkę obywatelem tego kraju, gdzie każe się dziękować nawet automatom ulicznym. „Dziękuję, żeś mnie nabył” - mówi (na

³¹³ keep smiling - zachowaj uśmiech

³¹⁴ Nawet psy nie są zwolnione od tego obowiązku. Dwie pigułki Equanilu, nowego produktu na użytek psiej rasy, wywołują w ciągu czterdziestu ośmiu godzin uśmiech na mordzie najwściekłego boksera. W sprawie dalszych szczegółów proszę zwracać się do dog's psychiatrist (dog's psychiatrist - psychiatra dla psów) w waszej dzielnicy.

³¹⁵ Thank you!, wznoszące się zazwyczaj w ustach kobiet (z nuty ge na ha), używane jest przy każdej okazji, nawet gdy nie ma za co dziękować. Może to prowadzić do pewnych nieporozumień. Gdy Francuzce mówi się, że ma najpiękniejsze oczy na świecie, uśmiecha się ona, nie odpowiada nic albo mówi „zwariował pan” i niekiedy pozwala się pocałować. Gdy Angielce mówi się, że ma najpiękniejsze oczy na świecie, przerywa wam słowami: „*don't be silly*” (don't be silly - nie bądź głupi). Kiedy Amerykance mówi się, że ma najpiękniejsze oczy na świecie, odpowiada wam „Thank you”» tak jak byście podali jej cukier. I tak pozostanie aż do następnego kroku: jest to reguła, rytuał. Zauważyć jeszcze wypada, że z taką samą intonacją powie „*Thank you*” na wasze „ma pani uroczą sukienkę” albo „lubię pani charakter pisma”.

³¹⁶ thank you very much - bardzo dziękuję

piśmie) czekoladka. „Dziękuję” - mówi głośno nowy amerykański automat pocztowy, gdy kupujecie w nim znaczek.

Amerykańskie -dziękuję” to nie jest zwyczajne słowo: może ono stać się funkcją. „Czym pan się zajmuje?” „Jestem dziękowaczem”. W Stanach Zjednoczonych istnieją *thankers*, ludzie, którym płaci się za to, aby mówili innym „dziękuję”. Podczas wojny, gdy do punktów Czerwonego Krzyża napływali tłumnie dawcy krwi, spotykali u wyjścia *lady-thanker*, damę z opłacanym miesięcznie uśmiechem, która dziękowała im za udział w narodowym wysiłku wojennym. Dawcy krwi stosowali się do podstawowego prawa tego kraju: mieli w sobie ducha współdziałania.



Psycho panorama i ta amerykańskiego.

XX. Modliszka - czyli tajemnica amerykańskiej kobiety (Z notatnika Majora)



Ponieważ major Thompson - zapewne w obawie, że ja nie potraktuję tematu jak należy - zdradził chęć wypowiedzenia się osobiście o amerykańskich kobietach, ustępuję mu ponownie pióra.

Mój znakomity przyjaciel i tłumacz gotów jeszcze powiedzieć, że więcej myślę o zwierzętach niż o ludziach, choć mówiąc prawdę, jako Anglik bardziej jestem przywiązany do zwierząt... Ale... *Good Heavens!* czy to moja wina, że przemknąłem tajemnicę amerykańskiej kobiety dzięki jałówce i że uderzony - żeby nie powiedzieć: wstrząśnięty - wszechpotęgą kobiety w Stanach Zjednoczonych, przeprowadziłem porównanie *American Lady*³¹⁷ do modliszki, która z łatwością pożera trzech, czterech samców w ciągu życia i każe sobie jeszcze wypłacać premię ubezpieczeniową lub alimony³¹⁸?

Na pewno powiecie, że dałem się w tej dziedzinie unieść przesadzie, ponieważ należę do narodu, w którym mężczyzna jest królem, ale Stany Zjednoczone, które jeszcze przed stu laty wydawały się być krajem wdowców, są dziś, nawet w oczach pana Pochet, największą w świecie pensją dla wdów³¹⁹; nasz przyjaciel nie może się nadziwić, że spotyka tyle kobiet, które mówią mu o swoim trzecim czy czwartym mężu. Kiedy pan Pochet udał się do słynnego jubilera z Fifth Avenue, aby kupić „jakiś drobiazg” dla Madame, sprzedawca wyznał mu:

- Nigdy nie można zapytać klientki: „Jak się ma małżonek?” Albo umarł, albo rozwiodła się. Zresztą nigdy nie oglądamy mężczyzn w naszym sklepie - kupują kobiety. Szarmancki uwodziciel, który każe posłać broszkę baronowej Duret-Dugal w nadziei, że zdobędzie jej laski, to okaz czysto francuski; tutaj gra się na pewniaka...

Ze swej strony mam wyrobioną opinię. Mało tego, że amerykańscy mężczyźni intensywnie zużywają swe siły w pracy, głównie po to, aby zapewnić dobrobyt żarłocznej modliszce, to jeszcze utrzymuje ich ona w stanie poddaństwa graniczącym z niewolnictwem. Spójrzcie na tego pocziwego Cynusa B. Lippcotta... Czyż ma on minutę spokoju, między chwilą, gdy zrywa się z łóżka, aby przygotować pierwsze śniadanie swemu Bóstwu, a chwilą, gdy kładzie się, połknąwszy uprzednio program telewizyjny wybrany przez małżonkę? A większość amerykańskich żon skarży się jeszcze, że mężowie wracają wyczerpani z biura, myślą tylko o tym, aby odpocząć, a nie *to go places and do*

³¹⁷ American Lady - kobieta amerykańska

³¹⁸ Alimony - przyznawane o wiele łatwiej przez sądy w Ameryce niż we Francji. (Uwaga Tłumacza).

³¹⁹ Gdy tylko kobieta pokazała się między pierwszymi kolonistami, stała się premią. Zbudowano dla niej piedestał. Była królową. I pozostała nią. Obecnie kontroluje 65 procent kapitału narodowego. (Uwaga Tłumacza).

*something*³²⁰ ... *Really*, te Amerykanki mają opłakane przyzwyczajenia... Należałoby je trochę ukrócić³²¹...

Zanim to się stanie (a można by długo czekać...), wyznam jednak, że nie widziałem chyba bardziej osłupiałych twarzy jak w salonie pewnego bardzo arystokratycznego domu przy Beacon Street w Bostonie, kiedy odpoczywając po kolacji w miękkim fotelu, poprosiłem Martine, aby zechciała przynieść mi tytoń i fajkę, które zostały w płaszczu.



Major Thompson wraz z panią Bruce Patterson odwiedza swego starego towarzysza broni Lwa Ardeńskiego (pułkownika Bruce Pattersona), zwróconego radościom życia cywilnego.

Nasza bostońska gospodyni, pani O'Neil, podobnie jak jej goście: Mrs. Bainbridge i Cabatowie, nie uwierzyła uszom. *How disgraceful!*³²²... Ośmielić się zażądać od żony, aby wstała, wyszła z salonu i przyniosła fajkę! Z taką nieprzyzwoitością trudno spotkać się w Stanach Zjednoczonych, nawet w najbardziej angielskim z miast. Do tego Martine usłuchała z uśmiechem! Świat przewraca się do góry nogami!

³²⁰ to go places and do something - pójść gdzieś i coś zrobić

³²¹ Satyrycy amerykańscy, podobnie jak skecze w telewizji, music-hallach i teatrze, pokazują często, jak podchmielony pan Smith boi się wejść nocą do swego mieszkania i prosi o pomoc przechodniów. Ci znajdują się w podobnej co on sytuacji, ale z właściwym Amerykanom duchem współpracy proponują mu pomoc jeden, że zatelefonuje, inny, że będzie symulował wypadek z bandażem, jeszcze inny, że przyniesie jakiś ładny podarunek zagniewanej małżonce... (Uwaga Majora).

³²² how disgraceful - co za hańba

Nawet Pochet poczuł coś na kształt zażenowania. Być może, przywykł już do manier tego kraju, gdzie mężczyzna uprzedza najdrobniejsze życzenie kobiety. Jest coś automatycznego i rytualnego w sposobie, w jaki mężczyźni unoszą się, gdy do salonu wchodzi kobieta lub zeń wychodzi, podobnie jak w sposobie przesuwania krzesła, gdy kobieta zasiada przy stole, w sposobie rzucania się na jej płaszcz, paczki, torbę, parasolkę, gdy tylko poczuje się zmęczona, a nawet zanim poczuje się zmęczona.

By Jove! Nie jest to grzeczność. Jest to posłuszeństwo! Anglik nigdy nie zgodziłby się, aby w takim stopniu sprowadzono go do roli posługacza!

Pani Pochet uważa ze swej strony, że jest to znakomite:

- Oni są znacznie grzeczniejsi od naszych mężczyzn, nie sądzi pani? - powiedziała do Soni, która oczywiście sądziła... Muszę gwoli prawdy wspomnieć, że Pochet nigdy nie był tak uprzedzająco grzeczny, jak jest tutaj. Nie zdarza mu się już podjechać po żonę samochodem, żeby nie wyszedł i nie otworzył jej drzwiczek. I zawsze pamięta o tym, by przysunąć jej krzesło do stołu...



Look, Harry, co za okropność!... Tak traktować kobietę! Najwyższa pora, żeby ci ludzie się ucywilizowali!

- Zmienili mi mego Alfreda - powiada pani Pochet.

Alfred może sobie zmieniać się...

Ale nie ja.

Gdy jednak mój uszczypliwy współpracownik zauważył, że w całym świecie kobieta jest trochę modliszką i że warunki pracy w Stanach Zjednoczonych są lepsze niż gdziekolwiek indziej, poczułem się trochę zakłopotany i zacząłem się zastanawiać, czy nie błędzę. Fakt wszakże był faktem: na tej półkuli, między 25 i 49 stopniem północnej szerokości, mężczyzna zużywa się dużo szybciej niż jego towarzysza... Czyżby wyjaśnienia tego zjawiska należało szukać w przyczynach czysto geograficznych?

Kiedy pewnego dnia odwiedziłem położoną niedaleko Council Bluffs ranczę Mr. Clarence MacKinleya, hodowcy ze stanu Iowa, ujawnił mi on całą tajemnicę... Trochę to krępujące mówić o tej tajemnicy publicznie, ale muszę to zrobić...

Wiem, że... dzięki metodzie statystycznej bardzo poważni specjaliści przeprowadzili niezmiernie wartościowe badania nad zachowaniem się amerykańskiego samca. A przecież ja osiągnąłem prawie to samo dzięki krowie. Clarence MacKinley udowodnił mi, że podczas gdy krowy - podobnie jak większość domowych zwierząt sprowadzonych do Stanów Zjednoczonych³²³ - rozwijają się tu dużo lepiej, woły marnieją po kilku latach i tracą szybko swe zdolności rozrodcze. Hodowcy rasowego bydła są więc zmuszeni zaopatrywać się nader często w samce rozplodowe (zwłaszcza „Aberdeen Angus”, „Durham” i inne „Guernesey”; słyszę już, jak Denajnos wykrzykuje, że chwałę się zbytnio doskonałością tych brytyjskich ras).

Jakkolwiek by było, to prawo fizyczne stosuje się, jak sądzę, z taką samą precyzją do obywateli amerykańskich. Podczas gdy samiec odpada w ćwierćfinałach, *female*³²⁴ osiąga pod koniec turnieju wzmożoną siłę, z męskim dynamizmem korzysta ze swego autorytetu i staje się coraz bardziej wygłodniała reform, przyjęć, dyskusji, rozmów. Dwadzieścia lat to w Stanach Zjednoczonych wiek *glamour*³²⁵ i *cover-girl*; gdyby czytać tylko magazyny i tygodniki ilustrowane, można by zwątpić, czy w tym kraju istnieją kobiety powyżej 25 lat³²⁶. A przecież właśnie wówczas, gdy kanony piękności powinny by ją unicestwić, kobieta nabiera nowej energii. Mężczyzna może uniknąć tych czarów - kraj należy do niego. Młodość umarła? Niech żyje młodość! Życie zaczyna się po czterdziestce. Jest to wiek, kiedy miliony pań Lippcott, przerażone widmem utraconej wiosny, zaciągają gęste sieci na cały naród, biorąc w swoje ręce sprawy moralne, religijne, społeczne, pedagogiczne, artystyczne i światowe, i aż do śmierci nie rezygnują ze swych wpływów.

Sama pani Lippcott należy co najmniej do dziesięciu stowarzyszeń: Towarzystwa Absolutnej Wstrzemięźliwości, Klubu Robót Szydełkowych (zebrania w piątki od 3 do 4), Ligi Optymistów, Cór

³²³ Pierwsi koloniści znaleźli na miejscu kilka dzikich psów i gołębie; jedynym wkładem północno-amerykańskim do świata zwierząt domowych jest indyczka. (Uwaga Majora).

³²⁴ female - samica

³²⁵ glamour - urok

³²⁶ Jest rzeczą ciekawą, że „idealny wiek” kobiety zmienia się w regularnym postępie ze wschodu na zachód: w Ameryce kobieta jest fizyczną królową od 18 do 25 lat; w Anglii - od 25 do 30; we Francji - od 28 do 40.... Prawdą jest, że w Stanach Zjednoczonych starców ukrywa się zręcznie; dzieci w długich spodniach pytają rodziców, w jakim wieku będą mogły włożyć shorts(shorts - krótkie spodnie, szorty) a 60-letnie kobiety noszą suknie podlotków i dysponują najbardziej fantastycznym arsenałem środków odmładzających w świecie. (Uwaga Majora).

Amerykańskiej Rewolucji, Syndykatu Igły, Rady *Social Register*, Kobiet Baptistek, T. T. K.³²⁷ - nie mówiąc oczywiście o Klubie Golfowym i Stowarzyszeniu Gry w Kręgle.

Nigdy zapewne Mrs. Lippcott nie czuje się równie dobrze, jak na jednym z owych zebrań, gdzie setka wymuskanych, gdczących, impulsywnych kobiet, w wieku od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat, słucha przewodniczącej, która mówi, jak gdyby szło o szesnastolatki: *Now, girls! lets proceed to order!*" (Teraz, dziewczęta przejdźmy do porządku dziennego!) - a porządek dzienny przewiduje podróż pani Merrimack do Kenii, przestępczość nieletnich, wpływ stylu Chippendale na ruchomości amerykańskie bądź też organizację walki przeciwko budowie posągu bachantki w Bostonie³²⁸ ...

W mojej podróży po Stanach Zjednoczonych uderzyła mnie wszechobecność pani Lippcott. Wszyscy wykładowcy musieli doznać tego samego uczucia. Kiedy wróciłem z objazdu z pogadankami o polowaniu na królewskiego tygrysa (*Felis elongatus*), trafiły mnie halucynacje.

Ameryka to dla mnie teraz nie drapacze chmur, *drug-stores*, *ice-creams*, Hollywood, Pentagon, *super-markets* - dla mnie jest to oblicze trzech pań. Trzech (sześćdziesięcioletnich pan, które w Des Moines, w Denver i w Albuquerque witały mnie, gdy wysiadałem z pociągu lub samolotu. Były to: Przewodnicząca, Wiceprzewodnicząca i Sekretarz *Women's Club*.

Wszędzie miały one tę samą umalowaną, gładką i wypielęgowaną twarz.

Wszędzie - ten sam powitalny uśmiech, ukazujący śnieżnej białości zęby: „*So glad to meet you, Major!*”³²⁹

Wszędzie - te same suknie w kolorze *rose pink*³³⁰ przybrane pajetkami, te same toczki z bladoniebieskiej satyny w białe płatki, te same bręczące bransoletki.

Wszędzie przynosiły mi swoją złotą księgę do podpisu.

I wszędzie tłumaczyły nieobecność swego męża, który byłby zachwycony, gdyby mógł przyjść, ale coś mu przeszkodziło; bądź zatrzymano go w biurze, bądź też umarł - czasem i jedno, i drugie.

Nie wątpię przez chwilę, że Ameryką rządzą te właśnie trzy damy, reprodukowane w stu tysiącach egzemplarzy. I sądzę, że dziwny, utrwalony w mym oku na zawsze obraz tych trzech dam odpowiada

³²⁷ Trutb Through Knowledge, czyli „Prawda przez Wiedzę” - organizacja, na której zebraniach panie mogą słuchać sprawozdań z wyprawy morskiej lub wycieczki w góry, robiąc jednocześnie koronki lub piekąc ciastka. W Austin (Teksas naliczyć można 400 kobiecych stowarzyszeń. Aby móc figurować w bardzo ekskluzywnym *Social Register*, o którym była już mowa, trzeba mieć dwa listy polecające kobiet, których mężowie, lub synowie figurują już na liście. (Uwaga Tłumacza).

³²⁸ Aluzja do uroczej bachantki, którą rzeźbiarz Frederic Mac-Monnies wykonał w Paryżu i której kopię zamówił rząd francuski dla Muzeum Luksemburskiego. Pierwotnie była ona przeznaczona dla ogrodu Biblioteki Publicznej w Bostonie; ta tańcząca nimfa, trzymająca w jednym ręku dziecko, w drugim zaś kiść winogron, uraziła swą nagością purytańską socjetę Nowej Anglii, której sumienie, jak mówią, nie zakazuje uciech cielesnych, ale nie pozwala cieszyć się nimi... Wic „Patriotycznej Wstrzemięźliwości” przegłosował w końcu wniosek potępiający posąg „jako obrazę czcigodnych uczuć stolicy Massachusetts” i wyrażający życzenie, aby „ta niewymowna rzecz” została zniszczona... Nieszczęsna bachantka znalazła wreszcie schronienie w Metropolitan Museum w New Yorku. (Uwaga Tłumacza).

³²⁹ glad to meet you, Major - bardzo mi miło pana poznać, Majorze

³³⁰ rose pink - kolor różany

rzeczywistości. Jesteśmy w kraju matriarchatu, gdzie Kluby Kobiet wywierają większy nacisk na Biały Dom niż nielegalni gorzelnicy na Izbę Deputowanych³³¹.

³³¹ Nie mówię już o takich stanach jak na przykład Vermont, gdzie ludzie przywiązujący dużą wagę do pochodzenia interesują się w pierwszym rzędzie, gdy chodzi o nowego przybysza, „kto był jego matką?”, jak gdyby ojciec wcale się nie liczył. Otóż skłonność Stanów Zjednoczonych do matriarchatu sięga najwcześniejszej starożytności: wśród Indian ze szczepu Hopis, którzy żyją o 200 km od Wielkiego Kanionu, na płaskowyżu, wśród pustynnych gór, matriarchat jest jeszcze wszechpotężny. Dom jest własnością kobiety i gdy; tylko małżeństwo zostaje skonsumowane, mężczyzna wychodzi pracować na ziemię należącą do jego małżonki.

XXI. Pogoń za szczęściem (Z notatnika Majora)



Ilekróć korzystając z meczu piłki nożnej nasz przyjaciel Cyrus B. Lippcott może zanurzyć mmm się w atmosferze college'u, czyni to z nieodpartym pociąganiem. Na obszernych trybunach stadionu, gdzie widzowie - koledzy szkolni - grupują się według starszeństwa, zasiada on z radosną miną w pośrodku rocznika maturalnego 1920. *Hello! Jack!.. Hi! Cyr!* Cyrus jest szczęśliwy, że może z nimi rozmawiać tak jak przed trzydziestu pięciu laty, wypowiadać te same słowa, oddawać się temu samemu rytuałowi, wykonywać te same gesty, być posłusznym sygnałowi *cheer-leaders*³³², którzy między dwoma starciami na boisku dają przez tubę znak do oklasków.

Ta sobota była dla Cyrusa prawdziwym świętem: jego uniwersytet - Harvard - miał wygrać! W czapce z purpurową wstążką na głowie, z czerwonym żetonem przekreślonym napastliwym „*To hell with Yale!*”³³³ w butonierce - podskakiwał na swym miejscu przy każdym wyczynie młodszych kolegów, wydawał okrzyki wojenne, po czym zrywając tętnicę dął w trąbkę i dodawał w ten sposób piskliwą nutę do ogólnej wrzawy.

Siedząc koło niego wśród 48 000 rozhisteryzowanych zwolenników drużyny Harvard, odnosiłem dziwne wrażenie, że choćby tylko ze względu na moje przyzwoite zachowanie, jestem tu jedynym strażnikiem ludzkiej godności. Poza zdumiewającym zachowaniem widzów najbardziej dziwiło mnie to, że sędziemu stale grozili niezadowoleni gracze, zgodnie z barbarzyńskim obyczajem, który wypadło mi obserwować jedynie we Francji, chociaż w mniejszym stopniu.

Skorzystałem z chwilowego uspokojenia, aby powiedzieć Lippcottowi dwa słowa na ten temat. Ale tym razem Cyrus przyjął mnie źle:

- Niech mi pan nie gada o waszym krykicie - powiedział. - Wy jesteście zresztą perwersyjni. Gdyby nasi gracze nie lżyli sędziego, mieliby - tak jak wy - mnóstwo zahamowań.

Wydało mi się po prostu niepojęte, że psychoanaliza może ścigać Lippcotta aż na stadion. Stanowczo nie ma sensu dyskutować z ludźmi na tej półkuli. Jakże zresztą zrozumieć cokolwiek z tego kłębowiska, w którym piłka znika z oczu wszystkich, i to tak, że właściwie nikt nie wie dokładnie, co się z nią stało. Cyrus miał piękną zabawę, mogąc zemścić się na mnie za ów pamiętny dzień londyński, gdy usiłowałem przekonać go o spokojnych urokach krykieta.

- Jeżeli pan czegoś nie rozumie - powiedział mi teraz, jak ja do niego wtedy - proszę mnie zapytać... Jestem prawie pewien, że nie potrafię panu nic wytłumaczyć...

³³² cheer-leader - główny klakier

³³³ to heli with Yale! - precz z Yale!

A przecież *Good Lord!* więzy silniejsze niż wszystko łączyły go ze mną w tym momencie. Jeżeli bowiem istnieje coś wspólnego między Amerykanami i Anglikami, to ich zamiłowanie do sportu i ta nostalgia za szkołą, którą zachowuje się aż do śmierci.

Harvard wygrał. Harvard wygrał! Cyrus Lippcott przeżył jeden z najpiękniejszych dni w swym życiu.

A w drodze powrotnej, w pociągu, który wiozł go ze szkoły do normalnego bytowania, gdy Cyrus dął między dwiema szklankami whisky w swoją trąbkę zwycięstwa, zastanawiałem się, czy zaznał w całym swoim życiu chwili, kiedy byłby równie szczęśliwy co w szkole, kiedy mógłby z równą pogodą oddać się kulturowaniu amerykańskiej religii: Szczęścia.

Dla rasy romańskiej, a zwłaszcza dla Francuzów, pojęcie szczęścia splamione jest względnością. Tysiącletnia mądrość, przekazywana zapewne wraz z cechami dziedzicznymi, poucza ich od dzieciństwa, że szczęście to rzecz nietrwała. „Siedem krów tłustych i siedem krów chudych”. „Korzystajmy z życia... mija szybko!” „Kto w piątek się śmieje, będzie płakać w niedzielę...” Francuskie dziecko dojrzewa w ponurym lesie takich melancholijnych refrenów.



Jak zdobyć powodzenie? Tylko 50 centów...

Tutaj nie ma nic z tych rzeczy; szczęście stanowi część codziennego programu. Co mówię! Jest ono włączone do ryczałtu minimum życiowego, zapisanego od początku w programie Podróży. USA to bez wątpienia jedyny kraj w świecie, który oficjalnie gwarantuje szczęście swym poddanym. Deklaracja Niepodległości z 4 lipca 1776 roku, przechowywana jak wzorcowy metr w Sevres, w oszklonej gablocie Biblioteki Kongresowej w Waszyngtonie, wymienia szczęście wśród trwałych praw obywatela: Życie, Wolność i dążenie do Szczęścia (*Life, Liberty and the pursuit of Happiness*).

Dążenie do Szczęścia... Amerykanin pozbawiony szczęścia czuje się niesprawiedliwie dotknięty, jak Francuz pozbawiony zezwolenia na polowanie. Dlatego chyba, skoro tylko nie jest szczęśliwy, udaje się do jednego z owych profesorów szczęścia, który zapisuje mu kurację z równą precyzją co laryngolog.



Jestem bardzo niespokojna o Cyrusa. Doktor mówi, że tylko biurowe powietrze robi mu dobrze...

Amerykaninowi wpaja się to pojęcie zagwarantowanego szczęścia od najwcześniejszej młodości. Wówczas gdy dziecko na Starym Kontynencie słyszy przez cały dzień: „Trzymaj się prosto!”, „Bądź grzeczny!”, „Powiedz dziękuję”, „Bądź cicho!”, „Siedź spokojnie!”, „Weź rękę!”, „Powiedz pani dzień dobry!” i dowiaduje się, między dwoma szturchańcami, że życie składa się z rzeczy, których nie należy robić - dziecko amerykańskie opychające się *ice-cream*, cukierkami, *pop-corn*³³⁴, telewizją, witaminami, mlekiem, sokiem z pomarańcz, muzyką, zabawkami, dojrzewa w atmosferze niepokromionej swobody, gdzie nieznane są klapsy, szturchańce i stawianie do kąta. Jest to świat,

³³⁴ pop-corn - specjalnie preparowane ziarnka kukurydzy, jedzone jak u nas pestki

w którym ucho dziecka najczęściej słyszy słowa: *It's nice!* - to miło, to grzecznie³³⁵. Jest to świat, w którym obowiązki spadają jedynie na rodziców; powinni się starać, aby nie obarczać dzieci kompleksami, zmuszając je do postępowania wbrew naturze: należy w pierwszym rzędzie pozwolić młodemu pędowi ujawnić swobodnie swą indywidualność³³⁶.

Doświadczyłem tego na własnej skórze pewnego listopadowego dnia w Kansas City, gdy przyglądając się, jak gromada uliczników maże smołą witrynę sklepową, dostałem nagle w wąsy zawartością naczynia z bitą śmietanką, i to pod drwiącym okiem policjanta. Mój parasol drżał z oburzenia, gdy zbliżałem się do niego.

- *Don't you know it's Halloween?*³³⁷ - powiedział *cop*³³⁸ i nie zajmując się więcej tym mało ważnym w jego oczach incydentem, regulował dalej ruch wskazującym palcem w rękawiczce.

W ten sposób miałem się, trochę zbyt późno, dowiedzieć, że Halloween to dzień oficjalnej wolności dla dzieci w Stanach Zjednoczonych, dzień, kiedy nie ryzykując wymówki mogą robić wszystko, co przyjdzie im do głowy. Ale wycierając twarz, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że Ameryka jest z całą pewnością planetą bardzo odmienną od Anglii... Jakże mogłem o tym wątpić, gdy akurat tego dnia przeczytałem w „Timesie”, który towarzyszy mi wiernie w moich wędrówkach, że *masters* w hrabstwie Essex odbyli zebranie, na którym zdecydowali, iż należy ograniczyć do trzech liczbę uderzeń laską dla niedyscyplinowanych uczniów i stosować trzepanie skóry tylko w specjalnych wypadkach.

Szczęście... Dziecko amerykańskie osiąga je jako młodzieniec w bajecznych college'ach, gdzie w ciągu czterech lat, unikając życiowych przypadków, wyznacza *dates*³³⁹ najpiękniejszym *girls* świata, chodząc jednocześnie na wykłady profesorów, którzy wyglądają, jak by wyszli z Hollywood. Cycleron i *fluid drive*³⁴⁰, propedeutyka i *be-bop*, Ksenofont o jedenastej, a Barbara o piątej, antropologia i baseball, Kant i sztruksowe spodnie, wieczory w uroczych pokojach, dnie w parkach i na miękkich trawnikach - oto naprawdę raj na ziemi, i to za darmo lub prawie za darmo³⁴¹.

Zastanawiam się często, dlaczego więc rodacy pana Lippcotta i sam Mr. Lippcott, będąc najbardziej rozpieszczonymi dziećmi w świecie, pozwalają od trzydziestego roku życia zbijać majątek psychiatrom i konsumują tak masowo owe podręczniki szczęścia, zatytułowane „Jak być szczęśliwym w małżeństwie?”, „Jak żyć nie nerwowo?” itd.

³³⁵ Wszystko jest *nice*, nawet czasy przedhistoryczne. W podręcznikach francuskich jałowy wiek jaskiń rozjaśnia jedynie odwieczna litografia menhirów z Karnaku i dolmenów z Korkonno. Uczeń amerykański ogląda tę epokę w technikolorze. Dzisiaj - mówi podręcznik amerykański - zapowiada się trudny dzień dla Jasia Kamiennego, człowieka ery jaskiniowej. Jego mieszkanie zniszczyły wczoraj ruchy tektoniczne ziemi. Gdzież będzie spał dzisiejszej nocy? Spotyka swego sąsiada Józia Neolityczyka. „Przyjemna pogoda, Jasiu. A gdybyśmy tak zapolowali na mamuty?” Wyruszają na polowanie i po okrutnej walce powalają na ziemię potwora. Jama brzuszna mamuta będzie wymarzonej mieszkanie dla Jasia. I Jaś zaczyna wykrobywać na skale rysunek bizona...

³³⁶ Pochetów uderzyła wielka ilość mańkutów w Stanach Zjednoczonych. Bierze się to stąd, że większość rodziców nie usiłuje zmieniać przyzwyczajenia dziecka, jeżeli zaczyna ono pisać lewą ręką.

³³⁷ *don't you know it's Halloween?* - czy nie wie pan, że to jest Halloween?

³³⁸ *cop* - potocznie: policjant

³³⁹ *date* - tu: randka

³⁴⁰ *fluid drive* - automatyczna skrzynka biegów

³⁴¹ Dzięki systemowi spółdzielni uniwersyteckich i *college-shops*(*college-shop* - sklepik uczelniany), organizowanych przez wielkie magazyny, studenci mają znacznie mniej uciążliwe warunki życia niż dorośli.

Opuściwszy świat, w którym wszystko jest dozwolone, a następnie raj szkolny, w którym wszystko wydaje się tak łatwe, *American citizen*, będąc zepsutym dzieckiem, napotyka realia życiowe i stwierdza, że szczęście przyrzeczone w Deklaracji nie zawsze tak łatwo da się osiągnąć. Nie może się wszakże skarżyć, że nikt mu nie pomaga w jego poszukiwaniach. Towarzyszy mu cała teoria w kolorowych obrazkach - w sklepach, w kinie, na reklamach w telewizji. Jest on ulepiony przez słownik szczęścia - słownik reklam. Życie przedstawiają mu jako ciąg słonecznych dni, gdzie wszystkie samochody mają *a 100 million-dollars look*³⁴², są zaopatrzone w biegi „dające się zmieniać jak po maśle” i pozwalają przenosić się z miejsca na miejsce „jak na chmurze”; wszystkie samoloty są *luxurious*³⁴³; wszystkie kobiety *glamorous*³⁴⁴; wszystkie *night-cluby* pełne *charm*³⁴⁵ i *excitement*³⁴⁶; wszystkie posiłki *sumptuous*³⁴⁷; wszystkie podróże są „przepustkami do krainy szczęścia”, prawdziwymi *magic carpets*³⁴⁸ z czarodziejskim światłem księżyca. W życiu tym wszystko jest bajeczne, *fashionable*³⁴⁹, bogate, wygodne, okazałe, wystawne, książęce, wykwintne, ekskluzywne, wyborowe, jedyne, „z epoki” (jakakolwiek by była), „pierwsza klasa”, de luxe; wszystko jest różowe - w kolorze Ameryki.

W ogłoszeniach reklamowych występuje zawsze różowy kolor. U Lippcottów wszystko, co może znieść różowy kolor, jest pomalowane na różowo we wszystkich odcieniach - od rozgniecionej poziomki do różowo-herbacianego poprzez kolor róży, różowo-cukierkowy i *baby pink*³⁵⁰, tak lubiany przez starsze panie. Różowy jest dach trzykolorowego samochodu pana Lippcotta, różowe zygarki na krawacie, różowe rękawiczki Madame, jej kapelusz i podszewki. Różowa jest kanapa w ich domu w Schenectady, serwetki i smycz dla psa. Nawet różne rzeczy, które Lippcottowie lubią jeść, są różowe: sorbety, lody, słodycze... Śmierć nawet jest różowa, gdyż jak każdy wie, dzięki staraniom zakładu pogrzebowego pan Lippcott w życiu nie miał takiej miny, jaką przyoblecze w ostatni swój dzień.

W tym kraju różowego życia i różowej śmierci pana Lippcotta nawiedzało często pewne wspomnienie ze Starego Kontynentu. Wkrótce po Wyzwoleniu znalazł się w Paryżu na Dworcu Lyońskim, w godzinie wielkiego natężenia ruchu; naładowany wagon, pełno podróżnych w korytarzach. Jakaś kobieta, zobaczywszy *wagon-lit*³⁵¹ koło wagonu trzeciej klasy, zawołała:

- To wstyd patrzeć, jak ludzie wyciągają się i śpią, podczas gdy inni podróżują na stojąco. Wszystkich bym wsadziła do trzeciej klasy... I jazda!

Te słowa nieznanegoj kobiety wryły się w pamięć pana Lippcotta bardziej niż uśmiech Giocondy i perspektywa Luwru.

³⁴² „Wygląd jak 100 milionów dolarów”. Towarzystwo kolejowe Southern Pacific, w prospekcie zachwalającym luksus urządzeń w pociągu Portland - San Francisco nazywa go „*The Million Dollars Train with the Million Dollars View*”t czyli pociąg jak milion dolarów z widokiem za milion dolarów.

³⁴³ *luxurious* - luksusowy

³⁴⁴ *glamorous* - pełen uroku

³⁴⁵ *charm* - urok

³⁴⁶ *excitement* - podniecenie

³⁴⁷ *sumptuous* - obfity

³⁴⁸ *magic carpet* - latający dywan

³⁴⁹ *fashionable* - modny

³⁵⁰ *baby pink* - kolor niemowlęco różowy

³⁵¹ *wagon-lit* (franc.) - wagon sypialny

Niewiarygodne wydawało mu się, i słusznie, aby gdziekolwiek w cywilizowanym świecie jakaś kobieta mogła marzyć o jednolitej trzeciej klasie zamiast o sleepingu dla wszystkich. Gdyby mógł, przekazałby ten wypadek swemu psychoanalitykowi. Wyobrażenie świata, w którym szczęście mogłoby być pojmowane jako niewygoda, wymyka się całkowicie panu Lippcottowi. Nie może on sobie wyobrazić ludzi, którzy uważają łazienkę za luksus, a nie za konieczność; żyje bowiem w kraju, w którym dla oszczędzenia obywatelom wysiłku, wszystko obliczane jest co dnia przez tysiące mózgów w służbie publiczności: ilość kroków od zlewu do lodówki, idealna wysokość łóżek, aby można je było słać bez wysiłku; nawet klatka dla ptaszków pomyślana jest w ten sposób, że można w nią wsunąć czyste dno z drobnym piaskiem zamiast brudnego kartonu. Będąc członkiem narodu, w którym wszystko pomyślane jest tak, aby „wyglądało bogato”, Mr. Lippcott nie może dopuścić myśli, że gdzie indziej bogactwo niepokoi.

A zwłaszcza, *God Gracious!*³⁵² jakże mój tłumacz mógłby kiedykolwiek przekonać Cyrusa, że aby stać się wielkim politykiem we Francji, trzeba najpierw być biednym... albo udawać biednego: mały domek w Wandei, z małym ogródkiem, pantofle domowe, kominek na drzewo, stara służąca - tworzą odskocznię do politycznej nieśmiertelności!

A przecież nie jestem pewien, czy ten poczciwy Cyrus - który posiada słownik szczęścia, Konstytucję szczęścia i największy asortyment szczęścia *in the world*³⁵³ - czy ten Cyrus jest szczęśliwy; czy całe swe życie nie goni beznadziejnie za tym szczęściem, które na chwilę dała mu szkoła...

Gdyż na ogół biorąc, Mr. Lippcott wydaje się zatroskany.

Skąd te troski Mr. Lippcotta?

Zewsząd.

Ma kłopoty z żoną, ze stanowiskiem, z Giełdą, ze zdrowiem Prezydenta, ze śmiercią, wakacjami, wojną - nawet ze swym *hydramatic fluid drive de luxe*, wozem, który być może jutro zostanie zdetronizowany przez jeszcze bardziej luksusowy wehikuł. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych istnieje tylu specjalistów od pisania książek pod tytułem: „Jak pozbyć się kłopotów?”, to dlatego że Amerykanie takie książki pożerają³⁵⁴. Ostatni „Gallup” wykazuje, że dziewięciu Amerykanów na dziesięciu pada pastwą trosk, obaw, strachów albo kompleksu winy... *Stop worrying!*³⁵⁵ *Relax and forget it!*³⁵⁶ - wola się do nich ciągle ze wszystkich stron. Dziwne... Nie ma na świecie kraju, gdzie mówiłoby się tyle o „płci” co w Stanach Zjednoczonych, gdzie istniałby bogatszy asortyment obrazów *sexy*³⁵⁷ i teorii seksualnych... A jednak młody rolnik z Bracieux czy kowal z San Gimignano łatwiej

³⁵² God Gracious! - dobry Boże!

³⁵³ in the world - na świecie

³⁵⁴ Jeden z tych podręczników nosi tytuł: „Jak żyć 365 dni w roku?” „Czy chcecie - pyta autor tego dzieła, doktor John A. Schindler - aby te 365 dni stały się nieprzerwaną serią wspaniałych minut?... Czy chcecie biec złotą aleją życia podnieceni, rozentuzjasmowani, z wesołą pieśnią na ustach?” Oczywiście, że chcecie... A więc, aby to osiągnąć, należy „mieć właściwe odruchy”, a nade wszystko - porzucić zbędne troski. „Zacznijcie już dzisiaj - doradza doktor Schindler - wystarczy powiedzieć sobie: od tej chwili będę pogodny, spokojny, wesoły. I wkrótce cały wasz zapas uczuć odświeży się”.

³⁵⁵ stop worrying - przestań się martwić

³⁵⁶ relax and forget it - odpręż się i zapomnij o tym

³⁵⁷ sexy - z seksem

chyba osiąga miłość i szczęście niż taki Lippcott z USA, dla którego szczęście to w gruncie rzeczy jeszcze jeden przedmiot troski.

Czy Mr. Lippcott jest szczęśliwy?

Gdybym chciał sam odpowiedzieć na to pytanie, byłoby to prawie obrazą dla jego wielkiej ojczyzny, którą kocham i podziwiam. Wolę powierzyć to - przynajmniej w części - jego rodakom, w danym wypadku wydawcy pewnego magazynu szczęścia „Holiday”³⁵⁸, którego nagłówek głosi: „Magazyn odpoczynku i bogatszego życia”:

„Jednym z najbardziej dobroczynnych skutków naszego systemu i naszej wydajności - pisze wydawca w specjalnym numerze poświęconym Szczęściu - jest nowa suma przyjemności dostarczona naszemu narodowi. Każdy dzień każdego człowieka wzbogacił się o złote godziny, każdy tydzień o dni, każde życie o dalsze złote lata. Ale ironia i tragedia tej sytuacji polega na tym, że w praktyce nikt nie nauczył się korzystać z tego wolnego czasu! Te złote godziny stają się zbyt często pustymi godzinami. Mało kto z nas wie naprawdę, co zrobić z dodatkowym czasem, który nam przypadł w udziale...”

A amerykański pisarz Bernard De Voto przyznaje, że „Przeciętny Amerykanin nie czuje się dobrze, gdy ma się «odprężyć». Zalety, które były niezbędne dla osiągnięcia jego stopy życiowej, stają się ogromnym handicapem, gdy usiłuje on korzystać z ciężko zdobytego odpoczynku...”

Nie można powiedzieć lepiej - i ulżyło mi, że nie musiałem powiedzieć tego sam... Dokładnie to ma miejsce z Mr. Lippcottem: wychowany w kulcie pracy, wydajności pracowitości, czuje się źle, gdy nie ma co robić. Zmieszanie, jakie odczuwa w Wenecji, gdy program zbiorowej wycieczki mówi o „wolnym przedpołudniu”, jest tylko jednym z aspektów tego stanu ducha. *Farniente*³⁵⁹ jest dla niego słowem nieznanym; trzeba by zresztą dwóch słów, aby je przetłumaczyć na jego język.

Kiedy Mr. Lippcott nie ma guzika, który by naciskał, korby, którą by kręcił, pedału, który by włączał, planu, który by realizował, krótko mówiąc - gdy nie ma czegoś do roboty, czuje się zdezorientowany. Jego największym wrogiem nie jest ZSRR, ale... samotność. Zważywszy wszystko, woli on znaleźć się w obliczu Rosji niż w obliczu siebie samego. Radio, samochód, telewizja, kino, *gadgets*, magazyny - wszystko to staje się co dnia lepsze, aby zapełnić jego strach przed próżnią.

Mimo że będzie to świętokradztwem w oczach Pentagonu, ośmielę się twierdzić, że jest więcej wspólnych punktów między czterema Rosjanami, idącymi na wódkę do gabinetu w Narodowym Hotelu w Moskwie, i czterema Amerykanami, którzy postanawiają: *Let's go out and get drunk!*³⁶⁰ - niż między Szwajcarem i Francuzem.

Oba te narody uwielbiają pić: jeden, aby zgłębić siebie i stawiać sobie zasadnicze pytania, drugi - aby nie myśleć i nie stawiać sobie żadnych pytań...

Oba zmierzają do rozrywek grupowych, rekordów i wspólnego wysiłku.

Oba są świadome swej indywidualnej słabości i druzgocącej siły kolektywnej.

Oba są całkowicie nastawione na przyszłość - nawet w swym życiu codziennym.

³⁵⁸ „Holiday” - „Wakacje”

³⁵⁹ *farniente* (włoski) - bezczynność

³⁶⁰ *let's go out and get drunk* - idźmy gdzieś i upijmy się

Zważywszy wszystko, zbawienie świata leży w małżeństwie whisky z wódką. A żeby zadość uczynić przekłębemu francuskiemu prawu trójkąta - dodajmy jeszcze wino...

XXII. Pochet w samolocie

Gdy wsiałam do samolotu, proszę zawsze Boga, aby dał mi za sąsiada kogoś, kto nigdy przedtem nie latał. Jest to mianowicie jedyny gatunek ludzi, którzy nie mogą mówić o swych poprzednich doświadczeniach w tym względzie... Oczywiście z uśmiechem... Uśmiechem niekiedy trochę wymuszonym, dla dodania sobie kurażu... Zdaje się jednak, że ten gatunek zniknął z powierzchni globu. Na ogół biorąc, przypadek sprawia, że mam koło siebie wielkich podróżników, którzy ze znużeniem patrzą na Kordyliery, przelatują bowiem nad nimi już po raz dwudziesty, albo wspominają mimochodem, jak to w 1937 roku w Karaczi zdołali cudem wylądować na jednym kole.

Podróż powrotna z New Yorku do Paryża miała jednak pod tym względem przejść wszelkie moje oczekiwania. Moim sąsiadem był bowiem Pochet; niechaj przeklęty będzie los, który stworzył Pocheta - miłośnika i specjalistę od samolotu, bo w 1934 roku raz jeden pilotował Blériota i ma stosunki w świecie lotniczym.

Gdy tylko nasz pilot zabrał się do wypróbowywania motorów na polu startowym, Pochet spojrzął na swój chronometr i zaczął liczyć sekundy.

- Jeden... dwa... trzy... cztery... Długo - zauważył. -

Przyznaję, że w takiej maszynie należy sprawdzić przed startem ze sto urządzeń, ale mimo wszystko coś musi być nie tak jak trzeba... Powinniśmy już być w powietrzu...

Znaleźliśmy się po chwili w powietrzu, jak sądzę całkiem normalnie. Samolot nabierał wysokości, jak to czyni szczęśliwie większość samolotów. Gdy zatoczyliśmy półkole w przestworzach, Pochet zaczął porównywać równowagę naszego aparatu z innymi, według niego lepszymi aparatami.

- Zresztą te taksówki nie będą już długo latać - wyznał mi. - Mam przyjaciela w Linii Lotniczej... Najwyżej jeszcze dziesięć podróży i cały ten materiał zniknie.

Jak by to powiedzieć?...Nie lubię wsiadać do samolotu, który leci po raz pierwszy, ale jeszcze mniej lubię mieć świadomość, że jest to jeden z jego ostatnich lotów. W przeciwieństwie do Soni, która stale się boi („Słuchaj, czy nie masz wrażenia, że lewy motor zaczyna płonąć?”), zwracam zazwyczaj jak najmniej uwagi na te małe rzeczy na skrzydłach, ociekające, tłuste, drżące, które wyglądają tak, jak by miały się zaraz odkleić. Ale teraz przyłapałem się na tym, że przyglądam im się z natężeniem. Wszystko jednak trzymało się dobrze, sunęliśmy po niebie jak po torze, gdy mniej więcej po pół godzinie spostrzegłem, że Pochet zaczął się kiwać na swym siedzeniu i spoglądać na zegarek.

- Zupełnie nie rozumiem - powiedział - na co oni czekają, aby przyspieszyć obroty?

Zastanawiałem się, czy nie pójdzie do kabiny pilota, aby zasygnalizować to niedociągnięcie, i zacząłem rozmyślać o biegach. Nie miałem o nich przedtem pojęcia... i byłem wówczas znacznie spokojniejszy. Po co zmieniać biegi, kiedy wszystko idzie dobrze? Ten cholerny człowiek posiał we mnie niepewność. Wyobrażałem sobie dramat rozgrywający się w kabinie: pilot z rozpaczą naciska na dźwignię... motory odmawiają posłuszeństwa... radio sygnalizuje SOS.

Zazdrościłem młodemu małżeństwu amerykańskiemu, które siedziało przed nami; nie mając koło siebie eksperta, byli zupełnie beztroscy; rozpostarli na kolanach plan Paryża i palcem przechodzili przez plac Zgody, jak by tam byli. Szczęśliwa młodość!

Nagle wydało mi się, że motory stają.

- Stało się! - powiedział Pochet.

- Co? - spytałem ze ściśniętym gardłem.

- Zmiana obrotów. Włączyli...

Odetchnąłem. Muszę przyznać, że przez kilka godzin mój tyran pozostawił mnie w spokoju. I pozostałbym w tym stanie, gdyby nie nocna burza („o wyjątkowej sile”, jak wszystkie burze), która wchłonęła nasz samolot w swe odmęty. Lubię burze. Lubię ocean. Lubię samolot. Ale nie lubię wszystkich trzech rzeczy na raz. Co też wyznałem Pochetowi, kiedy go przebudziły grzmoty. Ale eksperci są jak lekarze: gdy się niepokoiacie, pocieszają was; gdy bierzecie rzecz lekko, zaczynają straszyć.

- Znajduje się pan w puszcze Faradaya - powiedział Pochet. - Nie ma się pan więc czego obawiać.

- Rozumiem - odrzekłem nic nie rozumiejąc - ale...

- Czy wie pan - przerwał mi nasz technik (pewien mojej ignorancji) - że piorun trafia cztery samoloty na sto i że pasażerowie nawet tego nie zauważają?

Wolałem zmienić temat rozmowy, ale Pochet zaczął mi już opowiadać o innych burzach, wobec których ta była zwykłą zabawką.

- Ciemną nocą nad Saharą zobaczyłem, jak ognista kula ogarnia samolot, ot, tak, jak by nigdy nic. Co pan powie na to?

Nie powiedziałem oczywiście nic.

- To zupełnie normalne. A zresztą dopóki stewardessa nie zaczyna przechadzać się bez przyczyny wśród pasażerów, znaczy, że to nic poważnego.

Ledwo wypowiedział te słowa, gdy drzwi od kabiny otworzyły się. Stewardessa wynurzyła się jak widmo z błękitnego półcienia i zaczęła przechadzać się krokiem modelki od Fatha. Patrzyłem na głowy podróżnych, jak by to były ostatnie, jakie oglądam w życiu. Na ogół wydały mi się dość ponure.

Aby zabić czas, nim nadejdzie ostatnia minuta, i aby myśleć o czymś innym, rzuciłem okiem na pociągające broszury, łaskawie wetknięte przez Linie Lotniczą w kieszonkę mego siedzenia. Nie miałem szczęścia. Pierwsza broszura, która wpadła mi w ręce, nosiła tytuł: „*How to ditch³⁶¹ without a hitch*, czyli „Jak wodować bez spadochronu”. Uroczy, kolorowy prospekcik, bardzo pocieszający. Poucza on was, jak postąpić, aby wylądować „wdzięcznie i pogodnie jak jaskółka”; rola rozbitka przedstawiona jest w nim tak miło, że ślinka idzie wam do ust. Obrazki pokazujące rozbitków, jak

³⁶¹ ditching - wodowanie

w łodzi ratunkowej grają w karty pod rozpostartym parasolem, wydały mi się zapożyczone raczej z „Embarquement” Watteau niż z „Tratwy” Géricault. Tekst był również bardzo krotocwilny:

„Kamizelka ratunkowa, ślicznie skrojona, w miłym, żółtym kolorze, znajduje się w kieszonce nad twoją głową. W razie konieczności wodowania usuń wszystkie ostre przedmioty z kieszeni, rozluźnij kołnierzyk, zdejmij krawat i pantofle, nie rozbierając się jednak (w tym miejscu zacząłem drzeć) - w łodzi ratunkowej będzie ci gorąco. Włóż kamizelkę tak jak sweter i zawiąż górne tasiemki na kokardkę. (Na pewno czegoś zapomnę zrobić, czegoś innego nie będę umiał zrobić [zawiązać kokardki], a jeszcze coś innego zrobię na odwrót). Nadmucharaj kamizelkę, gdy ci każą to uczynić. To bardzo łatwe. Wystarczy pociągnąć silnie za dwie dolne tasiemki. Jeżeli kamizelka nie nadmie się natychmiast (a więc nie jest to takie łatwe!), przekręć koniec gumowej rurki w kierunku wskazówki zegara. (Broszura tylko wówczas jest naprawdę wyczerpująca, jeżeli mówi o wskazówkach zegara...). O resztę możesz się nie troszczyć: na pokładzie wszystkich naszych samolotów znajduje się dostateczna ilość łodzi ratunkowych, zaopatrzonych w maksimum komfortu - radio, przyrządy rybackie, parasol. Wiesz teraz wszystko, co trzeba wiedzieć o *ditching*. Odpręż się i korzystaj z uroków podróży!”

Co też próbowałem robić, jednakże bez skutku. Tymczasem urocza stewardessa, widząc, że się obudziłem, pochyliła ku mnie swoją dziwnie anielską twarz:

- Nie potrzeba panu czegoś?

- Dziękuję, mam wszystko, czego mi trzeba (nawet za dużo, dodałem w duchu i pomyślałem mimo woli, że gdyby mogła zabrać mego sąsiada, umarłbym spokojnie).

Po stewardessie z kabiny wyszedł dowódca, za nim inny oficer, potem jeszcze jeden. Tylu ludzi wyszło z tej kabiny, że zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle ktoś tam jeszcze został. Trzej mężczyźni skierowali się na tył samolotu, tak jak by motory mieściły się w ogonie. Pocieszył mnie jednak fakt, że może poszli po prostu napić się czegoś do baru.

- Wyglądają bardzo młodo... - powiedział Pochet.

I narysował mi taki portret doskonałego pilota, że doszedłem do wniosku, iż jest to gatunek absolutnie nie istniejący. („Dość młody, ale nie za stary, kawaler, ale nie za cnotliwy, obdarzony zimną krwią, ale nie zabijaka, nade wszystko zaś niepijący i niepalący... trzeba tylko jeszcze, żeby wystarczająco kochał życie”).

Samolot leciał tymczasem wśród nocy. Wydawało mi się, że wznosimy się bardzo w górę.

- Jak tak pójdzie dalej - powiedziałem do Pocheta zmuszając się do uśmiechu - zalecimy do nieba...

Ale nasz ekspert nie był oczywiście usposobiony do żartów. Oddawał się tajemniczym obliczeniom z ołówkiem w rękę. Zasnąłem. Gdy otworzyłem oczy, nastał już dzień. Major, już ogolony, był w doskonałym humorze.

- *We had a bit of picknick last night!*³⁶² - zawołał uradowany, jak by stoczył doskonały mecz z niebem.

Pochet wciąż robił obliczenia.

³⁶² we had a bit of a picknick last night - mieliśmy dobrą zabawę w nocy

- Jeżeli nie popełniłem błędu, Majorze, za pięć minut zobaczy pan Brest.

Byłem zachwycony jego wiedzą, gdy ukazało się wybrzeże. W tej właśnie chwili podano nam biuletyn lotu: „Przelatujemy obecnie nad Bordeaux”.

- Nie zauważyłem tego, ale musieli zmienić kierunek - powiedział Pochet.

Trochę zażenowany siedział cicho aż do lotniska w Orły, gdzie wylądowaliśmy - tak jak lecieliśmy - bez przygód.

XXIII. Ziemia... to nie to, czyli tajemnica Marmaduke'a (Z notatnika Majora)



Wielka podróż skończona. Wszyscy są zadowoleni: Martine jest zachwycona, że wróciła do Paryża, gdzie czeka na nią Nicholas³⁶³; New York pozwolił jej odkryć mnóstwo wspaniałości, owych drobnych *gadgets*, które z pewnością przydadzą się do epatowania przyjaciół, z wyjątkiem małego kieszonkowego odkurzacza, którego używa przy każdej okazji, aby usunąć ślady kurzu z mego ubrania albo żeby uporządkować moje wąsy. Byłem niegdyś o sto mil od myśli, że żona eks-majora Armii Indyjskiej będzie go oczyszczać odkurzaczem, ale z Francuzkami nigdy nie ma kresu niespodziankom...

Pani Pochet ze swej strony ogołociła nowojorskie sklepy ze wszystkich artykułów z nylonu, dakronu i orlonu; nie może się im po prostu oprzeć. W ten sposób w całym świecie dokonuje się rabunek w czasach pokoju; mogę się założyć, że w chwili gdy Pochetowie działali w Stanach Zjednoczonych, O'Connorowie zrujnowali Toskanię, wykupując wszystko, co było z jedwabiu i skóry.

Pochet nie mógłby być szczęśliwszy: nie tylko że powrócił do swej Francji i do swej Kuchni, ale mając USA w kieszeni, korzysta teraz z całkowitej wyższości nad swym przyjacielem Taupin, nawet jeżeli ten ostatni rzuci mu na głowę Portugalię. (Pochetowie wrócili bardzo zamerykanizowani. Wciąż mają na ustach *shopping*, *standing*³⁶⁴, *check-up*³⁶⁵ i - *what a shame!*³⁶⁶ - *snack*³⁶⁷ i gotują się postać na Boże Narodzenie wszystkim swym przyjaciołom *Christmas Cards*³⁶⁸ z podpisem Pochets.

Czyż mam dodać, że ze swej strony odczuwam pewną ulgę? *Definitely*³⁶⁹, jestem nie bardziej stworzony do Stanów Zjednoczonych niż arcybiskup Canterbury do Folies-Bergère. Prawda, że zrezygnowałem z namawiania Martine na dłuższą podróż do Zjednoczonego Królestwa, ale nie wątpię, że pewnego dnia potrafi ona poczuć głębokie zadowolenie z takiej podróży.

Jeżeli chodzi o mego wiernego tłumacza, który, muszę przyznać, dotrzymał słowa i pozwalał mi zabierać tu głos od czasu do czasu oraz bardzo uprzejmie zakończyć to dzieło, zdobył on punkt na swoje konto, zmuszając mnie z kolei do powiedzenia: „Anglia to nie jest to!”

Trafiony!

³⁶³ Kompromis uregulował wreszcie sprawę edukacji dzieci w rodzinie Thompsonów: podczas gdy Marc udał się do prądawnego college'u Majora, aby zdobyć trochę British polish (British polish - brytyjska ogłada), Martine osiągnęła to, że młodszy syn pozostał w rękach Francuzów aż do matury. (Uwaga Tłumacza).

³⁶⁴ standing - poziom życia

³⁶⁵ check-up - kontrola

³⁶⁶ what a shame - co za hańba

³⁶⁷ snack - zakąska naprędce

³⁶⁸ Christmas Cards - kartki gwiazdkowe

³⁶⁹ definitely - stanowczo

Gdy pomyślę sobie, że Denajnos miał nieszczęście wpaść zaraz pierwszego dnia na Anglika w złym gatunku, który narzucił mu się ze swoim żołądkiem! I jakże po tym zdarzeniu mogłem być w jego oczach godny zaufania - jak mówią jego rodacy? Wciąż ta sama historia: w krajach tak bogatych w indywidualności jak Francja, Anglia czy Stany Zjednoczone, wystarczy tylko wygłosić jakąś regułę, aby spotkać wyjątek. Spotyka się nawet same wyjątki... Przeciętny Anglik, przeciętny Amerykanin, przeciętny Francuz - są to abstrakcyjne twory bogini Statystyki. Pochet miał w gruncie rzeczy rację, gdy powtarzał mi bez ustanku: „Francja, Majorze, to nie jest to!” Podobnie jak ja sam mam rację mówiąc memu współpracownikowi: „Anglia to nie jest to!”

Wielki kraj to nigdy nie to! Mówi się zawsze: Anglicy, Francuzi, Amerykanie... ale wystarczy spotkać jednego, abyście zaniechali liczby mnogiej. Im bardziej człowiek podobny jest do innych, tym bardziej ma za punkt honoru uważać się za odmiennego. Co najdziwniejsze, podróżujący mogą mówić, co zechcą, o wyjątkach, które odkryli na swej drodze, a i tak wyobrażenia, jakie narody tworzą o sobie wzajemnie, będą się zawsze opierać na uprzedzeniach, tak irytujących dla członków danego narodu.

Skoro jakiś naród zdobył sławę dzięki serowi i gdy w oczach neofitów przekraczających jego granice jest on tylko serem, ser w końcu zaczyna grać temu narodowi na nerwach. Szwajcarów denerwuje, gdy im się zbyt dużo mówi o ich zegarkach, Włochów - gdy mówi się o makaronie, Hiszpanów - o walkach byków, Australijczyków o kangurach. I dlaczego, u diabła, Francuzi sądzą, że zrobią mi przyjemność sadowiąc mnie w porządnym przeciągu? Czyżby byli zadowoleni, gdy jakiś młody Jankes, któremu Paryż rozpromienia wzrok, podaje im następującą definicję Francji: *Gay Paree!*³⁷⁰
...*Montmartre... La Tour Eiffel... kobiety... oh là là...?*

Nie ma co walczyć z tymi teoriami, które co dzień się uśmierca i które co dzień mają trwalszy żywot... Wieża Eiffla, Folies-Bergère i *oh là là* będą zawsze silniejsze od Kartezjusza, Pasteura i wszystkich francuskich Richelieu.

Gdyby nawet Szwajcarzy stali się jutro narodem najbogatszym w świecie w uran, i tak wszyscy będą nadal na nich patrzeć jak na opijających się mlekiem zegarmistrzów, którzy nie rzucają nigdy papierków na ulicę. Tak jak na brytyjskim plakacie reklamowym musi być koniecznie żołnierz Gwardii w czarnym kołpaku z futra i w czerwonej kurtce, tak przeciętny Francuz lubi wyobrażać sobie Mr. Smitha gołącego się (bardzo szybko) na 58 piętrze Empire State Building, mimo że mniej niż jeden Amerykanin na tysiąc sypia w drapaczu chmur. Od czasu do czasu jakiś przybysz wygłasza odczyt, w którym wyjaśnia, że Amerykanie najbardziej lubią niskie domy, nie przekraczają 80 km/godz. w samochodzie i jeżdżą raczej powoli w pociągach. Ale wszystko to przemija z wiatrem: dobry film kryminalny wymiata złudną rzeczywistość i posługując się samochodami, które mkną jak strzała, prześcigając wyjące pociągi, tworzy się znów naiwny obraz Ameryki - taki, jakiego się pragnie.

Cała Ziemia - to wcale nie to!

A przecież największe znaczenie ma ta właśnie wymyślona geografia, nie zaś geografia normalna. Dotyczy to miejscowości tak samo jak ludzi: Valparaiso może sobie być zwyczajnym portem, takim jak inne, brzydszym niż inne, ale jest to Valparaiso. Cztery sylaby, w których gimnazista kołysze się jak w hamaku, pochylając głowę nad małą kreską, prowadzącą go tam z drugiego krańca globu (z Liverpoolu - 25 dni). I Valparaiso pozostanie dla wszystkich nazwą najpiękniejszego portu na

³⁷⁰ *gay Paree* (poprawna pisownia: *gay Paris*) - wesoły Paryż

świecie. Czy państwo Pochet, którzy w blasku tej nazwy odbyli tak długą drogę, mogliby przyznać, że ich serce wahało się przez chwilę między Valparaiso i Le Crotoy? Niełatwo jest pozostać bliskim prawdy, skoro się ujedzie tak daleko... Zresztą Pochet może sobie podróżować, ile chce: człowiek wychowany w szacunku do angielskich pociągów, południowoafrykańskiego złota, australijskich bananów, argentyńskiego mięsa i japońskiego harakiri - prefabrykuje sobie geografii, która nie ustępuje łatwo wobec oryginału. Czechosłowacja była dla mnie długo grubym ołówkiem Hardtmutha, Brazylia - gigantyczną maszynką do kawy, oprawioną w słodkie brylanty, i musiałem dopiero zobaczyć, że w Limie ludzie czekają na autobus tak samo jak na Piccadilly, aby ostatni Inkasi opuścili to Peru, które miałem w głowie.

Czy je rzeczywiście opuścili?...

Im więcej podróżuję, tym bardziej gubię się w tym wszystkim, tym mniejszą mam pewność, że znam ludzi. Być może, w odkryciu istnieją trzy fazy: okres uprzedzeń, zawalenie się tego wymyślanego królestwa, a potem, dużo później, powrót do pewnych wyobrażeń, które w gruncie rzeczy nie były tak błędne... Między tym, co wymyślone, i tym, co realne, mieści się na tej przeklętej planecie wszystko, co może wytrącić z równowagi najbardziej zrównoważonego badacza... Czy nasza planeta ma rzeczywiście jakiś punkt ciężkości? Wątpiłem w to długo, ale *Good Heavens!* zdaje się, że w końcu znalazłem ten punkt. Tak... po długich poszukiwaniach znalazłem środek Ziemi... Prawdę mówiąc, chowałem dla siebie tę niezmiernie poufną tajemnicę... Ale zdaje się, że nadeszła godzina, aby ją ujawnić, tak jak poprzednio ujawniłem tajemnicę *American female*³⁷¹...

³⁷¹ American female - kobieta amerykańska



Na wieży Notre Dame w Paryżu: *A to jest nasz dom. Przy dobrej pogodzie można z tego okna na drugim piętrze dostrzec Biały Dom.*

Nie, nie mój drogi Pochet... środkiem ziemi nie jest Anglia; byłby pan bardzo rad, gdybym tak napisał. Zresztą każdy wie, że Anglii nie należy umieszczać w układzie słonecznym.

Środek planety, punkt ciężkości świata, to nie jest, jak można by sądzić, jakieś miejsce na linii równika, ukryte głęboko pod skorupą ziemską...

Nie jest to ani New York, ani Paryż...

Środkiem świata jest Zanzibar, Reykjavik, Sydney albo Sztambuł. Środek świata jest tam, gdzie się znajdujecie, gdyż tam, gdzie się znajdujecie, istnieją planisfery, a ich producenci umieszczają zawsze wasz kraj w środku mapy. A posłuszny wszechświat pozwala na to.

Na ścianie za głową pewnego wysokiego urzędnika szwajcarskiego w Bernie stwierdziłem, że Szwajcaria znajduje się akurat w środku globu.

- Niech pan popatrzy - powiedział - nasz kraj jest naprawdę ośrodkiem planety, znajduje się w równej odległości od Chicago i Pekinu, od Północnego Przylądka i Dakaru.

Gdy moje podróże zaprowadziły mnie następnie do Boliwii, stwierdziłem, że środek świata przesunął się wraz ze mną. Na olbrzymiej ściennej mapie, która stanowiła tło biura pewnego boliwijskiego ministra, sercem planety stało się miasto La Plata.

- Niech pan popatrz - powiedział mi - Boliwia ma zupełnie wyjątkowe położenie; leży w równej odległości od Vancouver i Paryża, od Sydney i Moskwy.

Popatrzyłem. I przez chwilę odniosłem wrażenie, że świat kręci się wokół La Plata.

W istocie z La Plata w kierunku wszystkich azymutów promieniowały strzałki, zdające się rozprzestrzeniać po całym świecie swoją dobroczynną władzę. U krańca małego półwyspu z prawej strony, zagubiona gdzieś na górze, leżała Francja - w tym samym miejscu, gdzie uczniowie w Paryżu mają zwyczaj umieszczać Kamczatkę lub Wyspy Aleuckie.

Aby mieć czyste sumienie, spróbowałem po powrocie do Paryża sprawdzić na atlasie Nicholasa, gdzie leży Francja.

I znalazłem szarą Francję, umieszczoną pionowo w środku podwójnej stronicy - Paryż na południu na południku zerowym, w równej odległości od New Yorku i Bombaju, od Grenlandii i Abisynii. Jak La Plata i Zanzibar, leżała w cudowny sposób dokładnie w środku świata.

Tak fabrykuje się geograficzne serca małych Francuzów, Szwajcarów i Zanzibarczyków.

Spis treści

I. „Francja, Majorze, to nie to...” (Z notatnika Majora).....	3
II. „Ależ Anglia, Majorze, to także nie to!...”	9
III. Katastrofa u Mrs. Cripplestone	16
IV. Królestwo łamigłówek.....	20
V. Natrętnie jajko	28
VI. Upiór pana Pocheta (Z notatnika Majora).....	33
VII. Spowiedź pana Pocheta (Z notatnika Majora)	37
VIII. Zwierzęta - obywatele, czyli jak przed nosem pana Pochet przejechał pociąg pełen siedzących psów	43
IX. Fabryki gentlemanów	52
X. Mąż, żona i Biblia.....	59
XI. Martine i Anglicy (Z notatnika Majora)	61
XII. Ludzie – cyfry (Z notatnika Majora).....	70
XIII. Major wybucha.....	74
XIV. Co to jest Amerykanin?	78
XV. Ludzie na torze	84
XVI. Królestwo opakowań (Z notatnika Majora)	89
XVII. Cocktail-party	94
XVIII. Jak spać z otwartymi oczami?	100
XIX. Ameryka w jednym zdaniu	104
XX. Modliszka - czyli tajemnica amerykańskiej kobiety (Z notatnika Majora)	108
XXI. Pogoń za szczęściem (Z notatnika Majora)	114
XXII. Pochet w samolocie.....	122
XXIII. Ziemia... to nie to, czyli tajemnica Marmaduke'a (Z notatnika Majora)	126

Tajemnica MAJORA THOMPSONA

Przełożył Zygmunt Szymański Ilustrował Walter Goetz

Tytuł oryginału francuskiego LE SECRET DU MAJOR THOMPSON

Obwolutę i okładkę projektował Janusz Stanny

ISKRY • WARSZAWA -1959

Copyright by Librairie Hachette 1956

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”. Warszawa 1959 r. Nakład 10.000 + 250 egz. Ark. wyd. 10,3, druk. 13,5 Papier druk. mat. V kl. 70 g. 82 X 104. Oddano do drukarni w lutym 1959 r. Druk ukończono we wrześniu 1959 r. Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie. Zam. nr 1221/a W-81 Cena zł 15.-

